



*Uciekająca  
narzeczona*

Z SERII SUMMER HARBOR

DENISE  
HUNTER

**Denise Hunter**

# **Uciekająca narzeczona**

Tom II z serii Summer Harbor

Tłumaczenie  
Anna Rojkowska

**Tytuł oryginału:**

The Goodbye Bride. A Summer Harbor novel.

**Autor:**

Denise Hunter

**Tłumaczenie z języka angielskiego:**

Anna Rojkowska

**Redakcja:**

Lidia Miś-Nowak

**Korekta:**

Natalia Lechoszest

**Skład:**

Alicja Malinka

ISBN 978-83-65843-48-7

© 2016 by Denise Hunter by Thomas Nelson, HarperCollins Christian Publishing Inc.

© 2017 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Rzeszów, wydanie I

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak

ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów

[www.dreamswydawnictwo.pl](http://www.dreamswydawnictwo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

## Rozdział 1

**L**ucy Lovett otworzyła oczy i natychmiast poczuła ból z tyłu głowy. Jęknęła, natrafiwszy dłonią na wrażliwe miejsce. Mimo gęstych włosów nabiła sobie guza, który zdążył już nabrznieć.

Zamknęła oczy, pragnąc odciąć się od tego, co właśnie dotarło do jej umysłu. Policzek dotykający zimnej, twardej powierzchni. Skrępowanie w pasie, jak od gorsetu. Ściśnięte palce u stóp.

Skądś dobiegło skrzywienie butów, a potem coś głucho uderzyło. Poczowała zimny powiew. Ktoś zachłysnął się i zawołał:

– Nie! Proszę pani, nic pani nie jest? O rety!

Lucy otworzyła oczy, przekręciła się na plecy i uderzyła guzem w twardą powierzchnię.

– Aua!

Najpierw natrafiła wzrokiem na kasetony sufitowe z zaciekami, a potem dopiero na pulchną brunetkę w średnim wieku z anielską twarzą.

– Ile widzi pani palców? – zapytała nieznajoma.

Przed oczami Lucy wyrosły trzy grube paluchy.

– A co się stało? – spytała.

– O rety, nie pamięta pani?

Lucy rozejrzała się wkoło. Szare kabiny, nakrapiane kafle na podłodze, dwie umywalki z porcelany, których zardzewiałe trzewia były dobrze widoczne z jej pozycji obserwacyjnej. I żółty składany znak ostrzegawczy na podłodze, z napisem: „Uwaga. Ślisko po myciu” oraz schematycznym ludzikiem, który wywija orła.

– Upadłam.

No, bo co innego? Musiała upaść. Z jakiego innego powodu leżałaby na plecach na posadzce – mokrej, jak to sobie teraz uświadomiła – z guzem na głowie? Znowu dotknęła ręką guza i się skrzywiła.

– Może pani wstać? Och, uderzyła się pani w głowę? Może powinniśmy zadzwonić na dziewięćset jedenaście?

– Nie! – Wystarczyła sama myśl o szpitalu, żeby poderwać ją do pozycji siedzącej. – Ja tylko... – Opuściła wzrok i w oczy wpadła jej zwiewna biała spódnica przechodząca w stan z delikatnym wzorem z naszywanych perełek sięgającym aż do nagich ramion. Lucy zaczęło się kręcić w głowie od pytań, lecz zamiast odpowiedzi znajdowała tylko dalsze kawałki łamigłówek.

– Z kim pani tu przyszła? Dam znać, co się stało.

– Jestem... sama. – Hm, a było inaczej? Dlaczego tego nie pamięta?

– Trzeba kogoś zawiadomić. Może narzeczonego? Przyniosę trochę lodu, żeby przyłożyć na ten guz, a potem zadzwonimy. Pani narzeczonego musi się ogromnie niepokoić.

Kobieta wyszła, a Lucy starała się jakoś zrozumieć fakty. To nie może być dzień jej ślubu, to nie miałyby sensu. Ślub ma być za miesiąc. Może po prostu przyszła do przymiarki sukni? Ale dlaczego jej pamięć jest jak czysta karta? Dlaczego nie pamięta wkładania sukni, wejścia do tego pomieszczenia ani nawet upadku?

„Lucy, do roboty, przypomnij sobie!”

Ostatnia rzecz, jaką pamiętała, to sprzątanie restauracji wczoraj wieczorem razem z Zakiem, który potem odprowadził ją do mieszkania. Chłodny jesienny wiatr rozwiewał jego dość długie czarne włosy. Zac zarzucił jej swój płaszcz na ramiona i szli razem, rozmawiając całą drogę. Kiedy stanęli w plamie światła pod drzwiami, podniosła wzrok i spojrzała na jego przystojną twarz, w jego chmurne szare oczy, i poczuła ukłucie strachu. Nagle przyszło jej na myśl, że na pewno coś się stanie i straci tę jedyną osobę, której potrzebuje bardziej niż powietrza.

Odgłos kroków za drzwiami przywołał ją do teraźniejszości. Nic jej nie jest. Po prostu musi podnieść się z podłogi i znaleźć Zaca. On pomoże jej poukładać tę łamigłówkę.

Lucy podciągnęła nogi i oparła się o ścianę wykafelkowaną jak w metrze. I odruchowo spojrzała na palce ściśnięte w niewygodnych butach – białych, satynowych, na wysokim obcasie. Kilka tygodni temu podziwiała je na stronie Nordstrom.com. Sandałki z paskiem z tyłu, odkrytymi palcami i malutkimi, skromnymi kokardami. Buty, na które absolutnie nie było jej stać. Na pewno ich nie kupiła. Zdecydowała się na urocze (choć nie przemawiające tak do serca) czółenka z butiku w Summer Harbor.

Jeszcze raz spojrzała na buty – nie, to nie był omam. Nie zniknęły.

Raptem drzwi się otworzyły i pojawił się anioł z torebką lodu. Kobieta pomogła Lucy wstać i przyłożył lód do guza na głowie. Lucy zamrugnęła z bólu, gdy w głowie odezwał się młot pneumatyczny.

– Niech pani usiądzie na krześle. Powinna pani zrobić prześwietlenie albo coś. Wydaje mi się, że jest pani trochę oszołomiona.

– Nie, nic mi nie jest. Ale powinnam zadzwonić do narzeczonego.

– Oczywiście. Moja komórka wysiadła, ale kierowniczką pozwoli pani zadzwonić ze swojego telefonu. Chyba obawia się, że pozwie ją pani do sądu.

Za drzwiami znajdowała się tętniąca życiem knajpka wyglądająca na przeniesioną żywcem z lat 50., z czerwonymi stołkami i czarno-białymi kafłami na podłodze. Lucy nie poznawała tego miejsca. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy i zaczęło jej burczeć w brzuchu.

Lucy wyjrzała za duże okno wychodzące na ulicę. W oddali błyszczał oświetlony słońcem ocean, lecz sklepy naprzeciw były dla niej nowe. Jakiś zakątek Summer Harbor, do którego wcześniej nie trafiła? Dziwne. Ile zakątków może się znajdować w takim małym miasteczku? Myślała, że zna je wszystkie na wylot.

Anioł w postaci uczynnej pani pożyczył telefon od niezadowolonej kobiety za ladą i wręczył Lucy.

– Niech pani zadzwoni do tego swojego narzeczonego. Zaraz wracam – rzekł i zniknął w damskiej toalecie.

– Był znak! – odezwała się kobieta za ladą, obrzucając Lucy niechętnym wzrokiem. – Jak tylko pani weszła w drzwi. Wyraźny znak.

Lucy kiwnęła głową, od czego tylko bardziej ją rozboleła. Oddychała szybko, płytko. Siedziała w sali pełnej ludzi, ale nigdy nie czuła się tak samotna. No, może tylko raz. Ale to było bardzo dawno. Na dłuugo przed Zakiem.

„On jest niedaleko, na odległość jednego telefonu”.

Wystukała jego numer na klawiaturze, usiłując nie zwracać uwagi na niezadowoloną kierowniczkę i zaciekawione spojrzenia. No cóż, kobiety w sukni ślubnej to w barze raczej niecodzienny widok.

Zac na pewno bardzo się martwi, pomyślała, słuchając dzwonięcia. Miała nadzieję, że nie

czeka na nią w kościele. Rzuciła okiem na zegar na ścianie. Nie, za wcześnie na ślub. Nie zacznie się przed wpół do szóstej.

„Dziś wychodzę za mąż. Gdzie się podział cały miesiąc?”

Odepchnęła od siebie to pytanie. Potrzebowała Zaca natychmiast, pospiesznie więc wybrała numer „Przydrożnego Zajazdu”.



Zac Callahan ustawił się do uderzenia, cofnął kij i wcelował w bilę. Kula poturlała się po zielonym filcu i potrafiła niebieską bilę, która potoczyła się pod kątem i wpadła do luzu w rogu.

Kibice zaczęli wiwatować. Zakłady zawsze podnosiły zaangażowanie.

– Niektórzy mają szczęście – skomentował Beau.

Zac wyprostował się na całą swoją wysokość metra dziewięćdziesięciu.

– Szczęście nie ma z tym nic wspólnego, braciszku.

– Nie ma, nie ma – mruknął Beau, mierząc stół wzrokiem spod zmrużonych powiek.

Zac nie zostawił mu szansy. Wolał nie ryzykować, wiedząc, że cały wieczór może nie mieć okazji na następną partię. Marci, jedna z kelnerek, zachorowała, a w restauracji zaczynało robić się gęsto. Będzie potrzebował dodatkowych rąk do pracy.

– Nie mogę się doczekać, kiedy włożysz fartuch – powiedział Zac.

– Nie licz na to. – Beau pochylił się, ciemne włosy opadły mu na oczy, złożył się do strzału... i chybił.

Jego nowa narzeczona, Eden, pocieszająco poklepała go po ramieniu i powiedziała bezgłośnie do Zaca:

– Na mnie możesz liczyć.

– Szefie, telefon do ciebie – zawołała kelnerka, mijając salę bilardową.

Zac odłożył kij, wcelował palec w brata i powiedział:

– Tylko bez oszustw!

Beau zrobił niewinną minę. W restauracji połowa miejsc była już zajęta, ponieważ w telewizji leciał mecz bejsbolowy drużyny Red Sox. Zgromadzeni kibice gorąco dopingowali, bo pierwszy pałkarz już na samym początku zdobył trzy bazy i teraz dobiegał do bazy domowej.

Zac zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na akcję, po czym ruszył dalej. Po drodze poklepał po ramieniu szeryfa Coltona i ominął stół, przy którym siedziała Morgan LeBlanc z przyjaciółką. Parę razy był z nią na randce i teraz znowu byli umówieni za kilka dni. Bardzo starał się wykrzesać z siebie entuzjazm na myśl o następnym spotkaniu, ale bez skutku.

Staął za ladą w recepcji i podniósł słuchawkę.

– Słucham, tu Zac.

– Och, Zac! Dzięki Bogu!

Poczuł przypływ adrenaliny i mrowienie na całym ciele. Od siedmiu miesięcy nie słyszał jej głosu. Tego słodkiego akcentu Południa, który za każdym razem przyprawiał go o drżenie serca.

– Stało się coś strasznego. Upadłam i... i nie wiem, gdzie jestem. Możesz po mnie przyjechać?

Potań dłońią czoło, starając się opanować zamęt w głowie.

– Co takiego? – wykrztusił.

– Nie chcę się spóźnić, a jestem cała mokra, włosy...

– Spóźnić na co?

– To wcale nie jest śmieszne, Zac – poskarżyła się takim tonem, jakby zaraz miała się rozpłakać. – Głowa mi pęka i... no, po prostu musisz po mnie przyjechać.

– Lucy, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego dzwonisz akurat do mnie?

Nastąpiła długa przerwa.

– Żartujesz?

Przypomniał sobie ten dzień, siedem miesięcy temu, kiedy wrócił do domu po weekendowym wyjeździe. Nie odbierała telefonów, nie otwierała drzwi. Zmartwiony, zadzwonił do właściciela mieszkania i okazało się, że mieszkanie stoi puste. Lucy zniknęła.

Zacisnął palce na słuchawce.

– Zadzwoni do kogoś innego. Ja już nie zamierzam przejmować się twoimi problemami.

Lucy aż się zachłysnęła.

– Dlaczego jesteś taki odpychający? – spytała na granicy łez.

Dlaczego jest taki...? Odsunął słuchawkę na odległość ręki i spojrzął na nią z oburzeniem, po czym znowu przyłożył do ucha.

– To ty mnie zostawiłaś, Lucy. Jeśli chcesz gdzieś podjechać, to zawołaj taksówkę.

– Czekaj, Zac! – zawołała Lucy, gdy już miał się rozłączyć. – Błagam. O rety, nie możesz mi tego zrobić. Uderzyłam się i nabiłam sobie guza, głowa mi pęka i potrzebuję pomocy. Potrzebuję ciebie!

Zac poczuł, że wnętrzości ściskają mu się w twarde węzeł. Ile razy w ostatnich miesiącach pragnął usłyszeć te słowa? Lucy sprawiała wrażenie... kompletnie zdezorientowanej. Zagubionej. I nie miała żadnej rodziny.

„Jesteś osłem, Callahan”.

– Błagam cię. Nie wiem, gdzie jestem ani co się dzieje. Musisz mi pomóc.

Oparł się o kontuar.

– Lucy, powinnaś pojechać do szpitala. Zapewne masz wstrząs...

– Tylko nie do szpitala!

Zac przypomniał sobie fobię Lucy i w rozterce przeciągnął dłonią po zarośniętej szczęce. Przez telefon nigdy nie uda mu się namówić jej, żeby pojechała na pogotowie. Nie zgodziła się na wezwanie karetki, nawet wówczas gdy zerwała ścięgno w kostce. Przyjaciel Zaca, ratownik medyczny, leczył ją prywatnie w jego własnym mieszkaniu nad restauracją.

Jeśli naprawdę doznała urazu głowy, to może być bardzo niebezpieczne. Może mieć krwotok do mózgu!

Westchnął przeciągle, wiedząc, że sprawia wrażenie rozdrażnionego i obojętnego. Ależ z niego frajer.

– Gdzie jesteś? – spytał.

– Nie wiem. Poczekaj, nie rozłączaj się.

Rozległo się jakieś szuranie. Zac wyteżył słuch, starając się usłyszeć coś mimo gwaru rozmów i szczęki sztuców.

Jakaś kobieta koło Lucy podała adres.

– Moment. – Dobiegł go stłumiony głos Lucy. – Summer Harbor?

– Nie, kotku. Portland.

– Portland...? Portland w Oregonie?

– W Oregonie? Nie, w Maine.

„Wielkie nieba!” Zac przykrył oczy dłońmi.

– Lucy! – zawołał. W odpowiedzi usłyszał coś jakby szuranie. – Lucy!

– Już jestem, Zac. Jestem w...

– Wiem! – Jęknął w duchu. Nawet nie powinien brać tego pod uwagę. Odeszła z jego życia. Nareszcie udało mu się o niej zapomnieć.

„Jasne. Właśnie dlatego pędzisz jej na ratunek”.

Lucy zawsze była jego słabym punktem. Ledwie pojawiła się w „Przydrożnym Zajeździe”, a już owinęła go sobie dookoła palca. I nie zmieniło się to, póki nie podeptała jego serca swoimi modnymi szpilkami.

– Lepiej, Lucy, żeby to nie był jakiś numer z twojej strony.

– Dlaczego miałabym wykręcić ci numer? – spytała ze złością i urazą.

Prychnął. Skąd miał wiedzieć? Nigdy jej nie rozumiał.

– Błagam, Zac. Nie widzę innego wyjścia.

Była na krawędzi łez – i to podkopało jego zdecydowanie. „A niech to!” Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby coś jej się stało. Przejechał dłońmi po twarzy, podejmując postanowienie.

– Siedź na miejscu i czekaj na mnie. Będę za kilka godzin.



## Rozdział 2

**L**ucy przyglądała się ruchliwej przystani. Plecy zdrętwiały jej od drewnianego oparcia ławki, na której siedziała od czasu telefonu do Zaca. Kiedy skończyła rozmowę, czym prędzej umknęła sprzed oczu rozzłoszczonej kierowniczkii, zaintrygowanych klientów i mdłych zapachów z kuchni. Uniosła spódnice, przeszła na drugą stronę ulicy i ku swojej uldze znalazła położoną na uboczu ławkę, gdzie mogła w spokoju oddać się rozmyślaniom.

Robiła to przez kilka godzin, a przynajmniej tak jej się wydawało, i doszła do wniosku, który ją mocno zaniepokoił. Straciła miesiąc życia. Nie da się temu zaprzeczyć. Nie miała pojęcia, dlaczego ona była w Portland, a Zac w Summer Harbor, i musiała spojrzeć prawdzie w oczy: jej mózg nie funkcjonował z najwyższą sprawnością.

Trochę kręciło jej się w głowie i mimo że mrugała zapamiętała – wszystko widziała jakby za lekką mgiełką. Światło wściekle odbijające się od wody raziło ją z ostrością noża. Zamknęła oczy, żeby przestało boleć, i skupiła się na oddychaniu.

Ból i zawroty głowy były męczące, ale znacznie gorszy był strach, który ścisnął jej serce. Co się z nią stało? Czy na zawsze straciła wspomnienia z ostatniego miesiąca? Czy doznała poważnego urazu? Ile czasu będzie trwać ten stan oszołomienia? A jeśli nigdy nie minie?

Przez chwilę przyglądała się powracającej łodzi poławiaczy homarów. Mężczyźni skończyli pracę na dziś. Która godzina? Dlaczego Zaca jeszcze nie ma?

A jeżeli w ogóle nie przyjedzie?

Bzdura. Oczywiście, że przyjedzie. Przecież ją kocha.

Wróciła myślami do ich rozmowy telefonicznej. Brzmienie jego głosu podnosiło na duchu. Zmarszczyła brwi, bo mimo zamroczenia dotarło do niej, że rozmowa była jakaś dziwna. Wydawał się zły, ale nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, co mówił.

O rety, a może doznała urazu mózgu? Będzie musiała iść do szpitala, przeczuwała to z całą pewnością. Poczwała, że niepokój rośnie, ogarnia ją cała. Nagle miała osiem lat i siedziała sama przy łóżku mamy w szpitalu. Obok cicho popiskiwało urządzenie rejestrujące bicie jej serca.

Popiskiwało, aż w końcu umilkło.

Na to wspomnienie serce zaczęło mocno bić, nasilając ból głowy. Szpital to pewna śmierć. Cuchnie jak śmierć. A ona będzie musiała tam iść.

„Lucy, nie umrzesz. Co się z tobą dzieje?”

Nie miała czasu, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie, ani jej umysł nie był dość sprawny, żeby sobie z nim poradzić. Dziwne. Dlaczego pamięta coś, co zdarzyło się szesnaście lat temu, a nie jest w stanie przypomnieć sobie wkładania sukni ślubnej zaledwie przed kilkoma godzinami?

– Lucy!

Obróciła się, słysząc za sobą głos Zaca. Na widok jego twarzy serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Silne, męskie rysy, ostro zarysowana broda. Na pamięć znała każdy szczegół. Zdziwiła się, widząc krótką brodę i włosy dłuższe, niż pamiętała. Kręciły się, jeden czarny lok spadał mu na czoło.

Odsuwając od siebie niepokojące myśli, zerwała się z ławki, pragnąc jak najszybciej znaleźć

bezpieczeństwo w jego ramionach. Zrobiła dwa kroki, gdy nagle świat się zakołysał i się zachwiała.

Zac podbiegł i schwycił ją za łokcie.

– Co ty wyprawiasz?

Uraziły ją te szorstkie słowa. Mocniej ścisnęła go za przedramiona. Zamrugła kilka razy, żeby pozbyć się zawrotów głowy i spojrzała w jego szare oczy, żałując, że nie widzi wyraźniej. Sprawiał wrażenie obcego, zimnego. Zupełnie nie jak jej Zac.

– Och, Zac... Jak się cieszę, że jesteś. Proszę cię, zabierz mnie do domu.

– Usiądź na moment. – Usadził ją, podtrzymując, lecz jak tylko plecami dotknęła ławki, wycofał się.

Lucy spojrzała na suknię i ścisnęła w dłoniach zwiewny materiał. Mają zepsuty dzień ślubu. Kompletnie zepsuty. Wszystkie przygotowania poszły na marne.

Poczuła ucisk w gardle i w oczach pojawiły się łzy.

– Miałaś mnie zobaczyć dopiero w kościele.

Dopiero kiedy będzie szła do ołtarza. Wyobrażała sobie olśnienie w jego oczach. Panna młoda ma do tego prawo. Lucy postanowiła, że w kościele będą paliły się wszystkie światła, żeby przypadkiem nie przeoczyła jego miny, gdy ją zobaczy w pełnej krasie.

Przypomniało jej się to i zmarszczyła czoło. Kościół mieścił się w Summer Harbor, a ona była w Portland. Bardzo dziwne. Pomasaowała skronie.

– Och, chyba jestem jeszcze otumaniona.

– Gdzie się uderzyłaś?

– W łazience. – Pokazała za siebie. – Tam, w tamtym barze. Podłoga była mokra i chyba musiałam się... poślizgnąć.

– Pytałem o to, gdzie na głowie.

– Aha. O, tutaj. – Wzięła jego dłoń i delikatnie dotknęła nią stłuczonego miejsca.

Zac zacisnął usta.

– Robi ci się porządny guz. Straciłaś przytomność?

– Nie... nie wiem. Chyba tak. Możliwe. – Nawet tego nie pamiętała!

Cofnęła rękę, a ona od razu zatęskniła za osłoda, jaką dawały jego palce. Dlaczego Zac unika kontaktu fizycznego? Dlaczego jej nie przytula? Ona tego potrzebuje!

– Lucy... straciłaś przytomność, jesteś oszołomiona i masz luki w pamięci. Ktoś musi cię zbadać.

Spojrzała na niego błagalnie, ze łzami w oczach:

– Nie...

– Pojadę z tobą. W ogóle nie ma o czym dyskutować. Musimy sprawdzić, czy nic ci nie jest. Gdzie się podział jego ciepły głos? Delikatny dotyk?

– A co ze ślubem? Musimy zawiadomić ludzi. Nie wierzę, że coś takiego mogło się stać. – Jej oddech zrobił się płytki, wysilony, jakby płuca nie mogły sobie poradzić.

– Spokojnie, spokojnie, jesteś na najlepszej drodze do hiperwentylacji. Dojdiesz jakoś do furgonetki?

Wcale nie chciała jechać do szpitala! „Boże, proszę, nie rób mi tego!” Pragnęła tylko wrócić do domu i zwinąć się w kłębek na łóżku. Poczuła się kompletnie wykończona.

– Lucy, pytam, czy dojdiesz. – Niecierpliwość w głosie Zaca cięła ją jak nożem.

– Nie chcę iść do szpitala – odparła roztrzęsionym głosem.

– No cóż, tam właśnie mam zamiar cię zabrać.

Szukając pociechy, Lucy zaczęła się kiwać w tył i przód. Tylko że to nic nie dawało. Wiedziała, że Zac ma rację. Na pewno stało się coś strasznego. Ale jeśli Zac z nią będzie, jakoś to przeżyje, prawda?

– A potem weźmiesz mnie do domu?

– Tak.

Usiłowała zablokować wspomnienia, lecz one i tak wypływały na powierzchnię myśli. Antyseptyczny zapach, popiskiwanie urzędów, zimna, sterylna podłoga. A na łóżku mamusia, a właściwie to, co z niej zostało, nieruchoma i blada.

– Może mógłbyś załatwić, żeby ktoś przyszedł obejrzeć mnie w domu? – zaproponowała z nadzieją w głosie. – Może ten sam sympatyczny ratownik co poprzednio?

– Lucy, jesteśmy w Portland. Nikogo tutaj nie znam.

– Nooo... tak.

– No i właśnie dlatego musisz zostać przebadana. Rany Julek, nawet nie wiesz, gdzie się znajdujesz!

Wzdrygnęła się, słysząc ten kategoryczny ton, ten twardy wzrok. Wyglądało, że Zac się złości. Jakby nie obchodziło go, co się z nią dzieje. Przecież może mieć krwotok w mózgu albo za dwie minuty może paść martwa!

– No, Lucy – powiedział, wstając. – Nie masz wyboru. Idziemy.

Wziął ją na ręce i trzymał w objęciach delikatnie, ale jakby bezosobowo, jak automat. Dziewczyna położyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy. Może kiedy się obudzi, koszmar zniknie.

## Rozdział 3

**Z**ac oparł łokcie na kolanach i przyglądał się, jak pielęgniarka podłącza kroplówkę. Lucy dostała lek przeciwko bólowi głowy oraz na uspokojenie żołądka i nerwów. Teraz leżała z zamkniętymi oczami, a w miarę jak zaczynały działać podane środki, z jej rysów zniknęło napięcie.

Pielęgniarka wyszła i Zac oddał się kontemplowaniu twarzy Lucy. Brwiom układającym się w delikatny łuk, jasnej cerze, różowym ustom, które aż prosiły się o całowanie. W ogóle się nie zmieniła. Nadal miała te bezbronne błękitne oczy, które patrzyły mu prosto w serce. Wyjęła spinki z włosów, które spadały jej falami na ramiona, przykrywając kawałek brzydkiej szpitalnej koszuli. Ulżyło mu, gdy zdjęła ślubną suknię.

Suknia ślubna. Kiedy zobaczył dziewczynę na przystani, mało brakowało, a odwróciłby się na pięcie i odszedł. Minęło zaledwie siedem miesięcy, odkąd go zostawiła. Jak udało jej się tak szybko zakochać i zaręczyć? A może zakochana była już wcześniej? Może właśnie dlatego go porzuciła? Ta myśl uderzyła go jak obuchem.

Ze sztywno założonymi rękoma odchylił się na oparcie krzesła i zmarszczył brwi. Co on tu, do cholery, robi? Dziewczyna miała przecież narzeczonego, którego kochała, i który czekał na nią w kościele pełnym ludzi, martwiąc się, co się z nią dzieje.

Nie, to wszystko nie miało sensu. Bo co ona porabiała, sama jedna, w taniej knajpie tuż przed ślubem?

Nie tylko Lucy gnębiły pytania bez odpowiedzi.

No, ale na razie należy je odłożyć na bok. Zaraz pojawi się lekarz – z następnym zestawem pytań. Kiedy Lucy wypełniała w poczekalni jakieś formularze, nawet przez moment nie zawahała się nad rubryką z adresem. Wpisała adres swojego mieszkania w Summer Harbor i zatrzymała się dopiero, kiedy musiała wypełnić numer ubezpieczenia społecznego.

Lucy nie miała pojęcia, w jak dużym stopniu straciła pamięć. Musi jej to uświadomić, lecz w sposób delikatny – bo mimo że tak niemiło się z nim rozstała, u niego instynkt opiekuńczy nadal działał.



Lucy zatrzepotała rzęsami i otworzyła powieki. Czuła się o wiele lepiej. Dzięki Bogu za te leki. Zawroty głowy niezupełnie ustąpiły, ale to drobiazg w porównaniu z paraliżującym strachem.

Jej wzrok spoczął na Zacu skulonym na krześle koło łóżka. Dzięki Bogu nadal tu jest. Mimo że wszystko widziała lekko rozmazane, dostrzegła jego wyraźnie niezadowoloną minę. To bolało. Przecież zawsze był taki czuły. Taki opiekuńczy i słodki.

– Dlaczego się na mnie złościysz? – szepnęła.

Natychmiast przeniósł na nią wzrok i spytał łagodniej:

– Lepiej się czujesz?

– O wiele lepiej.

– To dobrze. – Wstał i zaczął krążyć po sali.

Był taki wysoki i barczysty. Górował nad Lucy, wzrostu zaledwie metr sześćdziesiąt, a kiedy brał ją w ramiona, czuła się bezpieczna i kochana tak, jak nigdy od czasu dzieciństwa. Emanował spokojną pewnością siebie. Teraz chodził tam i z powrotem po sali szpitalnej.

W końcu zatrzymał się, spojrzał jej w twarz i rzekł:

– Lucy, jest kilka rzeczy, o których musisz wiedzieć.

– Co takiego? – spytała, podciągając prześcieradło pod samą brodę.

– Ten... ślub. – Machnął ręką w kierunku białej sukni wystającej przez niedomknięte drzwi szafy. – To nie był nasz ślub.

Lucy zamrugła, żeby lepiej widzieć Zaca. Żeby zrozumieć, o czym mówi.

– Jak to nie nasz?

Zac odetchnął głęboko i prychnął, lekko zirytowany.

– Nie jesteśmy już parą, Lucy.

Dlaczego on mówi takie rzeczy? Lucy poczuła, że z tyłu, za oczami, zaczyna ją piec. Potrząsnęła głową, żeby uwolnić się od rosnącej guli w gardle.

– Skończyło się to wiele miesięcy temu. Przepraszam, że mówię o tym bez ogródek, ale doktor będzie miał do ciebie jeszcze jakieś pytania, więc musisz wiedzieć, że... że z pamięci wyleciał ci bardzo duży kawał czasu.

Zamiast serca miała bolącą przepaść. To nie może być prawda. Nie mogli się rozstać. Zac ją kochał, a ona jego. I to jak!

– Nie wierzę – odparła, kręcąc głową.

Wsunął ręce do kieszeni i podszedł do łóżka, niemal do samej barierki.

– To prawda. Nie pamiętasz wypadków z co najmniej siedmiu miesięcy. – Cały czas mówił bardzo rzeczowym tonem, którego zaczynała nienawidzić.

– Dlaczego mi to robisz? – spytała łamiącym się głosem.

– Mówię ci prawdę. Musisz to wiedzieć i lekarz też, żeby mógł postawić... – urwał, bo nagle w oczy wpadła mu gazeta, którą kupił w holu. Sięgnął po nią i zapytał: – Lucy, jaki dziś jest dzień?

– Jest... jest... Nie pamiętam. Dzień naszego ślubu. Siedemnasty listopada. – Spojrzała mu badawczo w oczy. Zac nic nie odpowiedział, a im dłużej milczał, tym bardziej rosły jej obawy.

W końcu Zac odezwał się:

– Siedzieliśmy na ławce na przystani. Czy pogoda była listopadowa?

Skupiła się, ale nie mogła sobie przypomnieć. Czy było jej zimno?

– Lucy, to nie listopad, tylko czerwiec.

Pokręciła głową niedowierzająco. Niemożliwe, żeby było lato. Przecież dopiero co skończyła dekorować mieszkanie na Święto Dziękczynienia. Wyjęła świąteczny obrus, brązowe wysokie świece i wielkiego pluszowego indyka, który gulgotał, gdy nacisnęło się mu na brzuch. Dwa dni temu zaśmiewała się, słuchając tego śmiesznego dźwięku.

Zac podetknął jej gazetę przed nos. Przymrużyła oczy, żeby widzieć ostro w miejscu, które wskazywał palcem. Dzisiejsza data. 15 czerwca. I rok, którego nadejścia w ogóle nie pamiętała.

Zakręciło jej się w głowie, skóra zaczęła ją palić i poczuła, że spociała się na karku. Nagle zapragnęła, żeby wróciła pielęgniarka i dała jej podwójną dawkę leków przeciwlękowych, bo dotychczasowa przestała działać.

– Nie martw się...

– Straciłam siedem miesięcy z mojego życia? Siedem miesięcy??? – Świat wirował jej przed

oczyrna. Co mogło wydarzyć się w tym czasie?

- Zerwaliśmy ze sobą? – spytała, przyciskając dłonie do klatki piersiowej.
- Owszem.

Zac był jedynym, co jej się w życiu udało. Jedynym, bez którego nie mogła żyć. Jej spojrzenie powędrowało w kierunku szafy i spoczęło na białej sukni.

– Jeśli już nie jesteśmy razem, to dlaczego miałam suknię ślubną, co? Odpowiedz mi na to pytanie.

- Nie mam pojęcia – odparł i zacisnął usta.
- To nieprawda, co mówisz. Wszystko wymyśliłeś.
- Dlaczego miałbym wymyślać coś takiego?
- Jesteśmy zaręczeni.
- Naprawdę? To gdzie jest pierścioneł, który ci dałem?
- Tutaj! – Wyciągnęła rękę i po raz pierwszy wpadł jej w oko pierścioneł. Bardzo duży

diament.

Nie taki, jaki dostała od Zaca.

Wydała stłumiony okrzyk.

- Co się dzieje? – spytała, czując przypływ paniki.

Do sali wszedł sanitariusz.

- Okej, czas na zdjęcie.

Szybko sprawdził tożsamość Lucy, odłączył kroplówkę i zaczął wytaczać łożko na korytarz.

Lucy odwróciła się i spojrzała Zacowi prosto w oczy. Stał bez ruchu, z rękami w kieszeniach i ustami zaciśniętymi w wąską linię, i patrzył na nią bez emocji. Straciła go z oczu tak szybko, jak straciła pamięć.

## Rozdział 4

– **P**roszę mi powiedzieć, jakie jest pani ostatnie wspomnienie, pani Lovett?

Była północ i lekarz od dziesięciu minut nękał Lucy pytaniami. A ona miała mętlik w głowie. Tomografia nie wykazała żadnych zmian. Doktor powiedział, że wszystko w normie. Jak może być w normie, skoro, jak widać, nie jest w normie?

Lekarz, po trzydziestce, z rozwichrzoną czupryną i błękitnymi oczami spoglądającymi zza okrągłych okularów, wyglądał jak John Lennon. Dlaczego pamięta Lennona, skoro nie pamięta rozstania z jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała? Jak to możliwe, że siedem miesięcy życia po prostu wyciekło jej z pamięci? Miała jakiegoś mężczyznę – narzeczonego! – którego nawet nie kojarzyła. Co robiła przez te siedem miesięcy? Gdzie mieszkała?

– Lucy – przywołał ją do rzeczywistości Zac – ostatnia rzecz, którą pamiętasz.

Odchrząknęła i skupiła się.

– Hm, wracaliśmy z „Przydrożnego Zajazdu”, to restauracja Zaca, do domu. Pożegnaliśmy się przed drzwiami.

Nagle przed oczami mignął jej nowy obraz i spojrzała na Zaca.

– Wzięłeś do ręki dynię leżącą na ganku i udawałeś, że mówisz!

Śmiała się z jego wygłupów i cieszyła, że zaczyna zachowywać się jak dawniej. Po śmierci ojca długo nie mógł wyjść z przygnębienia. Odłożywszy dynię, przytulił Lucy i powiedział, że nie może doczekać się tego, żeby spędzić z nią resztę życia.

Teraz, zanim odwrócił wzrok, w jego oczach ujrzała błysk wspomnienia.

– Kiedy to było? – spytał Zaca lekarz niewyczuwający napięcia między nimi.

– Pod koniec października.

Lekarz złożył kartę pacjenta i rzekł:

– No cóż, najwyraźniej ma pani wstrząs mózgu i amnezję wsteczną. To znaczy, że ten uraz spowodował utratę pamięci.

– A odzyska ją?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie. Różnie to wygląda. Czasami, choć nie zawsze, pomocne bywa umieszczenie pacjenta w znajomym otoczeniu i wśród znajomych osób. Najchętniej zatrzymałbym panią w szpitalu na noc, żeby poobserwować...

– Nie, proszę pana – sprzeciwiła się stanowczo Lucy. Nie mogła się doczekać, żeby stąd wyjść. – Nie chcę zostać. Muszę wrócić do domu. Mówił pan, że wynik tomografii jest w normie.

– Jak najbardziej. I nie jestem przeciwny puszczeniu pani do domu, pod warunkiem, że ktoś będzie z panią przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny.

Lucy posłała Zacowi błagalne spojrzenie. Żadna ilość środków uspokajających jej tu nie zatrzyma.

Zac przymrużył oczy i zacisnął szczęki.

– Dobrze – powiedział w końcu.

– Będzie musiał pan budzić ją co kilka godzin. Póki symptomy nie ustąpią, pacjentka

potrzebuje spokoju. Przepisałem środki przeciwko bólowi głowy i nudnościom. Pielęgniarka powie panu, jakie są zasady opieki nad osobą ze wstrząsem mózgu. I należałoby panią umówić na wizytę u lekarza, u którego zazwyczaj się leczy.

– A co z moją pamięcią? – spytała Lucy. – Wróci?

Doktor spojrzał na Zaca, a potem na Lucy.

– No cóż, poczekamy, zobaczymy. Proszę się tym nie zamartwiać, wypoczynek i spokój najważniejszy – powiedział i wyszedł.

Kiedy zniknął za drzwiami, Lucy przycisnęła palce do czoła i wyrzuciła z siebie:

– Mam się nie martwić tym, że nie pamiętam siedmiu miesięcy życia?

– Dręczenie się niczego nie zmieni.

– Łatwo mówić! To nie ty masz wyrwę w życiorysie. – I w dodatku nieodwzajemnione uczucie do kogoś, kto nie może na ciebie patrzeć.

Zac usiadł na krześle.

– No, ale przynajmniej możesz wyjść. Zrealizujemy receptę i poszukamy hotelu gdzieś w pobliżu. Rano zajmę się szukaniem miejsca, gdzie mieszkasz, i docieraniem do twoich... znajomych.

Lucy podniosła się z poduszek do pionu.

– Powiedziałeś, że zabierzesz mnie do domu. Obiecałeś.

Zac spojrzał na nią cierpliwie.

– Do twojego obecnego domu.

– Nawet go nie pamiętam! Ani domu, ani tych ludzi. Chcę wrócić z tobą do Summer Harbor.

– Lucy, to nie...

– Tutaj to nie jest mój dom. W ogóle go nie pamiętam.

– To może się zmienić. Obudzisz się rano i wszystko będzie inaczej wyglądać.

– Albo nie będzie.

W oczach Zaca mignęło coś, co niosło pocieszenie. W głębi serca chyba jednak nie jest mu obojętna. Nie może być obojętna po tym wszystkim, co razem przeżyli.

– Błagam cię, weź mnie do domu. Tam, gdzie jest moje miejsce. – Oczy zaczęły ją piec. Tak usilnie walczyła o to, żeby powstrzymać łzy, że nie potrafiła powstrzymać słów, które cisnęły się jej na język: – Musisz zabrać mnie do domu. Kocham cię.

Zac spojrzał na nią chłodno i rzekł:

– Nie mów tak.

– Ale to prawda.

– Tak ci się wydaje. Twoje życie jest tu, Lucy. Tu masz pracę, dom i tego pieprzonego narzeczonego.

– Niczego takiego nie pamiętam. Pamiętam tylko Summer Harbor, moje mieszkanko i ciebie... – Głos jej się załamał.

Zac zerwał się na nogi i zaczął nerwowo krążyć po sali z rękoma zaplecionymi za głową. Nie może jej zawieść. Zac, ten którego zna, na pewno tego nie robi. A może? Obrócił się twarzą do ściany – po sposobie w jaki stał, po linii ramion można było poznać wewnętrzne napięcie. Wydawało się, że tkwił tak, tyłem do niej, w nieskończoność. W końcu odwrócił się do Lucy i powiedział:

– Okej.

Dobrze, pomyślała, że z tej odległości nie widzi jego oczu. Wyobraźnia aż za wyraźnie podpowiadała jej, co mogłaby w nich wyczytać.



– Zabiorę cię do Summer Harbor. Ale i tak musimy znaleźć twoje mieszkanie i przyjaciół, niezależnie od tego, czy pamięć ci wróci, czy nie. Twoje życie jest związane z Portland, nie z Summer Harbor.

„I nie ze mną”.

Niewypowiedziane słowa wisiały w powietrzu, przytłaczając Lucy. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek mogła mieć ochotę się tu sprowadzić albo rzucić Zaca.

Nie chciała przeciągać struny, więc szybko zaakceptowała to, co możliwe.

– W porządku. Niech tak będzie.

Wróci do Summer Harbor i postara się rozgryźć to, co się wydarzyło. A potem stanie na głowie, żeby wszystko naprawić. Ponieważ dobrze wiedziała, że nigdy nie będzie kochała nikogo tak, jak kochała Zaca Callahana.

## Rozdział 5

**Z**ac skręcił w Harbor Drive i jechał dwupasmową szosą wzdłuż wybrzeża. Reflektory jego silverada wycinały w ciemnościach jasne pasmo, oświetlając drogę, lecz przez całą trasę do Summer Harbor Zac prawie nic nie widział, mimo że oczy miał otwarte.

Było wpół do czwartej rano i Lucy od dawna już spała. Miała na sobie jakieś kompletnie niepasujące na jej figurę ubrania ze szpitalnego magazynu rzeczy znalezionych. Suknię ślubną Zac rzucił na tylne siedzenie.

Kiedy przejeżdżali przez Ellsworth, Lucy na zakręcie osunęła się w fotelu i jej głowa opadła mu na ramię. Owionął go znajomy jabłkowy zapach szamponu, a może perfum czy jeszcze czegoś innego, czym zawsze tak świeżo pachniała, i nagle poczuł się jak wtedy, gdy jeszcze byli razem.

Lucy westchnęła głęboko i przytuliła się ściślej do jego ramienia.

„Co robisz, Panie Boże? Jestem tylko mężczyzną. Dlaczego wciągasz ją z powrotem w moje życie?”

Zaledwie dwanaście godzin temu przygotowywał się do pracowitego wieczoru w restauracji. A teraz wiózł swoją byłą narzeczoną do Summer Harbor.

Gdy za ostatnim zakrętem pojawił się „Przydrożny Zajazd”, Zac nacisnął hamulec. Mimowolnie spojrzął na okna mieszkania na piętrze, wjechał na parking i zgasił silnik.

Lucy się nie obudziła. W nagłej ciszy słyszał jej łagodny oddech i czuł na ręce koło łokcia rozszerzanie się jej płuc. Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Jej twarz była skąpana w złocistym świetle reflektorów, długie rzęsy rzucały cień na policzki, a włosy spadały kaskadą na ramiona.

Lucy mawiała, że przez pulchną sylwetkę i dołeczki w policzkach nigdy nie wyjdzie z kategorii „ładniutkiej kobietki”. Ale się myliła. Była piękna. Zaca świerzbiły palce, żeby odgarnąć jej włosy z twarzy, żeby dotknąć jej miękkiego policzka. Musnąć szlachetnych ust. Żeby choć przez kilka minut udawać, że wszystko jest tak, jak dawniej.

Zacisnął zęby. „Dość tego, Callahan”.

Szturchnął Lucy ramieniem. Dziewczyna obudziła się naraz i podniosła głowę. Rozejrzała się wokół, najwyraźniej zdezorientowana. Zacowi przyszło na myśl, że może w cudowny sposób odzyskała pamięć.

A potem ich oczy się spotkały i Lucy posmutniała.

– Która godzina? – spytała.

– Po trzeciej.

– Myślałam... a dlaczego nie podjechałeś do mnie?

Była jeszcze lekko oszołomiona albo wskutek leków, albo wstrząsu mózgu, i wyglądała bardzo słabo, bezbronne. Zac zapragnął ją przytulić i z trudem nakazał sobie powściągliwość. Nie może zapominać, w jaki sposób go opuściła. I że w Portland ma przecież narzeczonego.

– Już nie ma twojego mieszkania. Dziś wieczór możesz przespać się w dawnym pokoju Riley.

Wysiadł z furgonetki i obszedł auto, żeby podać jej rękę, gdyby nadal miała zawroty głowy. Jakiś czas temu Riley wynajmował ten pokój. Kiedy Zac przejął „Przydrożny Zajazd”, było to

pomieszczenie zapchane starymi gratami. Jego brat wyremontował je w zamian za niski czynsz.

– A on już tu nie mieszka? – zdziwiła się Lucy, kiedy otworzył drzwiczki po jej stronie.

– Wstąpił do piechoty morskiej. Ostrożnie – powiedział, widząc, że zachwiała się przy wychodzeniu. – Przed snem powinnaś wziąć leki.

Z ciemnej sali restauracyjnej weszli w krótki korytarzyk, minęli jego biuro i prywatną łazienkę. Dalej znajdował się pokójk umeblowany tylko najpotrzebniejszymi rzeczami. Zac nie pamiętał, kiedy ostatni raz zmieniano tu pościel. Było duszno, więc uchylił okno.

Napełnił szklankę wodą i pomógł Lucy zażyć tabletki. Senny wzrok i lekko rozmazany makijaż sprawiały, że wyglądała młodziej i trochę bezradnie. Zac przyniósł jej z góry podkoszulek, który pewnie będzie sięgał jej do kolan.

Kiedy już się rozgościła, zebrał się do wyjścia i powiedział:

– Za kilka godzin cię obudzę.

Lucy siedziała na krawędzi łóżka, tuląc do siebie otrzymany T-shirt. Spojrzała na Zaca tymi wielkimi błękitnymi oczami, dla których dawniej tracił głowę.

– Dziękuję ci.

Uśmiechnął się wymuszenie i zamknął drzwi. Przez chwilę się kręcił, zajrzał do restauracji, coś tam poprawiał, poprzestawiał. W głowie mu się kotłowało, cały był rozkręcony, jakby wypił dzbanek kawy.

Koło wpół do piątej zmusił się do położenia się na chwilę w biurze. Nogi wystawały mu poza kanapę, lecz to mu nie przeszkadzało. Nastawił budzik na szóstą, żeby skontrolować, czy z Lucy wszystko w porządku, ale kiedy zadzwonił – on jeszcze nie zdążył zasnąć. Pomyślał, że rano na pewno nie będzie w stanie iść do kościoła.

Poszedł do pokoju Lucy. Przez pękniętą szybę w oknie napływały dźwięki budzącego się dnia. Poranne światło, rozproszone przez firankę, kładło się plamą na śpiącej pod kołdrą Lucy. Leżała na boku, odwrócona w stronę drzwi, skulona, w pozycji płodowej.

Widząc ją, wyobraził sobie, że ostatnie siedem miesięcy wcale się nie wydarzyły. Lucy nigdy nie wyjechała z Summer Harbor. Wzięli ślub, jak planowali, 17 listopada. A teraz leżała w ich łóżku i była jego. Na myśl o tym serce zaczęło mu walić jak szalone.

„Daj sobie spokój. Daj sobie z tym spokój!”

Zac po cichu zbliżył się do łóżka i dotknął ramienia kobiety.

– Lucy! – Nie poruszyła się, więc ją lekko szturchnął. – Lucy, obudź się.

– Zac – odezwała się zaspanym głosem.

– Wszystko w porządku?

– Uhm.

– To dobrze. Tylko sprawdzałem. – Odwrócił się, żeby wyjść.

– Zostań – powiedziała Lucy, łapiąc go za rękę.

Ona chce go dobić. Wyrwał dłoń.

– Jestem w pokoju biurowym obok. Zaśnij z powrotem.

Kiedy wrócił do siebie, nastawił budzik na dziewiątą i położył się, ale nie zasnął, tylko z oczami utkwionymi w ciemnym suficie zastanawiał się, jakie ma podjąć działania. Najpierw poszuka zapowiedzianych ślubów w Portland. Przy informacji będzie na pewno podany kościół, więc zadzwoni do pastora z prośbą o numery kontaktowe. A jak dotrze do narzeczonego, jego rola będzie zakończona. Na tę myśl poczuł pustkę w sobie. Trudno. Im szybciej wyprawi ją do Portland, tym lepiej.

Musiał zasnąć, bo kiedy otworzył oczy, przez okno wpadało światło. Dzwonił budzik. Zac sprawdził, co z Lucy, po czym na płaczących się nogach wrócił na sofę i zapadł w sen.

Obudził go jakiś hałas. Usiadł gwałtownie, nie mając pojęcia, co się dzieje. Potem wróciło wspomnienie wieczoru i nocy. Telefon Lucy. Wizyta na pogotowiu. Lucy w pokoju gościnnym. Przetarł twarz dłonią.

Znowu rozległo się walenie. Zac zwlókł się z kanapy i podszedł do drzwi.

Na ganku stał Beau, ubrany wyjściowo, i spoglądał na niego surowo.

– Gdzie się podziewałeś? Nie było cię w kościele.

Zac cofnął się z powrotem do korytarza. Za wczesna pora na wyrzuty.

– Późno wróciłem. Mało spałem.

Marząc o kawie, ruszył do swojego mieszkania z Beau depczącym mu po piętach.

– Całe rano wysyłałem ci esemesy.

– Co za problem nagle wyskoczył?

– Żartujesz? Wczoraj wieczorem wyjeżdżasz bez słowa wyjaśnienia, zostawiając całą restaurację na mojej głowie, a rano nie pojawiaasz się w kościele.

Zac wszedł do salonu, nie zamykając drzwi, i udał się prosto do kącika kuchennego z ekspresem do kawy.

– Nie było... Zac, co się stało? Strasznie wyglądasz.

– O rety, daj mi chociaż w spokoju zrobić kawę. – Napełnił ekspres wodą, dosypał ziaren kawy i przycisnął guzik. Słyszał dobiegające z salonu nerwowe kroki. Beau był w swoim najlepszym wydaniu starszego brata.

Zac wyjął kubek i obejrzał się za ramię. Beau wyglądał za okno wychodzące na przystań.

– Chcesz kawy?

– Nie, dziękuję.

Na myśl o Lucy śpiącej na dole i o tym, że dziś ma zabrać się do poszukiwań, zaczęło mu pulsować w głowie. Rzut oka na zegarek zdradził mu, że jest prawie wpół do pierwszej. Kiedy Beau sobie pójdzie, sprawdzi, czy z Lucy wszystko w porządku, i zacznie googlować. Na pewno bez trudu znajdzie wzmiankę o ślubie i dotrze do narzeczonego.

Nieprzychylnym spojrzeniem obrzucił płyn powoli ciurkający do kubka. „Pospiesz się!”.

Jeśli będzie miał fart, jeszcze przed zmierzchem uda mu się odszukać potrzebne informacje i wyprawić ją do Portland. Może nawet Lucy odzyska pamięć. Tak byłoby najlepiej dla wszystkich.

Westchnął i przyszedł mu na myśl mężczyzna, któremu miała oddać swe życie. Biedny głupek. Nie ma pojęcia, w co się wpakował.

Ledwie się ta myśl uformowała, gdy umysł natychmiast podsunął mu na pamięć uroczą, zalotną Lucy. Taką, która potrafiła wydobyć z niego co najlepsze. Była spełnieniem jego wszystkich marzeń.

„A potem zostawiła cię bez słowa”.

Ekspres zaczął wreszcie gulgotać, oznajmiając, że ulubiona używka jest gotowa. Napełnił kubek, spróbował i ruszył do salonu. Jeśli wytłumaczy się ogólnie, bez wdawania się w szczegóły, to może Beau da mu spokój i sobie pójdzie.

Dotarł do progu kuchni i zamarł. W drzwiach mieszkania stała Lucy. Z rozwichrzonymi ciemnymi włosami i w obszernym podkoszulku sięgającym do połowy uda wyglądała bardzo pociągająco. Uśmiechnęła się niepewnie do Zaca, a tuż potem jej wzrok spoczął na Beau, odwróconym do niej plecami.

Jej uśmiech nabrał pewności.

– Hej, Beau, jak się masz?

Beau odwrócił się i otworzył usta ze zdumienia.

– Nie... nie wierzę.

Oderwał oczy od Lucy i przygwoździł Zaca potężnym spojrzeniem.

„No, wal śmiało! Dlaczego człowiek nie może w spokoju napić się kawy?”

– Nie powinnaś była tu przychodzić – powiedział Zac ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Dziewczyna skurczyła się i skrzyżowała przed sobą ramiona.

– Nie mogę znaleźć...

– Zaraz zejść na dół.

Mógłby zaproponować kubek kawy, ale chciał się jej jak najszybciej pozbyć.

Jej oczy przeskoczyły z Beau na Zaca.

– Oookej.

Zac zamknął za nią drzwi i wziął duży łyk kawy, prawie nie zwracając uwagi na to, że parzy mu gardło. Czuł na sobie wzrok brata, gdy siadał na fotelu, starając się wymazać z pamięci, że piętro niżej czeka eksnarzeczona, w jego własnym podkoszulku i nadal w nim zakochana.

– Coś. Ty. Zrobił!

Zac spojrział na twarz brata i szybko odwrócił wzrok. Nie dość szybko jednak, aby nie zauważyć głowy z niedowierzaniem wysuniętej do przodu ani zszokowanego wyrazu oczu.

– To wcale nie to, na co wygląda.

– No to w takim razie co?

– Miała wypadek. Pomagam jej, to wszystko. Zawiozę ją do domu przed...

– Pomagasz jej?

– ...wieczorem, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Porzuciła cię!

– Ma wstrząs mózgu! I straciła pamięć. Co według ciebie miałem zrobić?

– To w tej sprawie dzwoniła? Ni z tego, ni z owego telefonuje, po tym wszystkim, co ci zrobiła, a ty biegniesz...

– Zaczyna się!

– ...jej na pomoc?

– Ma amnezję! Nie dotarł do ciebie ten fragment łamigłówek?

Beau wsunął ręce w kieszenie spodni w kolorze khaki.

– Niech sobie ma nawet malarię! Co to cię obchodzi? Utraciła prawo do liczenia na twoją pomoc, odkąd cię porzuciła, zostawiając ci na głowie problem odwoływania ślubu. I łamiąc ci serce, gdybyś tego nie pamiętał.

– Doskonale pamiętam. To ona zapomniała. Nie pamięta nawet tego, że wyjechała z Summer Harbor. Ocknęła się, leżąc na podłodze w toalecie w jakiejś knajpie, z guzem na głowie i z dziurą w pamięci. Nie pamięta nic z ostatnich siedmiu miesięcy życia.

Beau spojrział na brata uważnie, jakby starając się dopasować do siebie fragmenty układanki. Powodzenia. A Zac jeszcze nie wspomniał mu o sukni ślubnej.

Beau podszedł do kanapy, usiadł naprzeciw brata, oparł ramiona o kolana i przymrużywszy oczy, odezwał się tonem osoby wtajemniczanej:

– Ona uprawia jakieś gierki.

– Też mi to przyszło na myśl. Ale zawiozłem ją do szpitala. Naprawdę ma wstrząs mózgu. To fakt.

– A skąd wiesz, że nie udaje amnezji?

– Wiem.

– Nie bądź naiwny.

O, to zabolalo.

– Nie jestem naiwny! – warknął Zac. – Czego chcesz, karty z pogotowia? Siedziałem przy niej i na własne uszy słyszałem, że ma utratę pamięci.

– Dlatego, że powiedziała, że nic nie pamięta? Zejdź w końcu na ziemię. Wiesz dobrze, że potrafi owinąć cię wokół palca. Po tym, co zrobiła, uważam, że jest zdolna do udawania amnezji.

– Nie widziałeś jej wczoraj. Nie widziałeś, jaka była zdołowana. Musiała jechać do szpitala. Dobrze wiesz, jakie to dla niej przeżycie. Poza tym, dlaczego miałyby kłamać? W końcu to ona mnie zostawiła.

– Może zmieniła zdanie. Może wymyśliła, że zagra na twoich uczuciach, żeby...

– Była w sukni ślubnej, dotarło?

– Co takiego?

– Miała na sobie białą suknię ślubną. I pierścionek zaręczynowy od jakiegoś palanta. To był dzień jej ślubu, a ona nawet nie może sobie przypomnieć narzeczonego!

Beau zmarszczył brwi.

– To wszystko nie składa się do kupy.

– No cóż, mam zamiar dotrzeć do sedna. Znajdę jej... znajomych i czym prędzej wyeksponuję do domu. Zanim się spostrzeżesz, już jej nie będzie.

– A gdzie była?

– W Portland.

Beau pokręcił głową.

– To nie ma sensu. Wyjechała zaledwie ile, sześć miesięcy temu?

– Siedem. – I osiemnaście dni. Ale kto by liczył tak dokładnie?

– I nie tylko zapomniła o tobie, ale już znalazła sobie kogoś, z kim gotowa była stanąć na ślubnym kobiercu?

Zac wzruszył ramionami. Prawda bolała, lecz nie miał zamiaru kłamać. On zmuszał się do tego, żeby umówić się z jakąś kobietą, a ona szykowała się do ślubu.

– Myślisz, że kantowała cię jeszcze przed rozstaniem?

– Nie wiem. – Wrócił myślami do jesieni. Tacy byli szczęśliwi. Albo tak mu się wydawało. – Nie sądzę. Wyglądało na to, że wszystko dobrze się układa.

Beau spojrział mu w oczy i w powietrzu zawisły niewypowiedziane słowa: „Ale najwyraźniej tak nie było”.

– Nie chcę o tym myśleć. Chcę znaleźć jej narzeczonego, przekazać mu ją i zapomnieć, że kiedykolwiek się tu pojawiła.

– Nie wiem, czy to będzie takie proste.

– Myślę, że tak. A tymczasem nikomu nic nie mów. Naprawdę nie mam ochoty, żeby wszyscy klepali mnie po plecach i pytali, jak sobie radzę. Albo jeszcze gorzej, żeby plotkowali o tym, jaki ze mnie naiwny głupek.

– Nie da się jej ukryć przed ludźmi, Zac.

– Dziś restauracja będzie zamknięta. A przed wieczorem stanę na głowie i zawiozę ją do Portland.

## Rozdział 6

**L**ucy odsunęła szpatułką krawędź omletu od patelni i szybkim ruchem przewróciła na drugą stronę. Lubiła gotować w „Przydrożnym Zajeździe”. Spizarnia zawsze doskonale zaopatrzona, a patelnie z górnej półki.

Naprawdę minęło siedem i pół miesiąca, odkąd była tu ostatnim razem? To chyba niemożliwe. Umysł podpowiadał jej co innego.

Nie mogła zapomnieć, jak Beau spojrział na nią, kiedy zjawiała się na górze w mieszkaniu Zaca. Jakby była ostatnią osobą, jakiej spodziewałby się (albo chciałby) ujrzeć. Czowała, że w tym równaniu z wielu niewiadomymi brakuje jej zasadniczego fragmentu przeszłości.

Wróciwszy na dół, wzięła prysznic i włożyła dżinsy oraz podkoszulek z magazynu szpitalnego – wszystko na nią za duże. Zaczęło jej burczeć w żołądku, więc wzięła ze spizarni kilka produktów. Obojgu im śniadanie dobrze robi. Kwadrans temu usłyszała, że Beau wychodzi, i teraz tylko czekała, żeby Zac zeszedł na dół. Kiedy zsuwała omlety na talerze, na schodach rozległy się jego kroki. Po chwili wszedł do kuchni. Widząc ją przy kuchence, zatrzymał się gwałtownie.

Ubrany był w czarny podkoszulek, który opinał jego muskularny tors, i dopasowane dżinsy. Włosy miał jeszcze wilgotne po prysznicu, a brodę przyciętą krócej niż wczoraj wieczorem.

– Jak się czujesz? – Zdystansowane spojrzenie szarych oczu pozbawiło te potencjalnie ciepłe słowa jakiegokolwiek uczucia.

– Lepiej teraz, gdy leki zaczęły działać. Dziękuję, że sprawdzałeś, co się ze mną dzieje.

– A jak widzisz?

– Wciąż wszystko jest trochę rozmazane. – Gdyby nie burkliwy ton, mogłaby sobie wyobrazić, że jeszcze mu zależy. Ale nie. Jedyne, czego pragnął, to jak najszybciej się jej pozbyć.

Poczuła, że oczy ją pieką. Przelknęła łzy i położyła talerze na stole, przy którym jadali.

„Kiedyś jadali”.

Zac przyniósł karton z sokiem i usiedli do posiłku. W powietrzu wisiało napięcie, otaczało ich jak lepka pajęczyna. Byli tak blisko siebie, a równie dobrze mogliby być na końcu świata. Pomijając moment, kiedy natknął się na nią po wejściu do kuchni, Zac nawet nie obdarzył jej jednym spojrzeniem.

Jak to możliwe, że już jej nie kocha? A przecież tyle dla siebie kiedyś znaczyli. To niewyobrażalne. Jej uczucia były tak świeże. Jak to możliwe, żeby kochała innego mężczyznę, żeby zaledwie wczoraj była gotowa związać z nim swoje życie?

Z jednej strony intrygował ją ten obcy, z którym była zaręczona, a z drugiej pragnęła wymazać te siedem miesięcy, żeby wrócić tu, gdzie jest jej miejsce – do Zaca.

– Coś ci się przypomniało? – spytał ją teraz.

Nadzieja w jego głosie sprowadziła ją na ziemię. Lucy z całych sił pragnęła, żeby przypomniawszy sobie, jak bardzo ją kochał, on natomiast równie silnie pragnął, aby Lucy przypomniawszy sobie, że się rozstali.

Zapomniał o niej. To znaczy, że nie kochał jej naprawdę. Może... o rety, może umawiał się

już z jakąś inną kobietą? Może kochał tamtą?

Lucy straciła apetyt i posępnie grzebała widelcem w talerzu.

– Lucy.

– Nie... niczego nie pamiętam. – Odchrząknęła, żeby zapanować nad głosem i dodała: – Beau wyglądał, jakby był zły.

– Nie jest zły, tylko... myślał o czymś innym. Właśnie się zaręczył.

– Z Paige?

– Co? Nie. Jego narzeczona ma na imię Eden. Nie jest stąd. Przyjechała do Summer Harbor w zeszłym roku na Święto Dziękczynienia.

– Och. – Dużo się zmieniło od jej wyjazdu. Riley'a nie ma, Beau zmienił dziewczynę, a Zac wymazał ją z serca.

Przez chwilę milczał, po czym rzekł:

– Słuchaj, dziś restauracja będzie zamknięta. Siadaj przy komputerze i zacznij szukać informacji o sobie. Im szybciej wrócisz do swojego życia, tym lepiej.

Spojrzała na niego przenikliwie, ale on miał wzrok wbity w talerz.

– Lepiej dla kogo? – spytała. – Z mojego życia w Portland nie pamiętam absolutnie nic.

– Powrót do tamtego otoczenia, do dawnego trybu życia, na pewno pomoże odświeżyć pamięć.

– Nawet nie wiem, gdzie mieszkałam.

– Jakoś się tego dowiemy. – Włożył kęs omletu w usta.

Lucy przyjrzała mu się badawczo. Niechęć do kontaktu wzrokowego. Napięcie widoczne w linii ramion, dystans w zachowaniu. I ta reakcja Beau na jej widok. Zupełnie nie w jego stylu. Normalnie Beau był ciepły, przyjazny.

Może jej umysł nie funkcjonował na najwyższych obrotach, ale dotarło do niej, że najwyraźniej coś tu nie gra.

– Co się dzieje, Zac? – spytała.

Wreszcie spotkali się wzrokiem – i ta chwila ciągnęła się nieprzyjemnie.

– Dlaczego taki jesteś? Taki... obcy i zły. A Beau... nawet nie powiedział mi „dzień dobry”.

Zac odłożył widelec i wstał, zgrzytając stołkiem po kaflach. Zdrapał resztki omletu do kosza i wstawił talerz do zlewu.

– Sprawy między nami nie skończyły się zbyt dobrze, to wszystko.

– A co się stało?

Zac złapał zmywak i zaczął ścierać blat.

– Zniknęłaś, to się stało.

– Jak to zniknęłam?

– Jakbyś zapadła się pod ziemię. Bez żadnych wyjaśnień.

Zatkało ją. Niemożliwe.

– Nie.

– Ależ tak. Wyjechałem zaledwie na weekend. A kiedy wróciłem, ciebie już nie było. Twoje mieszkanie było puste, wszystko zabrałaś – mówił spokojnie, ale w głosie czuło się potężne napięcie. – Nie napisałaś nawet kartki, zmieniłaś numer telefonu. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziałaś. Ale zostawiłaś pierścioneł, wielkie dzięki.

Lucy pokręciła głową.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. – Przecież kochała Zaca. To była miłość na śmierć i życie. Musiał to czuć. – Coś jeszcze musiało się stać. Coś, o czym mi nie mówisz. Co takiego?



Nie spuszczać z niej oczu, odparł:

– Mówię ci wszystko, co wiem. I uwierz mi, jestem doskonale świadomy, że to całkiem niewiele.

Zrobiło jej się niedobrze. Odsunęła talerz.

Ręka Zaca tylko śmigła, przecierając płytę. Ale mówił ostrożnie, z umiarem.

– Kiedy nie mogłem się z tobą w żaden sposób skontaktować, doszedłem do wniosku, że to koniec. Że to koniec z nami. Zadzwoiłem do kwiaciarni, do fotografa, cukierni i do wszystkich gości zaproszonych na ślub i poinformowałem ich, że impreza odwołana.

W sercu Lucy otworzyła się ziejąca dziura. Oczy ostro zapiekły. To było okropne. Nie mogła przecież tak paskudnie go rzucić. Nie zrobiłaby tego nikomu, a już szczególnie nie Zacowi.

– Ale zrobiłaś.

Nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała to na głos. Twarz paliła ją, jakby przypiekła się na słońcu.

– Coś musiało się... Nie wiem, jak to... Nic z tego nie rozumiem.

– No to oboje nic nie rozumiemy. – Zac rzucił zmywak do zlewu i odwrócił się do niej. Wziął głęboki oddech. Jego klatka piersiowa uniosła się i opadła i Lucy zaczęła domyślać się, jaki ból mu sprawiała.

Nic dziwnego, że zmienił się w stosunku do niej. Nic dziwnego, że jego brat tak się rozindyczył na jej widok. Był bardzo opiekuńczy wobec Zaca. Lucy nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co Zac mówił. Kochała go bardzo i nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogła go tak wystawić do wiatru.

Jednak pamięć zaraz przypomniała jej podobne wypadki. Z czasów, zanim poznała Zaca. Robiła dokładnie to samo – odchodziła. Przypomniała sobie też, że czasami intensywność uczu do niego napełniała ją przerażeniem.

Patrząc, jak Zac stara się opanować, zatęskniła za tym, żeby móc podejść i go pocieszyć. Chciała, żeby podniósł ją i posadził na blacie kuchennym, jakby była piórkiem. Chciała go całować, póki nie scałuje całego bólu. Póki oboje nie zapomną tego wszystkiego, co się stało.

Lecz on wcale by sobie nie życzył ani jej pociechy, ani jej pocałunków.

– Nie mogę... nie mogę uwierzyć, że tak postąpiłam. Ale jeśli naprawdę...

– Naprawdę.

– To bardzo przepraszam. Jakoś wydaje mi się to nierzeczywiste. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, dlaczego bym... – Pokręciła głową. – Kocham cię.

Zacowi drgnął mięsień na szczęce.

– Przestań to powtarzać. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Zamrugła, żeby się nie rozpłakać.

– Ale to prawda. Nadal mam wrażenie, jakby za kilka dni miał być nasz ślub. Nadal chcę spędzić z tobą całe życie.

Emocje Zaca ujawniły się tylko przez zaciśnięcie ust.

– No cóż, odzyskasz pamięć i przestaniesz tego chcieć. Zapomniałaś, że miałaś stanąć przed ołtarzem z innym mężczyzną?

Zac był potwornie spięty. Żyły na szyi naprężyły się, na zuchwie pojawiły się węzły, a jego spojrzenie prześwietlało ją.

– Słuchaj. Dzisiaj zajmijmy się zbieraniem informacji. Musimy rozgryźć to, gdzie mieszkałaś i pracowałaś, znaleźć twójego...

„Narzeczonego”.

Nie dokończył. Schwycił jej talerz oraz szklanę i włożył je do zlewu.  
– Będę w biurze. Może powinnaś odpocząć.

## Rozdział 7

Zac położył głowę na oparciu fotela i zdusił pragnienie rzucenia laptopem o ścianę. Dlaczego to takie trudne? W końcu to ślub, o tym się trąbi wokół. Ogłasza się. Anonsuje w gazetach. A tymczasem na żadnym portalu w Portland nie można znaleźć ani jednej wzmianki o ślubie Lucy. Sprawdził, czy jej nazwisko nie pojawiło się w „Portland Press Herald” lub w „Daily Sun”. Wpisał je w Google razem hasłami „ślub” i „zaręczyny”. Przeszukał portale mediów społecznościowych z nadzieją, że w ciągu minionych siedmiu miesięcy Lucy dołączyła do reszty świata. Ale nie dołączyła.

„Oczywiście, że nie. Przecież wcale nie chciała, żebyś ją znalazł”.

Wciągnął powietrze głęboko do płuc i powoli je wypuszczając, przeniósł spojrzenie na kanapę, gdzie Lucy przegrała walkę ze zmęczeniem.

Kilka godzin wcześniej, ku konsternacji Zaca, przysłała do jego pokoju biurowego. On pragnął zachować jak największy dystans między nimi, a ona wcale mu tego nie ułatwiała. Patrzyła na niego łagodnymi błękitnymi oczyma. Mówiła rzeczy, o których marzył, odkąd go opuściła.

Była jak otwarta książka, nietrudna do odczytania. W jej wzroku widział poczucie winy, w pochyleniu ramion – wyrzuty sumienia. Kiedy byli w kuchni, odruchowo wyciągnęła rękę, jakby chciała go pocieszyć. Lecz równie szybko ją cofnęła. No i dobrze.

Ileż to razy wracał myślami do dni poprzedzających jej wyjazd, starając się odgadnąć, dlaczego mu to zrobiła. To prawda, że był duchowo nieobecny. Markotny. Czy to ją odstraszyło? A może nigdy go nie kochała tak, jak powinna? Teraz też nie uzyska odpowiedzi. Chyba że jej wróci pamięć.

Kiedy szukał informacji w Internecie, podrzucała mu pomysły, podsuwała sugestie. Lecz Zac czuł w niej konflikt emocji. Z jednej strony chciała mu pomóc, z drugiej jednak nie miała ochoty wracać do Portland. Wcale tego nie ukrywała.

No cóż, trudno. Pragnęła tego przecież siedem miesięcy temu. Wobec czego on dołoży starań i wyprawi ją z powrotem.

Umocniony w decyzji, wrócił do pracy, starając się nie zwracać uwagi na delikatne dźwięki, jakie wydawała przez sen. Zasnęła tam, gdzie siedziała, tylko głowę położyła na zagłówku kanapy. Przykryła się kołdrą, pod którą Zac spał w nocy. Okej, przyniósł ją tutaj jakiś czas temu, kiedy musiał rozprostować nogi. Lucy leżała zwinięta w kłębek, jakby było jej chłodno.

No i co miał zrobić w tej sytuacji?

Zmarszczył brwi i wrócił do poszukiwań.

Co jeszcze mu zostało? Czego nie wziął pod lupę? Zezwolenie na zawarcie małżeństwa. Czy takie dokumenty są upubliczniane?

Szybko sprawdził i z satysfakcją skonstatował, że owszem. Są nawet dostępne w Internecie!

Przejechał kursorem na dół strony, gdzie były podane linki do poszczególnych hrabstw. Przejrzał je pospiesznie raz, potem drugi. Cumberland nie figurował na liście. Czyli to hrabstwo nie udostępnia dokumentów drogą elektroniczną. Ileż przeszkód. Przygnębiło go to.

Będzie musiał czekać do rana, żeby otworzyli urząd. Zadzwoń i dowie się nazwiska

narzeczonego, a potem odszuka gościa. Nie podobała mu się ta zwłoka, ale może dziś jeszcze uda mu się coś znaleźć.

Znowu spojrzął na sofę, na Lucy śpiącą z włosami rozrzuconymi wokół głowy. Z małą piąstką zwiniętą pod delikatną brodą, z długimi rzęsami całującymi szczyty policzków. Wyglądała na taką delikatną. Nie była sobą, odkąd ją ujrzał, wysiadając z auta w Portland. Była zagubiona, zdezorientowana, a to natychmiast budziło w nim instynkt opiekuńczy. No cóż, ale ona już nie była jego, żeby mógł się nią opiekować.

Mruknęła cichutko, zmieniła pozycję, wtulając się w poręcz sofy, i westchnęła. Gdzie podziała się śmiała, szalona Lucy? Ta, która przykuła jego uwagę od pierwszej chwili, kiedy weszła do restauracji? Może czas wcale się nie zatrzymał, kiedy wkroczyła w jego świat, ale jemu tak się wydawało.

Nastał pierwszy w tym roku dzień tak ciepły, że można było uwierzyć w przyjście wiosny. Bracia Zaca cały wieczór kręcili się po restauracji. Panowała radosna atmosfera. Rozpoczynający sezon mecz Red Soxów skończył się miążdżącym zwycięstwem nad Phillies i całe miasto świętowało to wydarzenie.

Szafa grająca ryczała przeboje country, kilka odważnych osób wypuściło się na parkiet. W sali z tyłu toczyła się hałaśliwa gra w bilard, w kuchni uwijali się kucharze, a kelnerzy biegali, roznosząc pachnące talerze z pikantnymi skrzydełkami, owocami morza i miski zupy rybnej.

Przez „Przydrożny Zajazd” przetaczało się mnóstwo ludzi, panował ogólny rozgardiasz i Zac nie miał pojęcia, co takiego przyciągnęło jego uwagę do drzwi w chwili, kiedy stanęła w nich Lucy. Ciemne włosy otaczające delikatną twarzyczkę, jakby rozświetloną od wewnątrz. Dziewczyna miała na sobie dopasowane dżinsy, błyszczącą czarną bluzkę i kozaki na wysokim obcasie, przez co jej nogi wydawały się bardzo długie. Całości dopełniała skórzana torebka nabijana błyskotkami.

Zac nie znał się na modzie, ale dziewczyna wyglądała zbyt ekskluzywnie na Summer Harbor. Choć była sama, zachowywała się z pewnością siebie świadcząca o tym, że nie przejawia się brakiem towarzystwa.

Stanęła w drzwiach, zapewne zastanawiając się, czy znajdzie miejsce. Zac zaczął wychodzić z kontuaru, ale Beau, zmierzający do pokoju bilardowego, zdążył się już nią zająć. Po krótkiej wymianie zdań ruszyła do małego stolika po drugiej stronie sali.

Potem Zac stracił ją na chwilę z oczu, bo jeden z kelnerów poprosił go o pomoc. Musiał wprowadzić poprawki w zamówieniu klienta, napełnić kieliszki i sprzątnąć rozlane piwo w sali bilardowej.

Kiedy następnym razem miał okazję spojrzeć na nieznajomą, jej stolik był pusty. Zac poczuł dotkliwe rozczarowanie. Lecz chwilę później ujrzał ją na parkiecie, tańczącą do *Country Girl*. Ładnie się ruszała. Była niewysoka, z delikatnie zarysowanymi krągłościami. Trochę nabita w sobie. Rozwichrzone włosy chwiały się w rytm muzyki nad ramionami.

Lubił kobiety wszystkich kształtów i rozmiarów, ale z powodu swojego wzrostu najczęściej wybierał wysokie i przeważnie chude, z krótkimi włosami. Teraz jednak poczuł, że coś przeoczył.

Koło dziewczyny tańczyło kilka miejscowych kobiet, a ona gawędziła z nimi, jakby znała je od dawna. Jedna z nich coś powiedziała i nieznajoma uśmiechnęła się, ujawniając dwa urocze dołeczki w policzkach.

Z trudem pohamował się, żeby się nie przeżegnać.

– Coś wpadło ci w oko? – spytał Riley, zajmując stółek tuż przed nosem Zaca.

Młodszy brat był jak czołg: beczkowata klatka piersiowa i silne ręce z mięśniami wyrobionymi przy poławianiu homarów. Przy metrze osiemdziesiąt wzrostu był najniższy z trzech braci Callahanów.

– Ładniutka, prawda? – Riley przyglądał się, jak nieznajoma tańczy.

„Ładniutka” nie oddawało sprawiedliwości jej urodzie. Optymistyczna piosenka dobiegła końca, a po niej zabrzmiały żalosne dźwięki *I Don't Dance*. Jared Watkins, kolega ze szkoły, porwał niespodziewanie dziewczynę w ramiona i Zac poczuł ukłucie niezadowolenia.

– Jest z Południa – powiedział Riley.

Zac oderwał oczy od parkietu.

– Skąd wiesz?

– Pytała mnie, gdzie jest toaleta. Sympatycznie zaciąga, jak Południowcy. Może być z Tennessee.

– Skąd – zaprotestował Beau, sadowiąc się na stołku barowym obok Riley'a. – Widziałeś jej buty? Stawiam na Teksas.

Riley roześmiał się.

– Zimno, zimno!

– Dolejesz? – poprosił Beau Zaca. – Dycha mówi, że mam rację.

Wyciągnął z portfela banknot dziesięciodolarowy i położył go na ladzie.

– Przyjmuję zakład. – Na kontuarze wylądowała druga dziesięciodolarówka. – Dołączasz się, Zac?

– Jasne. – Napełnił szklankę Beau, po czym wyciągnął banknot z kieszeni. – Da mi to pretekst do rozmowy.

– Jakbyś potrzebował pretekstu. – Riley się uśmiechnął. – Gapisz się na nią, odkąd stanęła w drzwiach.

Beau podniósł brwi.

– O, jakie urocze. Czyżby ta dziewczyna zawróciła ci w głowie, braciszku?

Zac rzucił mu zabójcze spojrzenie i poszedł odebrać zamówienie od gościa przy drugim końcu lady.

– Pospiesz się, zanim Jared skorzysta.

– Wygląda trochę jak ta laska z filmu – wtrącił Beau – Mandy coś tam. Jaki to się... – Strzelił palcami. – *Szkoła uczyć!*

Zac podniósł kpiąco brew.

– Nie nabijaj się. To była randka.

Po drodze do kuchni Zac spojrzął na parkiet do tańca. Wrócił z talerzem z owocami morza i zaniósł go na koniec baru.

Kiedy wrócił, odebrał telefon od żony klienta z prośbą, żeby powiedział jej mężowi, by wracając do domu kupił galon [1] mleka. Zanim przekazał wiadomość, powolny taniec już się skończył i znowu cały parkiet podskakiwał w rytm skocznej muzyki. A obiekt jego zainteresowania znajdował się w samym środku.

Między obsługiwaniem kolejno przybyłych klientów rozmawiał z braćmi, a po kilku dalszych piosenkach jego wzrok przyciągnął jakiś błysk. Obrócił się. Do baru zbliżała się ta ładna dziewczyna. Ujrzała go i w jej oczach zapaliły się iskielki.

Zac poczuł suchość w ustach, całe ciało zaczęło szumieć jak jarzeniówka.

Dziewczyna poruszała się z wdziękiem, delikatnie kołysząc biodrami w modnych dżinsach,

z zawadiacko zadartą brodą.

Poczuł, że wargi same wyginają mu się w górę. Gdzieś w tle słyszał, że bracia coś mówią, ale nie zwracał na nich uwagi.

Dziewczyna podchodziła, nie spuszczać z niego oczu. Jednym zgrabnym ruchem odsunęła wolny stołek, uniosła biodro i...

Nie trafiła.

Zachwiała się, ale zanim Zac zdołał przechylić się ponad barem, żeby ją podtrzymać, złapała równowagę.

– Ojej! – wyrwało jej się.

Na policzki wystąpiły rumieńce i Zac już w tej chwili trochę się w niej zakochał.

Usiadła na stołku, odchrząknęła i spojrzeli na siebie. Oczy miała błękitne ze srebrnymi punkcikami. Rozmarzone.

– Och, natańczyłam się tak, że nóg nie czuję. – Przygryzła wargę. – No nie, to nieprawda. Po prostu czasami jestem niezdara. To znaczy często. Nawet bardzo często.

Zac uśmiechnął się asymetrycznie, zauroczony jej zaciąganiem.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć... Czego się napijesz, Georgianko?

W jej oczach mignęło zaskoczenie, ale zaraz dziewczyna przymrużyła je i spytała:

– Skąd wiesz, skąd pochodzę?

Ledwie słyszał narzekania Beau i Rileya na muzykę.

Nie spuszczać jej z oczu, Zac zgarnął banknoty i schował je do kieszeni.

– Mam dobry słuch. Potrafię rozpoznać akcent. A tu przewija się wiele ludzi.

– Dostanę mrożoną słodką herbatę?

– Już podaję. – Zac nalał do szklanki herbaty i dodał lodu.

Pojawił się kolega jego braci i Zac ucieszył się, gdy razem odeszli od baru, zostawiając go samego z dziewczyną.

Postawił przed nią napój i oparł się łokciami o ladę, modląc się, żeby przez kilka sekund nikt nic od niego nie chciał.

– Co cię sprowadza do Summer Harbor?

Wzruszyła delikatnymi ramionami.

– Po prostu podróżuję.

– Jedziesz dalej?

Przechyliła głowę.

– Nie wiem. Podoba mi się to miasteczko. Wyczuwam dobrą atmosferę. – Machinalnie mieszała słomką w szklance i lód zadźwięczał o szkło. – Może się tu na trochę zatrzymam.

Dla niego to była wiadomość tygodnia.

– A jak masz na imię? Czy może wolisz, żebym mówił na ciebie Georgianko?

Westchnęła, nie odrywając od niego wzroku.

– Tak będzie dobrze – szepnęła.

Podniósł brew. Dziewczyna zaczerwieniła się mocniej, a oczy przybrały taki wyraz, jak oczy jelenia w świetle reflektorów samochodowych.

– Powiedziałam to na głos?

– Tak jakby.

– Czasem mi się to zdarza. Następnym punktem na długiej liście moich kompromitacji.

Zac prychnął słumionym śmiechem. Wszystko w niej było takie... cudownie nieoczekiwane. A tego jej zaciągającego akcentu mógłby słuchać całą noc.

Wyciągnął rękę.

– Zac Callahan.

– Lucy Lovett. – Odwzajemniła uścisk z rozczarowaniem w oczach.

Miała małą i ciepłą dłoń i Zac z niechęcią ją puścił.

– Lovett... tak jak Audrey Lovett, ta aktorka?

– Tak, to moja ciocia babcia.

– Niemożliwe. Mama cały czas oglądała filmy, w których grała. – Z przechyloną na bok głową zaczął uważnie oceniać jej twarz w kształcie serca i wielkie błękitne oczy. – Tak, przypominasz ją z wyglądu.

– Dziękuję. W swoim czasie była gwiazdą.

Jego uwagę zwrócił wisiołek, którym się bawiła – małe srebrne serce z krzyżykiem w środku. Czy to zbyt wiele mieć nadzieję, że łączy ich ta sama wiara?

– Podoba mi się twój naszyjnik.

Spojrzała na łańcuszek.

– Dziękuję. Dostałam go od mamy w dzień chrztu.

– Więc mamy ze sobą coś wspólnego.

– Też dostałaś od mamy wisiołek w kształcie serca?

Jej frywolny uśmiech przyspieszał bicie jego serca. Zac odwzajemnił uśmiech.

– Chodziło mi o wiarę.

– No cóż... pochodzę z pasa biblijnego. Gdzie się obejrzysz, tam kościół.

– Nie ma w tym nic złego.

– Nie, oczywiście, że nie. – Popatrzyła na czubek jego głowy. – Naprawdę jesteś taki wysoki, czy tam za barem jest podwyższenie?

– Naprawdę jestem taki wysoki. Czy podać coś jeszcze? Aperitif?

– Już jadłam. Zupa rybna była pyszna. Długo tu pracujesz?

– Od szkoły średniej. Teraz to moja restauracja. Właściciel odszedł na emeryturę, a ja go spłacam.

– O, to nieźle. – Rozejrzała się po lokalu: sufit jak w wiejskiej chacie, ściana wyłożona tablicami rejestracyjnymi, wytarte podłogi z desek.

Wyglądała na osobę z wyższych sfer, niepasującą do swojskiej knajpy.

– Wszyscy tu się spotykają, prawda? – uznała. – I wszyscy cię tu znają?

Uśmiechnął się.

– Masz rację.

Najpierw uśmiechnęły się jej oczy, a potem wargi.

– Bardzo miłe miejsce. Ale również bardzo ciepłe. Zachęcające.

„Zachęcające”. Mężczyźni nie mdleją z wrażenia, ale on czuł się, jakby zaraz miał to zrobić.

– Cieszę się, że ci się podoba.

– Skoro staniesz centrum towarzyskie miasta, musisz mieć znajomości. Musisz wiedzieć, gdzie w okolicy dziewczyna mogłaby znaleźć pracę... gdyby miała na trochę się zatrzymać.

– A czego szukasz?

– Właściwie jestem otwarta na różne propozycje. Lubię ludzi, więc mogłabym pracować w handlu. Skończyłam socjologię, ale, prawdę mówiąc, nie pracowałam w zawodzie.

– Socjologia, co? A gdzie studiowałaś?

Spuściła oczy, a potem je podniosła.

– Eee... na Harvardzie.

Zdziwił się.

– Wiesz, tu raczej nie znajdziesz pracy dla absolwentów Harvardu.

Machnęła ręką.

– Nie zależy mi. Jak powiedziałam, pewnie i tak długo tu nie zostanę.

– No... wiem, że potrzeba kogoś do prowadzenia biura informacji turystycznej. Poprzednio było to Centrum Historii Naturalnej, lecz ostatnio radni przegłosowali, żeby było to również biuro informacji. Jak się domyślasz, wywołało to mnóstwo małomiasteczkowych kontrowersji, ale nie będę zanudzał cię szczegółami. Prowadzi je moja ciotka i właśnie szuka kogoś, kto by zajmował się turystami, wręczał im mapy, pokazywał, gdzie mają iść i tak dalej. Ale, jak mówiłem, to nie dla ciebie, nie będziesz na to marnować swojego wykształcenia.

– Nie, nawet mi się podoba. Sama dowiem się coś o okolicy, a to dodatkowy plus. I kiedyś, w wolnej chwili chciałabym usłyszeć o tych kontrowersjach. Dla mnie to fascynujące.

„Fascynująca”. Dokładnie to, co on myślał o niej. Wyciągnął długopis z kieszeni i na serwetce napisał numer ciotki Trudy. Zadzwoił telefon. Zac nie ruszył się. Choć raz ktoś inny może odebrać.

Przysunął serwetkę do dziewczyny i powiedział:

– Jeśli chcesz, zadzwoń do niej. Powiedz, że ja cię poleciłem. Ciotka jest trochę szorstka, ale niech cię to nie zraża.

Oczy jej błysnęły i czym prędzej sięgnęła po serwetkę.

– Dzięki. Na pewno to zrobię.

– Zac, telefon! – zawołała kelnerka.

Lucy zsunęła się ze stołka i zarzuciła torebkę na ramię.

– No, zbieram się. Muszę dać ci szansę popracować – powiedziała. – Może jeszcze się zobaczymy.

– Może – odparł z uśmiechem.

Z przeszłości wyrwał go jakiś pomruk. Zac odchylił się na oparcie krzesła. Po przeciwnej stronie pokoju Lucy przekręciła się na kanapie i cała kołdra przesunęła się jej na kolana. Dziewczyna znieruchomiała i spała dalej.

Zac zamrugął, rozpędzając resztki wspomnień. Co za brutalny przeskok od podniecającego pierwszego spotkania do dzisiejszej rzeczywistości. Zakochanie się w Lucy było tak łatwe jak nabranie tchu w płuca. Odkochanie się – już nie tak proste.



## Rozdział 8

**L**ucy krążyła po biurze, co rusz wracając wzrokiem do Zaca, który rozmawiał przez telefon z urzędem stanu cywilnego. Zadzwoił tam z wybiciem dziewiętej.

Podciągnęła spodnie z magazynu szpitalnego. Dobrze opinały jej obfite biodra, ale odstawały w pasie. Potrzebowała do nich paska. Albo porządnych szelek.

– Tak – mówił Zac. – W porządku... Nie jestem pewien... Dziękuję.

Zamilkł na dłuższą chwilę. Z wyrazu twarzy nie dało się wyczytać więcej niż ze słów. Przeciągnął ręką po dolnej części twarzy i w panującej ciszy Lucy słyszała szorstkie skrobanie krótko przyciętej brody o dłoni.

Choć ciekawa była, jak wyglądało jej dawne życie – i brakowało jej ubrań pasujących na figurę oraz konta w banku z grubszą sumką – bała się tego, co może się dowiedzieć.

– Tak, tak, jestem – odezwał się Zac.

Nawet na nią nie spojrział. Najwyraźniej nie mógł się doczekać, żeby się jej pozbyć. Nic dziwnego, po tym, co wywinęła. Czowała pulsowanie krwi w skroniach.

Pozwoliła sobie błędzić wzrokiem po jego przystojnej twarzy, jakby wyrzeźbionej, na widok której ugięły się pod nią nogi już w pierwszej chwili, gdy go ujrzała. Miał męskie brwi zacinające głęboko osadzone oczy. Szare oczy, teraz tak poważne, potrafiły bardzo szybko zabłysnąć radością. Lubił się wygłupiać. Czasami śmiała się tak, że bolały ją szczęki.

Ale od jej powrotu nawet się nie uśmiechnął. Wciąż trzymał ją na dystans. Jakby był zdecydowany nie wpuścić jej do serca.

Cała ta sytuacja wprawiała ją w osłupienie. Jak to możliwe, że jej uczucia do Zaca się nie zmieniły, skoro gdzieś tam w Portland miała narzeczonego? Jak to możliwe, że zakochała się w kimś innym?

Nie mogła. Nie była w stanie w to uwierzyć. Żaden inny mężczyzna nie mógł zawładnąć jej sercem tak mocno jak Zac. Lucy nie chciała tego kogoś. Nie chciała go kochać, nie chciała z nim żyć.

A jednak lada moment urzędnik zdradzi Zacowi jego imię, a wtedy Zac wsadzi ją do furgonetki, odwiezie do Portland i przekaże w ręce jakiegoś obcego osobnika.

– Tak – odezwał się nagle Zac.

Lucy zatrzymała się przed biurkiem. Serce zaczęło jej walić, krew w skroniach pulsowała tak mocno, że wywoływała zawroty głowy. Świerzbiły ją palce, żeby przycisnąć guzik „end” na bazie telefonu. Nie chciała znać nazwiska narzeczonego. Nie chciała nigdzie stąd wyjeżdżać.

– Rozumiem – powiedział Zac. – Kiedy? – Przez chwilę słuchał z zaciśniętymi ustami, po czym rzekł: – Doskonale. Dziękuję za pomoc.

Rozłączył połączenie na słuchawce i z głośnym stukotem odłożył ją na blat. Przez żuchwę przemknął cień, gdy zacisnął zęby. Wydeły mu się nozdrza. Cały czas nie podnosił oczu.

„Czego się dowiedziałeś?” – chciała się zapytać, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Czekwała, patrząc, jak Zac stara się nad sobą zapanować, a tymczasem ona sama o mało nie pękła z niepokoju.

– Mają awarię komputerów – odezwał się w końcu.

Odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu. Odroczenie. Może krótkie, ale lepsze to niż nic.

– Mają nadzieję, że jeszcze dziś zostanie usunięta.

– Nadzieję?

Przygwoździł ją spojrzeniem i rzekł:

– Na pewno zostanie usunięta – oznajmił kategoriycznym tonem, jakby to mogło załatwić sprawę.

– A co... co będziemy robić do tej pory?

– Muszę otworzyć restaurację. A ty powinnaś... iść się przespać albo coś.

– Trudno jest spać, kiedy cała przyszłość wisi na włosku – powiedziała z wyczuwalną irytacją.

– Słyszałaś, co mówił doktor. Masz się zrelaksować. Pamięć może wrócić, jeśli...

– Nie chcę, żeby wracała!

Zamrugał gwałtownie, w jego oczach mignęło zdumienie.

– Nie chcę! Nie chcę wracać do Portland, nie chcę wiedzieć, czyje nazwisko figurowało na tym głupim zezwoleniu na małżeństwo, i nie chcę...

– Już to przerabialiśmy.

– ...odzyskać pamięci.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, przytłoczeni przygniatającą ciszą, gęstą i ciężką jak mgła nadpływająca znad zatoki. Ta mgła otoczyła szczelnie umysł Lucy. Dziewczyna z całej siły starała się zatrzymać myśli, ale ich strzępiaste końcówki wymykały się, nie dając się uchwycić.

Na pierwszy plan wysunęło się serce wybijające szalony rytm i niweczące jakąkolwiek rozsądną myśl, jaka mogła jej jeszcze pozostać.

Zac wstał, skrzypiąc krzesłem. Okrążył biurko, podchodząc do niej.

Nareszcie. Teraz mogła myśleć tylko o jednym – o jego ramionach wokół siebie. Dotkliwie tęskniła za jego objęciami. Pragnęła wtulić się w niego i udawać, że nic z tego, co się dzieje, nie miało miejsca. Im był bliżej, tym gwałtowniej biło jej serce. Zaczęła iść do niego...

A on wyminął ją i wyszedł z pokoju.

Z zaskoczenia wyrwał jej się zduszony jęk. Zapiekł ją oczy, a obraz rozmazał się. Tym razem jednak nie z powodu wstrząsu mózgu, tylko od łez. Cholera, nie będzie płakać! Nie będzie. Nie. Będzie. Płakać.

Żeby oderwać myśli, policzyła wszystkie książki na półkach. Nie było ich wiele, więc ułożyła je w głowie w porządku alfabetycznym. Dlaczego ona tak się przejmuje, skoro on, jak widać, zachowuje się, jakby Lucy nie przeżywała kryzysu?

Musi zapanować nad sytuacją. Wymyślić jakiś plan.

Może mieć zanik pamięci, ale to nie znaczy, że jest kompletnie bezradna. Pójdzie przecież do sklepu i wybierze coś odpowiedniego do ubrania. I kupi lokówkę oraz porządny balsam do włosów. I szminkę. Od razu lepiej się poczuje, gdy...

Co za głupie pomysły! Przecież nie ma ani grosza. Naprawdę jest ugotowana. Przynajmniej póki nie wróci do Portland.

Znowu pojawił się Zac i stanął przed nią z wyciągniętą ręką. W zagłębieniu dłoni spoczywały dwie pigułki. Przyniósł też szklanekę z wodą.

Ponownie zapiekły ją oczy – tym razem na myśl o jego dobroci. Co się z nią dzieje, do cholery? Czemu bez przerwy się maże?

Połknęła pigułki i usiadła, opierając się ramionami o biurko. Znużenie spadło na nią jak wielka, ciężka peleryna. Nagle zapragnęła zasnąć i spać, spać i spać. Kto by pomyślał, że brak

pamięci jest tak wyczerpujący?

Zac wsunął rękę w kieszenie.

Czuła na sobie jego wzrok, ale nie podniosła głowy. Nie chciała, żeby widział jej bezbronność. Nie teraz, kiedy między nimi wyrosła ściana.

– Lucy – powiedział rzeczowym tonem – wiem, że jest ci ciężko, lecz tych siedmiu miesięcy nie wymażesz, niezależnie od tego, czy chcesz o nich pamiętać, czy nie. Życie poszło dalej i nie wrócisz do tego, co było, tylko przez to, że zapomniałaś. Dlatego im szybciej rozwiążemy tę zagadkę, tym szybciej będziemy mogli normalnie żyć.

– A jeśli nigdy nie odzyskam pamięci?

– To i tak nie zmieni przeszłości. W Portland masz pracę, do której możesz wrócić. Ludzi, którym na tobie zależy.

Pociągnęła nosem.

– Mnie na nich nie zależy.

Ale jakimś fragmentem duszy czuła, że to nie do końca jest prawdą. W końcu ona jest tą samą osobą, którą była wczoraj przed upadkiem. W głębi serca musi jej zależeć na tym drugim mężczyźnie. Który gdzieś tam się o nią martwi. Choć go nie pamięta, powinna dać znać, że nie jej nie jest.

– Myślałem o tym, co było wczoraj – powiedział Zac. – Może to jednak nie był dzień ślubu? Bo dlaczego byłabyś sama jedna w tej knajpie? Może miałaś tylko przymiarke? Nie zauważyłaś, czy w pobliżu był jakiś sklep ze strojami ślubnymi?

– Nie. – Ta myśl wzbudziła w niej obawy, których wcale nie chciała do siebie dopuścić. W sklepach dla nowożeńców są przecież łazienki. Może od kiedy uderzyła się w głowę, nie myśli logicznie, lecz wydaje jej się, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego była sama w tym barze.

– Całkiem możliwe, że nawet jeszcze nie wystarałaś się o zezwolenie. Na to się nie czeka, pamiętasz?

Mylił się. Czuła to całą sobą, ale złapała się tej myśli jak liny ratunkowej.

– Masz rację.

– Mam nadzieję, że po południu się tego dowiemy.



Zac przekazał zamówienie i poszedł dolać wina do stolika numer jedenaście. Przez ostatnie dwa dni Marci nie przysłała do pracy.

Pora lunchu już się skończyła, ale niedługo zaczynał się mecz Red Soxów, co znaczyło, że pojawią się nowi klienci. Emerycy często wpadali tu po południu, żeby obejrzeć rozgrywkę. Nie zamawiali wiele, lecz Zac cieszył się, gdy przychodzili.

Zanim restauracja się opróżniła po meczu, zaczęli zjawiać się klienci na kolację. Szybkie spojrzenie na zegarek uświadomiło mu, że wreszcie powinien zadzwonić do urzędu stanu cywilnego. Wcześniej nie mógł, był bardzo zajęty. A przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Może jednak w głębi duszy czuł, że jeszcze nie chce, żeby Lucy wyjeżdżała.

„Prawdziwy z ciebie masochista, Callahan”.

Rzucił ścierkę, którą przetarł kontuar, i poszedł do biura. Musi tę sprawę załatwić i zrobić to od razu.

Po chwili wybierał numer zapisany na skrawku papieru. Dotarcie do odpowiedniej osoby

zabrało masę czasu, ale kiedy wreszcie udało się, okazało się, że awarię komputerową opanowano.

„Alleluja!”

Czekając, aż urzędniczka odnajdzie dokument, chodził nerwowo po biurze. Kobieta włączyła jakąś muzyczkę, która miała pewnie pomóc klientom zachować cierpliwość, ale jego drażniła. Czuł, że ma nerwy na wierzchu.

Muzyka ucichła.

– Panie Callahan, jest pan?

– Jestem.

– Znalazłam to zezwolenie. Czy mam je panu przefaksować?

– Doskonały pomysł. – Podał numer faksu. – Jak pani myśli, ile czasu to zajmie?

– Prześlę go panu od razu po rozłączeniu.

– Dziękuję bardzo.

Zac rozłączył się i schował telefon do kieszeni, po czym stanął przy faksie i czekał z rękami na biodrach. Jak tylko będzie miał nazwisko, wygoogluje numer telefonu księcia z bajki. A może będzie na dokumencie? Czy to możliwe, żeby sprawa tak łatwo się rozwiązała?

Może nawet facet przyjedzie po Lucy? Na tę myśl ścisnęło go w dołku. Czy powinien pozwolić, żeby wsiadła do auta z kimś, kto jest dla niej obcy? Może lepiej...

„Nie – zbesztaj siebie. – Ona już nie należy do ciebie”.

Faks zaczął z warkotem wypuszczać zadrukowany papier. Jak tylko kartka wyleciała z maszyny, wziął ją i podniósł do oczu.

„Brad Martin. Miejsce zamieszkania: Portland, Maine. Wiek: 29 lat. Rasy białej”.

Bingo.

Podszedł do drzwi pokoju Lucy i zastukał.



– Brad Martin – powiedział, otwierając drzwi. Mierzył ją uważnym spojrzeniem.

Lucy podeszła do niego, skrępowana świadomością rozburzonych snem włosów i twarzy bez żadnego makijażu. Po tych pigułkach cały czas była senna. Może dlatego nie potrafiła myśleć racjonalnie.

– Co takiego?

– Brad Martin. Coś ci to mówi?

– Eee... nie.

– Na pewno?

– Nigdy nie słyszałam... a czy to on tak się nazywa? Ten mój... narzeczony?

Zac pokazał jej przyniesiony dokument.

– Przefaksowali zezwolenie na zawarcie małżeństwa.

– Pokaż. – Wzięła kartkę i przebiegła wzrokiem podane informacje. Brad Martin. Zmarszczyła brwi. Brad Martin. Nic jej to nie mówiło.

– Może mówią na niego Bradley – podpowiedział z nadzieją w głosie Zac.

Pokręciła głową, wpatrując się w dokument, po czym oddała go Zacowi.

– Przykro mi. Nic mi nie świta.

Obrócił się, wrócił do biura i od razu usiadł do komputera.

Lucy stanęła za nim i obserwowała, jak wpisuje w wyszukiwarce nazwisko i imię,

ograniczając poszukiwania do obszaru Portland. Po chwili wyskoczyło dwadzieścia siedem osób.

– Świetnie – westchnął.

– Spójrz, tu jest podany ich wiek.

„Po co mu pomagasz?”

Pochylił się i przewijał listę osób.

– Nie ma Brada Martina w wieku dwudziestu dziewięciu lat – powiadomił ją chwilę później.

– Ale jest jeden dwudziestoosmiolatek. To musi być on, prawda?

– Może.

Podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wybierać numer.

Lucy poczuła, że serce zaczęło jej walić.

– Czekaj – powiedziała. – Dzwonisz do niego? Co mu powiesz?

Nawet na nią nie spojrział.

– Ja? Nic. To twój narzeczony.

Wręczył jej słuchawkę.

– A co ja mam mu powiedzieć? – jęknęła przerażona.

– Spytaj, czy wie, kto mówi. Jeśli to on, pozna cię po głosie.

Na jej twarzy musiała odbić się panika, bo Zac spojrział na nią cieplej.

– Ucieszy się, że dzwonisz.

– Halo? – po drugiej stronie słuchawki odezwał się jakiś męski głos.

Lucy nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Spojrzała na Zaca. Czy to on? Mężczyzna, z którym była zaręczona? Którego podobno kochała? Czy w takim razie nie powinna go poznać?

– Halo? – powtórzył mężczyzna z niecierpliwością. A może z wyczekiwaniem. Z nadzieją?

– Cześć. To Brad?

– Lucy??? Lucy, to ty?

– Taaak.

Przeklął.

– Masz pojęcie... – westchnął, nie dokończając. – Gdzie jesteś?

Lucy poczuła gwałtowną niechęć do podawania mu dokładnych informacji na ten temat.

– Na... na północy. Miałam wypadek. Uderzyłam się w głowę. Nic nie pamiętam.

– Wiem. Dotarłem do szpitala. Jesteś poszukiwana, Lucy.

– Kto mnie szuka?

– Jak to kto? Policja. Wszyscy. Zgłosiłem twoje zaginięcie.

– Policja? – Spojrzała na Zaca, który zmarszczył brwi.

– Dam im znać, że się znalazłaś. Dlaczego nie zadzwoniłaś? Martwiłem się.

– Przecież mówię, że niczego nie pamiętam.

Na linii zapadła cisza, tak że Lucy już miała zawołać go, żeby się upewnić, czy się nie rozłączył.

– Co to znaczy „niczego”? – spytał w końcu.

– Siedem i pół miesiąca wyleciało mi z pamięci. Nie pamiętam żadnych wydarzeń z tego czasu.

Znowu milczenie.

– Żadnych?

– Przykro mi. Nie pamiętam przyjazdu do Portland. Nie pamiętam tego, jak się spotkaliśmy ani jak ze sobą chodziliśmy, ani w ogóle nic. Musieliśmy... musiałam posłużyć się komputerem,

żeby dowiedzieć się, jak się nazywasz.

– Żartujesz.

Zamyślony ton jego głosu trochę ją zdziwił. Ale to pewnie ona źle go odbiera. Pewnie po prostu jest wstrząśnięty. Też miał trudny czas.

– Nie pamiętasz dnia naszego ślubu?

– Nie. Tylko to, jak się obudziłam na podłodze w pobliskim barze.

– A ta twoja pamięć... wróci?

– Nie mam pojęcia. Lekarz powiedział, że rokowania są pół na pół. Bałam się i pojechałam... tutaj, na północ.

– Przyjadę po ciebie. Gdzie jesteś?

Aż się cofnęła. Wiedziała, że zachowuje się niemądrze, lecz coś ją od niego odpychało. Wydawał się taki... wyrachowany. „To wszystko twoje wymysły, Lucy. Dobry Boże, w końcu był twoim narzeczonym”.

– Dziękuję ci, ale nie chcę. Jeszcze... jeszcze przez jakiś czas nie będę się nigdzie ruszać. Muszę dojść do siebie.

Zac kategorycznie kręcił głową, bezgłośnie wypowiadając: „Nie”. Jednocześnie Brad namawiał ją na powrót. Znowu poczuła pulsowanie w głowie. Brad nie przestawał przemawiać jej do rozsądku, ale jego natarczywość ogromnie ją drażniła. Miała ochotę się rozłączyć.

– Muszę już iść – powiedziała, przerywając mu w pół zdania.

– Nie możesz tak po prostu zniknąć, Lucy. Masz tu pracę, przyjaciół... masz mnie. Pozwól...

– Zadzwoń później. – Położyła słuchawkę na widełki, zanim zdążył zaprotestować. Serce biło jej mocno, z trudem łapała oddech.

– Lucy, musisz tam wrócić – powiedział Zac. – Masz tam mieszkanie, albo dom, masz pracę, i wszystkie pieniądze są...

– Wiem! Pojadę. – Byle nie z Bradem. Miała dość ludzi, którzy mówią jej, co ma robić. Wiedziała, że musi wrócić. Nie może przecież zostać tu i żyć na koszt Zaca. Ale zanim podejmie jakąś decyzję, musi choć trochę uporządkować swoje życie.

– Dlaczego nie powiedziałaś mu, gdzie jesteś?

– Nie wiem. – Potarła skronie. – Nie chciałam, żeby wiedział. Nie spodobał mi się.

Zac uśmiechnął się ironicznie.

– No cóż, coś w nim musiało ci się spodobać.

Lucy wyprostowała się.

– To wcale nie jest zabawne, Zacu. Masz, co chciałeś. Pozbędziesz się mnie, więc... daj mi spokój.

Wypadła z biura i popędziła do swojego pokoju. Wytrząsnęła z buteleczki dwie pigułki, popiła je letnią wodą z kranu, po czym położyła się na łóżko i zamknęła oczy. Za dwadzieścia minut pogrzy się w sen, i bardzo dobrze. Zaczęła woleć stan nieświadomości.

## Rozdział 9

**Z**anim dojechali do Portland, zrobiło się późno. Lucy większą część drogi przespała, chętnie oddając się w objęcia zapomnienia. Nie chciała wyobrazać sobie chwili, kiedy Zac ją zostawi. Sama myśl, że mogłaby go więcej nie ujrzeć, ścisnęła ją jak metalowa obręcz, tak że nie mogła oddychać.

Obserwowała go kątem oka. Światła uliczne rozlewały się po jego twarzy, podkreślając męskość rysów. Poniżej brwi i w zagłębieniach policzków przyciały się cienie. Spojrzała na jego usta, zaciśnięte w cienką linię. Nigdy już ich nie pocałuje. Nigdy nie poczuje delikatnego muśnięcia jego palców na ciele. Nigdy nie będzie rozkoszować się bezpieczeństwem jego silnych ramion.

Ucieszyła się, że rozstanie się trochę odwlecze, ponieważ Zac nie był w stanie znaleźć adresu jej mieszkania, a błagała go, żeby nie dzwonił do Brada.

Lecz on miał asa w rękawie – kuzynkę Abby z Indiany, która była prywatnym detektywem. Odszukanie tej informacji zabrało jej niecałą godzinę. Lucy mieszkała w centrum miasta, przy Park Street 6.

Zac zjechał z autostrady i teraz mijali pogrążone w mroku ulice dzielnicy domów jednorodzinnych. Po jakimś czasie okolica zmieniła charakter na bardziej komercyjny, pojawiły się wyższe budynki i światła na każdym skrzyżowaniu. Dla Lucy nadal miasto było kompletnie obce. Usiłowała wyobrazić sobie swoje mieszkanie, lecz jej się nie udało. Za to coś jej przyszło do głowy.

– Poczekaj. Jak tam wejdziemy?

Odchrząknął...

– Poprosimy dozorcę, żeby otworzył drzwi.

– A jeśli go nie ma?

– To sprawdzimy u sąsiadów, czy przypadkiem nie zostawiłaś u nich klucza, tak jak w Summer Harbor.

– A jeśli nie zostawiłam? – Przecież nie porzuci jej na progu, prawda?

– Przez te lata Abby czegoś tam mnie nauczyła. W razie konieczności potrafię otworzyć zamek do drzwi.

Skręcił w Park Street i zwolnił, szukając jej bramy. Budynki miały numerację powyżej 300, więc przyspieszył. Wkrótce wjechali w dzielnicę w klimacie Bostonu, z gęsto stojącymi wąskimi, wysokimi domami i gankami prowadzącymi do pary bliźniaczych drzwi.

Zac zdjął nogę z pedału gazu i auto zwolniło. Patrząc na ulicę, Zac zmarszczył brwi i mocno zacisnął usta. Lucy podążyła za jego wzrokiem. Na ganku budynku z piaskowca stała grupka ludzi.

– O rety – westchnął.

– Co się stało?

– Czy jest tylne...? Mniejsza z tym.

Minął budynek odprowadzany spojrzeniami ludzi. Kilka osób wstało. Jakiś mężczyzna umieścił kamerę na ramieniu. Lucy wpadł w oko biały van z symbolem lokalnego kanału

telewizyjnego KPTV na burcie. Oraz jakiś inny van z nieczytelnym logo.

Zac zaparkował równolegle do krawężnika i wyłączył silnik.

– Co się dzieje? Czy to tam mieszkam?

Spojrzał na nią w ciemności.

– Zrobimy tak. Będziemy iść szybko, żeby minąć tych ludzi. Nie oddalaj się i nic nie mów.

W ogóle nic. Zrozumiałaś?

– To chodzi o mnie?

Westchnął przeciągle.

– Twój narzeczony musiał skontaktować się z policją i dał znać, że jesteś cała i zdrowa. To informacja ogólnie dostępna. Byłaś na liście osób zaginionych, cierpisz na zanik pamięci i jesteś krewną Audrey Lovett. To pożywka dla mediów. Gotowa? Musimy być szybsi niż oni.

Nie. Nie była gotowa. Lecz Zac już otwierał drzwiczki i podawał jej ramię. Lucy na miękkich nogach podchodziła do gromadki gapiów. Jej serce biło jak szalone, tak że płuca nie mogły nadążyć. Trzymała się kurczowo ramienia Zaca, żeby nie upaść.

Kiedy byli już blisko, z grupki oderwało się kilka osób i ruszyło w ich kierunku z mikrofonami w rękach. Dwie osoby dźwigały kamery. Błysnął flesz. Lucy, oslepiona, zamknęła oczy. Za chwilę drugi. Przytuliła się do Zaca, a on objął ją w pasie.

I już ich oblegli.

– Lucy, czy to prawda, że masz amnezję?

– Lucy, gdzie się podziewałaś?

– Możesz nam opowiedzieć o tym wypadku?

– Co to za facet, Lucy?

– Bez komentarza – warknął Zac, torując ramieniem drogę przez napierających ciekawskich.

Lucy musiała niemal biec, ażeby dotrzymać mu kroku. Wpadli na ganek.

– Lucy, ile pamiętasz?

– Jakie są rokowania?

– Dlaczego zostawiłaś chłopaka przed ołtarzem?

– Mówią o tobie Uciekająca Panna Młoda. Skomentujesz to?

Lucy z Zakiem otworzyli drzwi i pobiegli w górę po schodach. Za chwilę usłyszeli, że drzwi się zamykają, odcinając lawinę pytań. Kiedy szli jedno, a potem drugie piętro w górę, Zac trzymał się blisko Lucy.

Po dotarciu na górę dziewczyna sapłała jak lokomotywa.

– To nie idziemy po dozorcę?

Zac wyciągnął z kieszeni dwa metalowe przyrządy.

– Od razu wybieramy plan „Ce”.

Zabrał się do roboty, a Lucy spoglądała w dół studni klatki schodowej, obawiając się, że dziennikarze sforsują drzwi. Czowała się przytłoczona ich pytaniami. Ile będą koczować na dole? Czy to znaczy, że ona i Zac znaleźli się w pułapce?

„Uciekająca Panna Młoda?”

– Może lepiej poszukać dozorcę. Na skrzynce pocztowej powinno być jego nazwisko.

Zac znieruchomiał i spojrzał na nią uważnie.

– Pamiętasz skrzynki?

– Nie... ale przecież muszą być.

Z wyraźnym rozczarowaniem wrócił do swojego zajęcia.

– No, prawie się udało – powiedział po chwili.



I rzeczywiście, za moment przekreślił gałkę i drzwi stanęły otworem. Przepuścił Lucy przodem. Przekraczając próg, sięgnęła do włącznika na ścianie. Mieszkanie pachniało nowym dywanem i cytrynami. Zac zamknął drzwi i kilkakrotnie przekreślił zamek.

– Potrzebny ci lepszy zamek. Z zasuwą.

Lucy weszła dalej i rozejrzała się po nieznanym sobie salonie z eleganckimi meblami. Ściany błękitnoszare, biała wykładzina na podłodze. Czarna skórzana sofa wyglądała, jakby została zrobiona, by na nią patrzeć, a nie na niej siadać. Małe niskie stoliki ze szkła i metalu. Na ścianie grafika z kwiatem Georgii O’Keefe – estetycznie oprawiona – oraz panorama miasta – Lucy zgadywała, że to Portland. Atrakcyjnie urządzone mieszkanie, ale zupełnie nie w jej guście.

Poczuła, że Zac stanął za nią.

– Ładnie tu. Czujesz się jak u siebie?

Pokręciła głową.

– Wiesz, to nawet nie jest w moim stylu. I nie na moje zarobki. Jesteś pewien, że to tu? – A jeśli włamali się do cudzego mieszkania?

– Gdybyś tu nie mieszkała, to przed domem nie byłoby dziennikarzy.

– No tak. – Żywiła nadzieję, że wkrótce odzyska pełną sprawność umysłu.

Zac rozejrzał się wokół.

– Może wynajęłaś już umeblowane. – Zainteresował się stołem, tymczasem ona poszła zajrzeć, dokąd prowadził krótki korytarzyk.

Sympatyczna sypialnia. Wymuszkana łazienka z obszerną wanną. Nagle stanęła zaskoczona, bo w oczy wpadła jej duża tubka pianki do włosów Big Sexy Hair. Wzięła do ręki piankę i leżącą obok szczotkę do włosów i przycisnęła je do piersi. A potem jeszcze tonik do twarzy.

I akurat wtedy, gdy tuliła je do siebie jak matka niemowlę, w drzwiach pojawił się Zac. Lucy zaczerwieniła się i czym prędzej, trzęsącymi się rękami, zaczęła odkładać wszystko na marmurowy blat.

„Zwariowałaś, Lucy”.

– Znalazłem coś. – Pokazał trzymane w ręku koperty. – Wygląda na wyciąg z konta i jakieś rachunki. Oraz czek z pensją.

– Z pensją? Skąd?

– Nazywa się to Vacasa.

Wzięła do ręki czek i zmarszczyła brwi na widok nazwy. Nigdy w życiu nie słyszała o takiej firmie, a przecież tam pracowała. Zdziwiła ją też wysokość pensji. Nawet jeśli to tylko pobory tygodniowe, to i tak nie stać jej było na mieszkanie o takim standardzie.

– Nic z tego nie rozumiem – westchnęła.

– Pewnie masz drugą pracę. Chodź, poszukamy kluczyków do auta.

Poszli do salonu, z niego do małej jadalni, a z jadalni do kuchni. Może Brad płacił za mieszkanie. Nie mogła sobie wyobrazić życia na koszt jakiegoś mężczyzny, ale żadne inne tłumaczenie nie przychodziło jej do głowy.

– Bingo – zawołał Zac, podając jej kompletnie obcą skórzaną torebkę leżącą na blacie kuchennym.

– Dlaczego miałabym zostawić tu swoją torebkę? Przecież wzięłabym ją ze sobą.

Wzruszył ramionami,

Nie, przecież na pewno miała jakieś białe caczuszko pasujące do sukni. Oraz małą walizkę albo podręczną torbę. Przecież musiała mieć gdzieś rzeczy do przebrania.

„Uciekająca Panna Młoda”.

Odsunęła od siebie to niemiłe przypomnienie i zajrzała do torebki.

– Wątpię, czy gdzieś tu stoi mój samochód – powiedziała i w tym samym momencie palce trafiły na metalową krawędź kluczyków. Wyciągnęła trzy klucze na kółku oraz pilota do buicka.

Dziwne, pamięta mini coopera z 2010 roku bez luksusów w postaci zdalnego uruchamiania silnika. Zmarszczyła brwi i powiedziała:

– To nie moje.

– Założę się, że twoje.

Zac podszedł do okna, wyjrzał przez firanki, a potem lekko je rozchylił.

– Nadal tu są.

Lucy stanęła obok i poczuła aromat korzenno-leśnej wody po goleniu. Wzięła głęboki oddech, starając się utrwalić ten zapach w pamięci.

Zac wycelował pilota w kierunku ulicy i nacisnął guzik.

Zaparkowany kawałek dalej buick błysnął światłami.

– Bingo – powiedział, wręczając jej klucze.

Ich oczy spotkały się i nie mogły się od siebie oderwać. Czy naprawdę Zac zamierza ją tu zostawić? Czy naprawdę utracił ją na zawsze?

„Panie Boże, jak to wszystko mogło się stać? Tak bardzo go kocham”.

Zac położył dłoń na karku i powiedział:

– Eee... sprawdź, czy w torebce jest telefon. Będziesz miała kontakty i esemesy. Może to ci coś przypomni.

– Nie ma go tam.

– No tak. Pewnie miałaś telefon ze sobą, kiedy straciłaś przytomność w tej knajpie. Zadzwoń z pytaniem, czy go nie znaleziono.

Lucy z roztargnieniem skinęła głową. Nie pamiętała nazwy tej knajpy i nie miała pojęcia, gdzie ona się znajduje. Będzie musiała zadzwonić do Brada, mimo że bardzo jej to nie odpowiada. Może on skontaktuje ją z jakąś jej bliską koleżanką? Może wtedy nie będzie czuła się taka samotna. I taka smutna.

– Jak myślisz, co oni mieli na myśli, Lucy? – spytał Zac, przerywając jej rozmyślenia. Spojrzała mu w oczy i ciepło jej się zrobiło na sercu na widok czułości, którą w nich wyczytała.

– No, kiedy mówili o Uciekającej Narzeczonej?

Spuściła wzrok, skrępowana. Czasem miała wrażenie, że potrafi przejrzeć ją na wylot. Zajrzeć do jej serca. I wydawało jej się, że mimo wszystko nadal ją kocha.

– Skąd mogę wiedzieć?

– Racja. – Odwrócił się i wsunąwszy ręce do kieszeni, zaczął rozglądać się po sterylnym wnętrzu, a potem spojrzał na Lucy. – No, jesteś w domu, więc na mnie już czas.

Serce Lucy zaczęło walić o żebra. Od adrenaliny przyspieszył jej puls i ręce zaczęły się trząść.

– Może się czegoś napijesz? – zaproponowała, starając się go zatrzymać.

– Zrobiło się późno, a przede mną wiele godzin jazdy.

– To może coś na drogę? Może mrożona herbata? – Chyba miała w domu mrożoną herbatę?

– Nie, dziękuję.

Szła za nim do drzwi, czując nieprzepartą pokusę złapania go za koszulę i zawleczenia z powrotem do salonu. Albo rzucenia się na drzwi i zatarasowania wyjścia.

No cóż, ale on jej nie chciał. Już jej nie kochał. Jedyne, czego pragnął, to wrócić do swojego życia bez niej. A co ona miała? Obce mieszkanie w nieznanym mieście, narzeczonego, którego

nie pamiętała, i – oczywiście – chmurę reporterów przed drzwiami. Panika ścisnęła jej gardło.

Zac otworzył zamek, obrócił się i spojrzał na nią chłodnymi jak stal oczyma.

Uczucia musiały rysować się wyraźnie na jej twarzy, bo wzrok Zaca troszkę złagodniał.

– Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Wiesz, gdzie pracujesz, masz swoje auto, pieniądze i... narzeczonego.

„Nie kocham go. Kocham ciebie”.

– Jego numer zostawiłem na stole. Powinnaś do niego zadzwonić. Pomoże ci wszystko poukładać.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa. Patrzyła tylko, błagając go w duszy, żeby nie odchodził. Dlaczego wszyscy ją porzucają? Co jest z nią nie tak?

Przerażenie zaczęło w niej rosnać, rozpychać ją od środka. W uszach czuła walenie serca. „Żadnego błagania, Lucy. Pamiętaj, żadnego błagania”.

Z oczu Zaca znikła łagodność. Teraz były zimne, twarde jak cyna. Usta zacisnął w wąską, cienką linię. Bardzo pragnęła ostatni raz znaleźć się w jego ramionach, ale co za przyjemność obejmować marmurowy pomnik? Nie zniosłaby kolejnego odrzucenia.

– Nie zapomnij zamknąć drzwi – powiedział ze ściśniętym gardłem. – Trzymaj się, Lucy.

Lucy zaczęła drżeć dolna warga, więc złapała ją między zęby i tylko skinęła głową. Do niczego więcej nie była zdolna.

Zac wyszedł. Drzwi zatrzasnęły się jej przed nosem, tak jak wiele razy wcześniej.

## Rozdział 10

**L**edwie Zac postawił nogę za drzwiami, otoczyła go chmara paparazzich.

– Gdzie jest Lucy?

– Jak się nazywasz?

– Gdzie ona się podziewała od soboty?

– Czy to dla ciebie zostawiła Brada przed ołtarzem?

Zac zacisnął zęby i patrząc prosto przed siebie, umknął przed gradem pytań. Wsiadł do furgonetki, zatrzasnął się w środku i zapadła błoga cisza.

Tamci cały czas okupowali ganek. Zac nie był na tyle ważny, żeby się go czepiać. Lucy to co innego.

„Nie twój problem”.

Przed oczami stanęła mu twarz Lucy w chwili rozstania. Błada jak prześcieradło, z przerażeniem w oczach.

Ze zdecydowaniem odsunął od siebie jej obraz i ruszył sprzed chodnika. Ale w sercu toczył ze sobą walkę i boleśnie ścisnęło go w dołku.

„To dorosła kobieta. Nic jej nie będzie”.

Po kilku minutach wjechał na autostradę, przyspieszył i włączył radio. W kabinie rozległa się żalosna piosenka, więc przestawił na coś bardziej radosnego.

Lucy wróciła do siebie, a on też wraca do normalności. Jeśli normalność nie była taka rewelacyjna, to trudno, da sobie z tym radę. Robił to od chwili, gdy Lucy go rzuciła. Układanie sobie życia na nowo nigdy nie jest przyjemne. A jeśli znowu zrobiła mały wyłom w jego sercu... to trudno, kiedyś się zagoi. Zapomniał już, jak bardzo podobał mu się jej lekko zaciągający południowy akcent, jasne błękitne oczy. Jak trzymanie jej drobnej dłoni potrafiło uderzyć do głowy.

Dziś wieczorem, gdy rozglądała się po swoim nieswoim mieszkaniu z ramionami oplecionymi wokół tułowia, wyglądała na taką zagubioną, samotną.

„Ma narzeczonego. Pomoże jej się pozbierać”.

Musi przestać o niej myśleć. Podgłośnił radio, żeby muzyka zagłuszyła wątpliwości.

Było późno, prawie jedenasta. Pomyślał, że czas na wiadomości telewizyjne. Czy będą mówić o Lucy? Czy wszyscy w mieście będą wkrótce wsadzali swój nos w jej sprawę?

„Dlaczego zostawiłaś chłopaka przed ołtarzem, Lucy? Mówią o tobie Uciekająca Panna Młoda”.

Ze wzrokiem utkwionym w ścielącą się przed nim drogę, zmarszczył brwi. Słowa maszerowały mu w głowie jak oddział wojska. Czy to naprawdę tak się wydarzyło? Czy dlatego była sama w tej knajpie, kiedy się poślizgnęła i upadła? Czy zostawiła następnego chłopaka przed ołtarzem? Niemal zaczął mu współczuć.

Z jednej strony czuł się oczyszczony z winy. Jeśli nie tylko jego porzuciła, to znaczy, że rozstali się nie z jego winy. Nie z ich winy, Zaca i tego drugiego. To z nią jest coś nie w porządku, z Lucy. Zganił się za tę myśl. Teraz nie chodzi o niego, chodzi o Lucy.

O Lucy, która nie miała już narzeczonego.

Swoją drogą, dlaczego facet nawet nie wspomniał przez telefon tej drobnostki, jaką było zostawienie go przed ołtarzem? Co Zac wiedział na jego temat? Nie musiał być porządnym gościem tylko dlatego, że zaręczył się z Lucy. Ona знаła go krótko. Może to jakiś palant? Może dlatego go zostawiła?

Jaka jest gwarancja, że facet ukrył przed nią tylko to jedno? Kto wie, co jeszcze ukrywa? Jakie kłamstwa jej powie? A skąd ona będzie wiedzieć, co jest prawdą, skoro nic nie pamięta? No cóż, jest bezbronna, łatwo ją wykorzystać.

„A ty zostawiasz ją na jego łasce?”

Serce zaczęło szybko bić, oddech stał się krótki, urywany.

„Nie rób tego, chłopie. Nie wracaj”.

Ścisnął kierownicę w dłoniach, żałując, że nie może zadzwonić do ojca. Ojciec miał dar docierania do sedna. Wiedziała, co syn powinien uczynić. Ale ojciec nie żył i Zac był pozostawiony sam sobie.

Sam będzie musiał sobie poradzić.

Miejsce Lucy nie było w Summer Harbor. Już raz złamała mu serce. Od wczoraj Beau wysyłał mu jeden esemes po drugim. Ponaglał Zaca, żeby jak najszybciej odstawił dziewczynę do Portland. Wiedział, że brat nie potrafi się jej oprzeć.

Ale zaraz przypomniał sobie jej minę, kiedy wychodził. Trzęsące się wargi. Łzy na rzesach. Z trudem wyszeptane ostatnie słowa.

I wiedział, że nie jest w stanie tego zrobić. Nie zostawi jej samej. Uderzył dłonią w kierownicę, a potem jeszcze raz. „Głupek, głupek i jeszcze raz głupek!”

Zmienił pas na prawy, a następnie skręcił w najbliższy zjazd z autostrady, mając nadzieję, że nie popełnia właśnie największego błędu w swoim życiu.

Słyszając walenie w drzwi, Lucy podskoczyła nerwowo. Serce podeszło jej do gardła. Czyżby reporterzy przedostali się na klatkę schodową? Kilka minut temu, kiedy patrzyła za odchodzącym Zakiem, byli przed budynkiem.

A może to ten jej narzeczony? Może dowiedział się, że wróciła?

Tylko nie to. Na razie nie jest w stanie się z nim spotkać.

Cichutko przeszła przez pokój i krótki korytarz. Tylko wyjrzy przez judasza. Przecież nie musi otwierać. Oparła się dłońmi o drzwi, przyłożyła oko do wizjera... i ku swojemu zdumieniu ujrzała Zaca. Stał z zaciśniętymi ustami i wpatrywał się pod nogi.

Zac! Wrócił. Nieważne, dlaczego. I tak była szczęśliwa, mogąc znowu ujrzeć jego twarz. Serce zaczęło jej bić mocno, a ręce trzęsły się, kiedy przekreślała gałkę zamka i otwierała drzwi.

Zac spojrział na nią przesywającym wzrokiem. W jego oczach coś mignęło. Złość? Frustracja?

Przyjrzała się mu badawczo, pragnąc odgadnąć powód powrotu, lecz jego twarz była nieprzenikniona. Lucy poczuła suchość w ustach i nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nagła nadzieja kompletnie ją osłabiła.

– Spakuj się – odezwał się burkliwie Zac. – I pośpiesz się.

Odetchnęła z ulgą.

– Zabierasz mnie do domu?

– Jedziesz ze mną. To jest rozwiązanie tylko do czasu, kiedy odzyskasz pamięć.

Napięcie, o którym wcześniej nie miała pojęcia, wyparowało, i nagle poczuła się, jakby stąpała po chmurach. Zapiekły ją oczy. Przycisnęła rękę do serca, żeby nie wyskoczyło jej

z piersi.

– No, rusz się – popędził ją oschle. – Sępy tylko czekają na okazję, a ja chciałbym jeszcze dziś trochę się przespać.

## Rozdział 11

**L**ucy podeszła do szerokich stopni prowadzących do „Zajazdu pod Pierwiosnikiem” w Summer Harbor. Słońce stało już wysoko, przepędzając poranny chłód. Bujny krajobraz oszałamiał kolorami kwiatów, zielone łądygi przebijały ściółkę, jakby pragnęły włączyć się w szaleństwo lata. Mama byłaby zachwycona.

Podniosła głowę i spojrzała na piękne stare domostwo. Potężna weranda z huśtawką ogrodową nadawała ciepła fasadzie z czerwonobrunatnego piaskowca. W „Harbor Tides” gospoda zamieściła ogłoszenie, że poszukuje recepcjonistki, i Lucy doszła do wniosku, że ma szansę na to stanowisko. Właścicielka lokalu, Margaret LeFebvre, entuzjastka ornitologii, często pojawiała się w Centrum Historii Naturalnej, kiedy Lucy tam pracowała, i panie się polubiły.

Dziś rano Lucy obudziła się po raz pierwszy od uderzenia się w głowę pełna optymizmu i energii. Zadzwoiła do firmy w Portland, w której pracowała, wytłumaczyła całą sytuację i złożyła wymówienie. Miała wrażenie, że to duża firma, bo personalna nie znała nawet jej nazwiska. Potem wypowiedziała umowę na mieszkanie i załatwiła zmagazynowanie swoich rzeczy – mieszkanie wynajmowała z umeblowaniem, więc nie było ich wiele. Przyjedzie po nie w dogodnej chwili. I wreszcie zostawiła na poczcie adres, na jaki należało przekierowywać korespondencję.

Postanowiła, że zostanie w Summer Harbor niezależnie od tego, czy pamięć wróci. Zacowi jeszcze o tym nie wspomniała. Wyszła, kiedy był zajęty. Z ważnych spraw zostało znalezienie pracy, i to im szybciej, tym lepiej. Jeśli nie uda się w „Zajeździe pod Pierwiosnikiem”, jest jeszcze posada w „Unique Boutique”.

Ale uda się. W ulubionych szarych spodniach i jasnym swetrze podkreślającym kolor oczu Lucy nareszcie czuła się sobą. Znalazła też piękne szare buty na koturnach od Michaela Korsa, które dodawały jej z dziesięć centymetrów wzrostu.

Pchnęła ciężkie drewniane drzwi i zadźwięczał dzwonek. Wewnątrz pachniało apetycznie bekonem i cynamonem. Lucy zaczęło burczeć w żołądku.

Z pomieszczenia z tyłu dobiegały głosy i już miała się tam skierować, kiedy w jego drzwiach stanęła nagle Margaret z ciepłym uśmiechem na twarzy. Umiejętnością ładnego ubierania się i figurą właścicielka zajazdu przypominała Diane Keaton.

– Dzień dobry, pani LeFebvre – przywitała ją teraz.

Uśmiech pani LeFebvre przygaśł o kilka watów.

– O, Lucy. Wróciła pani.

Lucy uśmiechnęła się szerzej, nie dając się zniechęcić brakiem entuzjazmu w głosie kobiety.

– Tak. Wróciłam w sobotę. Ma pani piękne pierwiosnki. I bardzo zachęcający hotelik. Rozumiem, dlaczego cieszy się taką popularnością.

Pani LeFebvre zdjęła okulary, które zawisły na łańcuszku na szyi.

– Dziękuję.

– Miała pani ostatnio czas na obserwację ptaków?

– Niewiele. Odkąd zrobiło się ciepło, mamy mnóstwo turystów. Chce pani wynająć u nas pokój?

– Och, nie. Prawdę mówiąc, znalazłam w gazecie ogłoszenie, że poszukujecie recepcjonistki. Miałam nadzieję, że jeszcze jest aktualne.

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

– Ach, rozumiem. Pani wróciła na stałe.

Słyszając jej suchy ton, Lucy skurczyła się wewnątrz.

– Tak, proszę pani.

– Nie wiedziałam, że jest pani znowu z tym chłopakiem od Callahanów.

Usta Lucy drgnęły i z trudem utrzymała uśmiech.

– Nie... niezupełnie jesteśmy razem. Ale przeprowadzam się z powrotem do Summer Harbor. Tęskniłam za tym miasteczkiem. – Nie przypomina sobie tego, ale przecież musiała tęsknić. – Mam mnóstwo doświadczenia w pracy z ludźmi, jak pani wie, bo prowadziłam...

– Przykro mi – odparła pani LeFebvre, patrząc jej prosto w oczy – ale pani nie bardzo nadaje się na to stanowisko.

Lucy aż skręciło.

– No cóż... Mam nadzieję, że nie zapomni pani o mnie, jeśli pojawi się coś stosownego. – Uśmiechnęła się wymuszenie.

– Dzięki, że pani wpadła.

Lucy odwróciła się i wyszła na trzęsących się nogach. Kobieta od wieków była zaprzyjaźniona z rodziną Callahanów i najwyraźniej miała za złe Lucy porzucenie Zaca.

Przyszedł jej na myśl ten cały kołowrót z odwoływaniem ślubu. Ile upokorzenia Zac musiał się przy okazji nałykać. Zaczerwieniła się ze wstydu. Dlaczego zrobiła coś tak okropnego?

Idąc dalej, starała się z całej siły odsunąć od siebie przygnębiające myśli. Przyszłości nie zmieni. Skręciła za róg, do „Unique Boutique”. W lecie kupiła tam jasnobłękitną sukienkę na ramiączkach. Miała ją na sobie w ten wieczór, kiedy Zac jej się oświadczył.

Dwie godziny później Lucy poszła na plażę i usiadła na piasku, nie zważając na eleganckie spodnie. Zdjęła buty i zagłębiła stopy w szorstki piasek. Jego chłód łagodził ból podbicia.

Przed nią, na morzu, kołysały się łódki poławiaczy homarów. Wiatr rozwiewał włosy. Lucy wzięła głęboki oddech, napełniając płuca słonym powietrzem. Drobne fale z łagodnym szemraniem lizały brzeg, lecz dźwięk ten nie ukoił jej ducha. Gdzieś w górze mewa wydała okrzyk pełen samotności.

Lucy poszła do butiku i rozmawiała z właścicielką. Kobieta, w wieku po trzydziestce, ledwie spojrzała na Lucy, zadarła głowę do góry i powiedziała krótko, że miejsce jest już zajęte.

W księgarni w oknie wisiało ogłoszenie o tym, że poszukują pracowników, więc Lucy skorzystała z okazji. Była też w kilku innych sklepach, ale bez skutku.

W końcu zdesperowana postanowiła sprawdzić knajpę „Obdarty Joe”. Wiele godzin spędziła tam z Zakiem, a jej właścicielka była bardzo przyjaźnie nastawiona do ludzi. Poza tym Lucy pracowała już jako kelnerka w czasie studiów. Może kilka razy zdarzyło jej się stłuc naczynia, lecz robota paliła jej się w rękach i miała znakomitą pamięć. No cóż. Normalnie.

Okazało się, że niepotrzebnie zawczasu martwiła się o naczynia. Mimo że Charlotte Dupree zapisała numer jej komórki, ton głosu niewiele dawał nadziei.

Może mózg Lucy nie pracował na pełnych obrotach, lecz musiałaby być jeszcze ślepa i głucha, żeby nie zauważyć, jak wszyscy się od niej odwracają. W pełni zaczął docierać do niej koszmar tego, co zrobiła siedem miesięcy temu.

Nie uśmiechał jej się powrót do „Przydrożnego Zajazdu”. Zac nie chciał jej widzieć, podobnie jak całe miasteczko. Może nawet jeszcze mniej. Ta myśl walnęła ją jak obuchem.



Słyszając za sobą kroki, odwróciła się. Jakaś młoda kobieta uprawiała jogging po promenadzie nadmorskiej. Lucy poczuła ukłucie zazdrości na widok spokoju malującego się na jej twarzy. Właśnie tego teraz potrzebowała. Nie ma to jak długi bieg, żeby zapomnieć o problemach.

Pragnąc odwrócić od nich uwagę, zajrzała do torebki i wyjęła kilka kopert. W jej mieszkaniu odkryli z Zakiem trochę korespondencji oraz dokumentów. Może uda jej się z tego odgadnąć, co robiła w Portland, a może nawet znajdzie informacje ułatwiające nowy start.

Jeden z listów był z banku. Po tamtym koszmarnym popołudniu miała nadzieję, że przez kilka miesięcy zdołała odłożyć sporą sumkę. Wsunęła palec pod skrzydełko i rozdarła kopertę. Informacja, że musi skontaktować się z bankiem, żeby odebrać nową kartę do bankomatu. Tymczasem w portmonetce miała tylko dwadzieścia siedem dolarów.

Kiedy rozpościerała kartkę, wiatr wyrwał jej kopertę. Odruchowo wyciągnęła po nią rękę i całą korespondencję porozwiewało po plaży.

Lucy rzuciła się w pogoń po piasku, ale co wyciągnęła rękę, to chwyciła powietrze. W końcu dobiegła do drewnianej promenady, gdzie udało jej się dopaść jednej kartki, a drugą ktoś przygwoździł stopą w adidasie.

– Och, dziękuję! – Lucy spojrzała w górę. To była ta kobieta uprawiająca jogging. Ciemne włosy miała związane w śmieszny kucyk.

– Nie jestem pewna, kto ma dziś lepszy trening – wysapała nieznajoma, wręczając list.

Lucy nie mogła nie odwzajemnić przyjaznego uśmiechu.

– Właśnie myślałam o tym, że przydałoby mi się trochę pobiegać. – Spojrzała na swój strój.

– Ale te biegi niezupełnie były zaplanowane.

– Przyjechałaś tu turystycznie? Masz akcent z Południa.

– Konkretnie z Georgii. A tu zamierzam się osiedlić... to znaczy jeśli dostanę pracę. Dzisiaj nie miałam szczęścia.

– Nie słyszałam o niczym, ale będę miała uszy otwarte.

– Byłabym wdzięczna. Powinna pani kontynuować trening.

– Trochę odsapki. Nie mam kondycji, bo dopiero zaczynam. Tylko jedna mila, a mam wrażenie, jakbym brała udział w biegu na przełaj.

– To podobnie jak ja. Ale jak się potem dobrze czuję!

– Tak, potem – powiedziały to jednocześnie i się roześmiały.

– Może byśmy się spotkały tu kiedyś? – zaproponowała nieznajoma. – Przydałby mi się ktoś, kto by mnie dopingował. Zazwyczaj biegam rano, ale dziś wyszłam trochę później.

– To mi się podoba. Może w towarzystwie lepiej pójdzie.

– Na to liczę. – Kobieta podparła się w pasie, nadal sapiąc jak miech kowalski. – Dziś jest silny wiatr. Czy twoje buty też związały?

Lucy roześmiała się i poruszała bosymi palcami.

– Nie, ale powinnam wrócić, zanim się to stanie.

Kobieta wyciągnęła do Lucy rękę i rzekła:

– A przy okazji. Mam na imię Eden.

– Lucy.

Kobieta spoważniała. W jej oczach mignęło światło zrozumienia, gasząc wesołe iskierki. Cofnęła się o krok.

Lucy zjeżyła się. Naprawdę? Tak reaguje ktoś, kogo nigdy w życiu nie widziała?

– Jak widzę, reputacja mnie wyprzedza.

Eden zamachała rękami i poruszyła wargami, ale nie wydała żadnego dźwięku. W końcu

wyjąkała:

– Ja... jestem narzeczoną Beau.

Lucy uśmiechnęła się z przymusem.

– Naturalnie. No cóż, nie martw się, Eden. Nie zamierzam wykorzystać twojej propozycji. Odepchnij mnie, tak jak wszyscy. – Odwróciła się, sztywna jak kołek, i zaczęła odchodzić.

– Czeka! – zawołała Eden.

Lucy odwróciła się ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy to prawda... że masz amnezję?

– Nie pamiętam nic z ostatnich siedmiu miesięcy.

– Nic zupełnie? To musi być... trudne.

Kochać mężczyznę, któremu złamało się serce, ale się tego nie pamięta? To nie kaszka z mlekiem. Na szczęście nie ma obowiązku się przed nią tłumaczyć.

– Słuchaj... – Eden zeszła z promenady na piasek. – Nie wiem, czemu nie mogłybyśmy zostać koleżankami. Albo wspólnie biegać. W końcu ty i Zac to już przeszłość, prawda?

– Na to wygląda – odparła Lucy z bladym uśmiechem.

Eden nagle coś przyszło do głowy, bo aż otworzyła usta.

– Och! – powiedziała. – Nie pamiętasz tego, jak go zostawiłaś, więc...

– Taaa, cały czas funkcjonuję na emocjach z okresu narzeczeństwa.

– O rety! – jęknęła Eden. – A jakie są rokowania? Wróci ci pamięć?

Lucy wzruszyła ramionami.

– Bóg jeden wie.

Eden przyglądała jej się przez całe dziesięć sekund, nie zważając na wiatr szarpiący jej spodniami do joggingu. Wydawało się, że podejmuje jakąś decyzję.

Zakrzyczała mewa, a jej wołanie odbiło się echem.

– No cóż, powinnam już dać ci... – zaczęła Lucy, szykując się do odejścia.

– Co powiesz na jutro? – przerwała jej Eden. – O ósmej?

Ta kobieta naprawdę dawała jej szansę? Narzeczone Beau?

– Właściwie nie powinnam biegać, póki nie miną wszystkie symptomy.

– Tak, racja. Uraz głowy. Ale przecież mogłybyśmy spacerować...?

Lucy była pewna, że spacer to żadne wyzwanie dla Eden. Jednak za bardzo potrzebowała przyjaznej duszy, żeby odrzucić taką propozycję.

– Chętnie. Jeśli naprawdę chcesz...

Eden uśmiechnęła się promiennie.

– Moje nogi ci dziękują. – Cofnęła się o kilka kroków. – To w tym miejscu o ósmej rano?

– Do jutra.

Lucy patrzyła, jak Eden wskazuje na promenadę i idzie w kierunku aut zaparkowanych wzdłuż ulicy. Po chwili Lucy odwróciła się i poszła po swoje rzeczy. Może wreszcie jakieś światło na horyzoncie.

## Rozdział 12

Zac zamknął drzwi i zgasił światła w restauracji. Był zmęczony. Zastępował Marci, która zadzwoniła, że znowu jest chora. Cieszył się, że ma tyle na głowie, ale robiły się zaległości w pracy biurowej. Na biurku leżały trzy propozycje druku reklamującego zajazd, z których należało wybrać jedną, i była lista płac do zrobienia.

Ruszył korytarzem do biura. Kiedy wszedł, Lucy siedziała przy komputerze. Pozwolił jej go używać i właśnie to robiła. Miała na sobie różowy top bez ramion, a pod biurkiem widział spodnie od piżamy ze wzorkiem w maciupkie krowy. Włosy miała związane w kucyk, twarz była zaróżowiona od mycia. Przyznał w duchu, że to najpiękniejszy widok, jaki w życiu widział.

- Jak się czujesz? – spytał.
- Bez zmian. Widziałeś artykuły?
- Jakie?

Przekręciła laptop i jego wzrok padł na artykuł z gazety z Portland. Zdjęcie przedstawiało Lucy przed drzwiami swojego mieszkania, wtuloną w ramię Zaca.

- W artykule piszą o mojej ciotce „świętej pamięci Audrey Lovett”.

Poszukał wzrokiem jej oczu.

- Umarła... a ja tego nawet nie pamiętam.

Serce zmięknęło mu na widok jej oczu zasnutych smutkiem i jeszcze jakąś inną emocją. Poczuciem winy?

– Przykro mi. Powinienem ci o tym powiedzieć. – Słyszał to w wiadomościach kilka miesięcy po wyjeździe Lucy. Wówczas nawet nie mógł jej złożyć kondolencji, bo nie miał pojęcia, gdzie się podziewa.

– Nie byliśmy sobie bardzo bliskie, ale jak wiesz, przez wiele lat się mną opiekowała. To moja jedyna krewna. Jak to możliwe, że nie pamiętam jej śmierci?

- Przecież to nie twoja wina. Miałaś uraz mózgu.

– Wiem, że masz rację, lecz... – Jakoś udało jej się odsunąć od siebie tę myśl. – Mniejsza z tym. Chodzi mi o to, że artykuł dokładnie opisuje, co się ze mną działo. Teraz wie o tym całe Portland.

Zac oparł się dłońmi o biurko i pobieżnie przeczytał artykuł.

### *ODNALEZIONO ZAGINIONĄ KOBIETĘ Z AMNEZJĄ*

*Zaginiona młoda kobieta, u której lekarze zdiagnozowali amnezję, pojawiła się ubiegłego wieczora w swoim mieszkaniu w Portland.*

*Lucy Lovett, krewna gwiazdy kina lat 60. Audrey Lovett, nie pojawiła się na swoim ślubie z miejscowym biznesmenem Bradem Martinem. Narzeczoney, nie będąc w stanie jej znaleźć, następnego dnia zawiadomił policję o jej zaginięciu.*

*Policja odkryła, że w sobotę wieczorem Lovett zgłosiła się na ostry dyżur w szpitalu.*

*Podobno kilka godzin wcześniej upadła i uderzyła się w głowę w restauracji „Dee Dee’s Diner”. Lovett zadzwoniła później do Martina i poinformowała go, że ma amnezję i że wyjechała z miasta.*

Wczoraj pojawiła się przed drzwiami swojego mieszkania przy Park Street w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

„Nigdy wcześniej go nie widziałam – powiedziała Dorinda Evans, sąsiadka. – Lucy kręciła się tu nieustannie, jednak narzeczony był jedynym mężczyzną, który do niej przychodził”.

Wkrótce po powrocie Lovett wyszła ponownie, udając się nie wiadomo dokąd.

„Ten obcy mężczyzna wyszedł, a zaraz potem wrócił – mówi Evans. – Po kilku minutach wyszli razem z Lucy i tym razem mieli ze sobą bagaż. Nie mam pojęcia, skąd przyjechali i dokąd pojechali. Wydaje mi się, że Lucy nie jest w stanie rozsądnie myśleć”.

Lovett od pół roku pracowała jako koordynator projektów w firmie Vacasa. Jej pracodawca nie wypowiada się na temat tego, co się zdarzyło, a Martin również jest nieosiągalny.

Zac spojrzał na Lucy i rzekł:

– Może więcej nie będą się interesować.

– To nie jest jedyny artykuł. W telewizji też jest reportaż z wizją mojego mieszkania. Wiedzą o mnie więcej niż ja sama. – Opadła na poduszki fotela.

Choć znajdowała się co najmniej metr od Zaca, dobiegał do niego ten dobrze znany zapach świeżego jabłka. Zrobił głęboki oddech. Och, jak mu go brakowało. Brakowało mu tylu rzeczy związanych z Lucy. Zapomniał delikatny zarys jej brwi, łagodny łuk górnej wargi.

Potrząsnął głową. Musi wyjść. Ona już zaczęła mu mącić w głowie.

– Przypomniało ci się cokolwiek? – spytał.

– Niestety.

– Przeglądałaś te wszystkie kartki, które zabraliśmy z twojego mieszkania?

– Oczywiście.

– Długo cię dziś nie było.

Martwił się, czy coś się jej nie stało. A jeśli znowu się przewróciła albo w szpitalu przeoczono jakieś opuchnięcie i teraz Lucy leży martwa na plaży? Kiedy otworzyła drzwi, poczuł ogromną ulgę.

– Szukałam pracy.

Spojrzał na nią przeciągle.

– Czegoś tymczasowego?

Patrząc mu w oczy, Lucy odparła:

– Zac... Postanowiłam, że zostanę na stałe... w Summer Harbor.

„Zostać na...”. Nie. Po prostu nie. To ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył. Skoro nie był w stanie o niej zapomnieć, kiedy jej nie było, to jak mu się uda, jeśli będzie codziennie ją widywał? Jej bliskość była dla niego torturą. Lucy nadal patrzyła na niego z miłością w pięknych błękitnych oczach. Nadal bez słów błagała, by wziął ją w ramiona.

I choć bardzo kusiło go, by spełnić jej życzenia, wiedział, że wszystko się zmieni w chwili, kiedy dziewczyna odzyska pamięć.

– Nie, Lucy – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Lucy zadarła brodę do góry i ze zdecydowaniem wypisanym na twarzy odparła:

– Nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Jak to nie? Mieszkasz u mnie, jesz u mnie...

– Postaram się o własne mieszkanie.

– Akurat.

Spojrzał na nią urażony. Zaciśnął wargi. A potem w jej oczach pojawiły się łzy i on znowu

poczuł się jak ostatnia świnia. Lucy spuściła wzrok i zaczęła bawić się paskiem od pizamy.

Po chwili podniosła wzrok i przygważdżając Zaca spojrzeniem błękitnych oczu, rzekła:

– Chcesz, żebym sobie poszła. Zrozumiałam. Ale to, gdzie będę mieszkać, to już moja decyzja. Jestem dorosłą kobietą i mogę mieszkać, gdzie tylko zechcę, a ponieważ chcę tutaj, to po prostu musisz się z tym pogodzić.

Pełną napięcia ciszę rozerwał przeciągły dźwięk telefonu. Po co Zac ją tu przywiózł? Powinien był zostawić ją tam, w Portland. Na pewno by sobie poradziła. Zawsze spadała na cztery łapy.

Zac oderwał oczy od Lucy i odebrał telefon.

– Słucham – powiedział szorstkim tonem. Cisza. Powinien odłożyć słuchawkę. I tak nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

– Kto mówi? – zapytał w końcu gburowato jakiś męski głos.

– A kto dzwoni? – odparował zirytowany tą nieuprzejmością Zac.

– Narzeczony Lucy Lovett. Czy rozmawiam z tym samym gościem, który...

– Były narzeczony.

– ...przyjechał z nią do Portland? Daj ją do telefonu.

– Słuchaj, kolesiu...

– Nie, to ty słuchaj. Nie wiem, co ty sobie wyobrażasz, ale nie uda ci się ukryć Lucy. Miała uraz mózgu, wobec tego to jest po prostu porwanie. Postaram się, żeby...

Gadał i gadał, ale Zac przestał słuchać, kiedy Lucy podeszła do niego i zdecydowanie wyciągnęła rękę.

Świetnie. To jej problem. Niech sama go rozwiąże.



Spojrzeni sobie w oczy i Lucy przyłożyła słuchawkę do ucha. Mężczyzna po drugiej stronie bełkotał coś o odpowiedzialności sądowej.

– Brad... – odezwała się Lucy, przerywając mu tyradę. – Brad, to ja.

– Lucy! Dlaczego nie dałaś mi znać, że wracasz do domu? Przyszedłbym do ciebie. Co się dzieje? Jesteś w każdym wydaniu wiadomości. Wszyscy do mnie dzwonią, pytają, gdzie się podziewasz, a ja nie wiem, co mam im powiedzieć. Nie wiem, gdzie jest moja narzeczona! Co to za facet? Dlaczego jest z tobą?

Lucy zaczęło kręcić się w głowie od tego nawału pytań. Oparła rękę o biurko, aby się nie przewrócić.

– Potrzebuję czasu na to, żeby pomyśleć.

– Gdzie jesteś? Co to za facet?

Nie wiedziała, ile powiedziała mu w czasie, gdy byli ze sobą.

– Jestem... wyjechałam kawałek na północ. To mój dawny przyjaciel.

Spotkali się wzrokiem. Dostrzegła, jak Zacowi drga mięsień na szczęce. Patrzył na nią w skupieniu, a ona nie mogła oderwać oczu od jego wyrazu twarzy pełnego napięcia i bólu.

– Nie myślisz rozsądnie, Lucy – odezwał się Brad. – Nie wiem, co stało się tuż przed ślubem, ale ja nadal cię kocham i w głębi duszy ty też na pewno mnie kochasz, nawet jeśli tego nie pamiętasz. Pozwól mi zabrać cię do domu. Będę się tobą opiekował.

– Przykro mi, Brad – powiedziała Lucy tonem, który złagodniał nie pod wpływem jego słów, lecz smutku w oczach Zaca. – Chcę tu zostać.

Może uda się sprawić, by Zac znowu ją pokochał. W końcu już raz stracił dla niej głowę, prawda? Na pewno nie mogło mu to całkiem minąć.

Brad mówił dalej, a jego słowa trzepotały jej w głowie niczym skrzydła nietoperzy. Zachwiała się.

Zac złapał ją za ramię i przejął słuchawkę.

– Lucy nie czuje się dobrze. Zadzwoń później.

Z telefonu płynął nadal głos Brada. Zac odsunął słuchawkę od ucha Lucy i, przerywając potok wymowy, rozłączył się.

Lucy zamrużyła, bo znowu powróciło jej nieostre widzenie. Głowa zaczęła pulsować, a przestrzeń wokół niej zawirowała. Czy to się kiedyś skończy? Miała dość swojego złego samopoczucia.

– Pomogę ci położyć się do łóżka – powiedział Zac, wyprowadzając ją z pokoju.

– Co... co mówił Brad?

– Nie mówił nic, co by nadawało się do kobiecych uszu – odparł Zac, nie patrząc na nią.

## Rozdział 13

S topy Lucy rytmicznie odbijały się od drewnianej promenady, a oddech zmienił się w serię posapywań. Ranek był rześki, termometr nie wskazywał nawet szesnastu stopni. Lucy pomyślała, że słusznie uczyniła, wkładając spodnie od dresu i koszulkę z długimi rękawami. Od chłodnej bryzy znad morza miała gęsią skórkę na rękach, ale słońce, stojące już dobrze ponad horyzontem, wkrótce przygrzeje. Odetchnęła morskim powietrzem przesyconym zapachem soli z delikatną nutą butwiejących glonów. Tak pachniał dom.

Obok niej biegła Eden. Oddychała bez trudu, a jej ramiona delikatnie kiwały się w rytm kroków.

– Nie za szybko? Powiedz, jeśli wolisz, żebym zwolniła.

– Nie, jest dobrze. Dziś czuję się lepiej.

Po wspólnym spacerze w środę postanowiły, że będą spotykać się w poniedziałki, środy i piątki. Czas faktycznie płynął szybko, kiedy wspólnie stawiały czoła wiatrowi.

Lucy zdołała się już dowiedzieć mnóstwa rzeczy o Eden. Miała sześciolatniego syna, Micah. W trakcie gdy biegła, zostawiała go na śniadaniu u dziadka. Pracowała w domu, prowadząc własną firmę projektującą strony internetowe. Musi przynosić niezły dochód, skoro mieszkała w ładnym domku na obrzeżach miasta. Ona i jej ojciec pochodzili z Missisipi, choć jej akcent wskazywał raczej na północny wschód. Eden wspomniała o ciężkich przeżyciach, ale na razie bez konkretów. Lucy, choć zaintrygowana, potrafiła docenić powściągliwość.

– Jak tam poszukiwania posady? – spytała Eden. – Coś się szykuje?

– Nic a nic. – Wczoraj Lucy ponownie przejrzała ogłoszenia i odwiedziła kilka miejsc. Wyglądało na to, że w Summer Harbor nie ma pracy.

– Szkoda, że nie mogę zatrudnić cię jako asystentki. Ale co ja gadam! Z twoim wykształceniem nawet byś na to nie spojrziała.

– Obecnie byłabym uszczęśliwiona, gdybym mogła pracować w barze dla zmotoryzowanych. Eden uśmiechnęła się.

– No cóż, tego tu nie uświadczysz.

Zasugerowała kilka miejsc, lecz Lucy wszędzie już była. Zaczynało brakować jej pomysłów... i pieniędzy. Jej konto bankowe, niestety, nie spełniło oczekiwań.

– Potrzebny mi dopływ gotówki. – Choć wspaniale było przebywać cały czas w pobliżu Zaca, to jednak dużą część przyjemności odbierał jej fakt, że Zac najwyraźniej chciał się jej pozbyć.

Teraz przebiegały wzdłuż ogrodzenia oddzielającego kawałek terenu od plaży. Słysząc było uderzenie takie jak piłką do kosza. Lucy rozejrzała się za źródłem dźwięku i ujrzała jedenasto- lub dwunastoletnią dziewczynkę, która ćwiczyła rzuty. Nie trafiła i zaczęła kozłować. Lucy zauważyła ją już w czasie niedawnego spaceru z Eden. Z jej postawy, pochylenia ramion, powolności ruchów biła samotność i Lucy natychmiast poczuła bliski związek z dziewczynką.

– Kto to jest? – spytała.

Eden podążyła za jej wzrokiem.

– Brittany Conley. Podczas wakacji była w mojej grupie w szkółce biblijnej. Urocze dziecko.

Jej mama pracuje w spółdzielni.

– A tato?

– Nie mam pojęcia. Nie ma go, jak mi się wydaje. Często ją tu widuję, jak ćwiczy rzuty do kosza. Pewnie lubi koszykówkę.

Albo nie ma koleżanki ani nic lepszego do roboty. Lucy nie spuszczała oka z dziewczynki, która złożyła się do następnego rzutu. Serce ścisnęło się jej na ten widok. Dobrze wiedziała, co znaczy samotne dzieciństwo.

– Mama zostawia ją samą w domu? To jeszcze dziecko.

– Nie wiem, całkiem możliwe. Tutaj to nic szczególnego. Beau mówił, że gdy był zastępcą szeryfa, wiele razy wzywano go do nastolatków. Dzieci samotnych matek albo obojga pracujących rodziców często są niedopilnowane. Szczególnie latem. Z nudów nawet porządne dzieciaki mogą rozrabiać.

Oczy Lucy znowu powędrowały do Brittany. Włączyło się jej socjologiczne wykształcenie. Zastanawiała się, jaki jest związek córki z matką i ojcem. Czy w jej życiu w ogóle był ojciec? Czy mama zajmowała się domem, dopóki rozwód nie zmusił jej do podjęcia pracy? To były tylko przypuszczenia, ale niestety bardzo wiele dzieci cierpiało z powodu wyborów, jakich dokonywali rodzice.

– Jak to się stało, że skończyłaś Harvard? – zagadnęła ją Eden, odrywając od rozmyślań.

– To długa historia.

– Biegamy dopiero kwadrans.

– Wychowałam się w Savannah. Byłam jedynaczką. Mamę straciłam jeszcze w dzieciństwie.

– Och, ja też. Więc wychowywał cię tato?

– Trochę. Potem on... potem opiekę przejęła moja ciocia babcia. Była już wiekowa i nigdy nie miała własnych dzieci. Ja miałam wtedy siedem lat, a ona nie bardzo wiedziała, co ze mną zrobić. Jak tylko skończyłam siódmą klasę, posłała mnie do szkoły z internatem w Alabamie.

– Ojej, szkoła z internatem. Musiało być ci ciężko poza domem.

– Prawdę mówiąc, nie za bardzo miałam dom. Ciotka zaspokajała moje potrzeby materialne, ale nie zastępowała mi matki.

– Pewnie tęskniłaś za rodzicami.

Lucy wzruszyła ramionami.

– Miałam koleżanki w szkole. I nauczyciele stali się dla mnie czymś w rodzaju zastępczych rodziców. Wszyscy byliśmy w tej samej łódce, rozumiesz?

– Ale na lato wracałaś do domu?

– Oczywiście. Jednak zawsze jesienią chciałam wracać do szkoły. W mojej rodzinie wszyscy kończyli Harvard... oprócz ojca. On potwierdził swoją niezależność, odmawiając studiowania gdziekolwiek. W swoim czasie trochę wstrząsnęło to rodziną. W każdym razie w szkole stopnie miałam niczego sobie i zawsze nieźle wypadałam na testach na inteligencję, więc złożyłam papiery do Harvardu i się dostałam.

– Ciotka musiała być dumna.

– Dumna to przesada, ponieważ niczego innego się nie spodziewała. No i w taki właśnie sposób skończyłam na Harvardzie.

– Jeśli mogę spytać, dlaczego nie kierujesz działem personalnym w jakiejś międzynarodowej firmie?

Lucy roześmiała się.

– Trudno mi wyobrazić sobie coś nudniejszego. Lubię pomagać ludziom, a to mogę robić



prawie wszędzie. Po dyplomie postanowiłam najpierw trochę popodróżować, zobaczyć kawałek kraju i zastanowić się, co dalej. Miałam tylko tę ciocię babcię w Savannah, z którą nie byliśmy specjalnie blisko. Dowiedziałam się, że zmarła w czasie, kiedy mieszkałam w Portland. Nawet tego nie pamiętam.

– Och, tak mi przykro. To smutne. – Eden zebrała włosy opadające na ramiona i spięła je spinką. – Dziedziczyłaś po niej? Och, wybacz. To wścibstwo.

Lucy uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ skąd. Ona była wielką zwolenniczką zasady radzenia sobie w życiu. Zasiadała w zarządzie setek organizacji charytatywnych i zawsze mówiła, że im zapisze majątek. Ale mnie to nie wadzi. Potrafię zarobić na swoje utrzymanie. Robiłam w życiu mnóstwo rzeczy i spotkałam masę interesujących ludzi.

– A co cię kiedyś sprowadziło do Summer Harbor?

– Przejeżdżałam. Miałam zamiar spędzić tu tylko jedną noc, będąc w drodze do Lubec. Ale zatrzymałam się na kolację w „Przydrożnym Zajeździe”, zobaczyłam Zaca i wiedziałam, że nigdzie dalej nie jadę.

– Oho, piorunem ci to poszło – zauważyła Eden.

– Ano tak, droga pani – westchnęła Lucy. – Chemii było w bród.

– Teraz musi być ci ciężko mieszkać z nim pod jednym dachem. Chyba że chemia całkiem wyparowała, razem ze wspomnieniami.

– Ależ skąd. Nadal są jej całe wiadra. Tylko teraz jest gorzej, bo są też uczucia, a Zac otoczył swoje serce grubym murem. No cóż, pewnie zasłużyłam sobie.

– W ogóle nie pamiętasz, co się zdarzyło?

– Nie mam bladego pojęcia. Łamię sobie głowę. Wiesz, nie zależy mi, żeby przypomnieć sobie życie w Portland, a to dość przykre, bo przecież jest tam mężczyzna, który chciał się ze mną ożenić. Ale ja nie chcę go pamiętać. Chcę, żeby wszystko wróciło do tego, co było przed moim wyjazdem. I chcę naprawić relacje z Zakiem, a na to nie ma szans, jeśli nie znam powodu rozstania.

– A on jest otwarty na takie rozwiązanie?

Lucy roześmiała się niewesoło.

– Nie... ale liczę na to, że... No, w każdym razie ja tu zostaję, a on musi przyzwyczać się do tej myśli. – Zrobiła kilka nierównych wdechów. – Mówiłaś Beau, że razem biegamy?

– Uhm.

Lucy czekała na coś jeszcze, lecz ciszę przerywał tylko odgłos ich stóp uderzających o deski. Nie trzeba było mieć dyplomu z socjologii, żeby dodać dwa do dwóch.

Lucy roześmiała się niewesoło.

– No, to wszystko wiadomo.

Eden posłała jej zażenowany uśmiech.

– Znasz Beau. Bardzo troszczy się o braci. Jeden wyjechał w strefę działań wojennych, wyrывая się spod jego opiekuńczych skrzydeł, więc teraz skupił się na drugim. Zac Szczęściarz.

– Lucy Szczęściara. – Nie chciała myśleć o Beau i jego pretensjach. – Zac powiedział mi, że Riley wstąpił do piechoty morskiej. Czy często się z nim kontaktują?

– Tak, na Skypie i przez e-maile. Riley nie lubi odpisywać, więc głównie jest to Skypie. Beau bardzo nie chciał go puścić. W takich wypadkach po prostu trzeba zawierzyć Bogu. On ma wszystko pod kontrolą.

Lucy z podziwem pomyślała o sile wiary swojej nowej koleżanki. Dziewczyna nią promieniała. Jeśli chodzi o życie duchowe, Lucy nie miała się czym chwalić. Czasami wydawało jej się, że po prostu tylko mechanicznie wykonuje wymagane czynności.

– Łatwo mówić.

– Oczywiście. Bardzo staramy się panować nad tym, co się dzieje, a tymczasem to tylko złudzenie.

Ostatnio Lucy wcale nie miała wrażenia panowania nad życiem. I, szczerze mówiąc, bała się nawet myśli, że miałaby wszystko to oddać Bogu pod kontrolę.

Wzięła głęboki oddech, maksymalnie rozdymając płuca, po czym wypuściła powietrze.

– No, a jak to się stało, że jesteście z Beau razem?

– Wyobraź sobie, że ja też tylko przejeżdżałam. Zepsuło nam się auto i zostaliśmy okradzeni z pieniędzy. Oczywiście była zima, a my nie mieliśmy co jeść, gdzie zanoć, w ogóle nic. Tylko ubranie na grzbiecie i zepsuty samochód, na którego naprawę nie było mnie stać. Bardzo potrzebowałam pracy.

A Lucy wydawało się, że jest w trudnej sytuacji! Nic dziwnego, że Eden jej współczuła.

– No i co zrobiliście?

– Trzęsąc się z zimna, zdesperowana, stanęłam na progu jego domu z nadzieją na pracę na plantacji choinek. Beau z miejsca odmówił.

– Niemożliwe.

– Ależ tak. – Eden podniosła brew i kontynuowała: – Wobec tego włamałam się do jego szopy i się w niej rozgościłam.

Lucy parsknęła śmiechem.

– Niestety, znalazł nas. Choć może nie niestety, bo potem wszystko dobrze się potoczyło. Pani Trudy złamała akurat nogę i potrzebowała opiekunki, więc Beau zaproponował mi, żebym się nią zajęła.

Lucy skrzywiła się komicznie.

– I co, zgodziłaś się?

Eden roześmiała się – jej śmiech brzmiał jak dzwoneczki wietrzne.

– Wiesz, ktoś musiał to robić. Ale nikt inny nie miał noża na gardle, tak jak ja.

– Życie przymusza nas do podejmowania zdumiewających decyzji. A wracając do Beau... I wtedy między wami zaiskrzyło?

– To nie było takie proste. To znaczy, oczywiście, od razu mnie pociągał – znasz go, więc chyba się nie dziwisz. Ale próbowałam to zignorować. Zbyt wiele działało się w moim życiu, a on wtedy chodził z Paige. Po jakimś czasie z nią zerwał. Zaczęliśmy się sobie zwierzać i... wiesz, jak działa ten urok Callahanów. Wsysa człowieka z butami. No i zanim się zorientowałam, byłam zakochana po uszy.

Lucy westchnęła.

– Doskonale to rozumiem.

– Przepraszam. Nie chciałam cię dołować.

W mieście zwolniły nieco tempo. Przed nimi pojawiła się jakaś osoba uprawiająca jogging, w której Lucy rozpoznała Morgan LeBlanc i natychmiast zjeżyła się na jej widok. Dziewczyna nie ukrywała tego, że Zac wpadł jej w oko. Przychodziła do „Przydrożnego Zajazdu” i próbowała flirtować nawet po jego zaręczynach.

Jej krótki złocisty kucyk kiwał się na boki, a wokół urodziwej twarzy tańczyło kilka niesfornych kosmyków. Duże piersi podskakiwały przy każdym kroku. Sportowy biustonosz

rozmiaru B tym bardziej doskonale radził sobie z piersiami Lucy.

Kiedy się mijają, Morgan uśmiechnęła się tylko do Eden.

– Cześć, Eden.

– Cześć, Morgan.

Lucy tylko zacisnęła zęby na ten celowy afront.

– To Morgan LeBlanc – powiedziała Eden, kiedy tamta została z tyłu. – Jej tato jest właścicielem gazety „Harbor Tides”.

– Znam ją. Zawsze flirtowała z Zakiem.

– Och...

Coś w jej tonie głosu sprawiło, że Lucy odwróciła głowę. Eden wyraźnie unikała jej spojrzenia.

– Co to jest to, czego nie chcesz mi powiedzieć?

Eden wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się nieprzekonująco.

– Prawdę mówiąc, nic takiego.

Lucy spojrzała na nią wyczekująco. Nie popuści, póki nie dowie się, co takiego Eden chce ukryć.

W końcu jej nowa koleżanka odwróciła wzrok.

– Okej. Morgan i Zac ostatnio umówili się parę razy.

Lucy mocno zakłuło w piersi. Myśl o Zacu z inną kobietą była jak kołek wbity prosto w serce. A myśl o Zacu i Morgan wystarczyła, żeby Lucy zapragnęła skoczyć w morze. Z ciężarkami u stóp.

„Nie masz prawa do zazdrości, Lucy Lovett”. Czyż sama jeszcze przed tygodniem nie była zaręczona z innym mężczyzną? Może i tak, ale w ogóle tego nie pamiętała.

– Ostatnio to znaczy kiedy? – spytała.

– Ze dwa tygodnie temu, jak mi się wydaje. Jestem pewna, że to nic poważnego.

Morgan niewątpliwie była zachwycona, kiedy Lucy wyjechała z miasteczka. Ta kobieta przywodziła jej na myśl skradającego się lamparta, cichego i zręcznego, z długimi szponami, sprawnie radzącymi sobie ze zdobyczą. Wyobraziła sobie ramiona Morgan wokół Zaca i jej wargi przyciśnięte do jego szyi. Jakie to wygodne, że nie musiałyby nawet stawać na palce.

Lucy westchnęła ciężko.

– Czasami żałuję, że moja amnezja nie wyczyściła również z pamięci Zaca.

Eden zachichotała i ścisnęła Lucy za ramiona.

– Chodź, wpadniemy do „Obdartego Joe”. Przyda nam się solidny posiłek.

Po drodze do knajpki Lucy nie mogła otrząsnąć się z przygnębienia. Gotowała się ze złości na całą sytuację. Nie dość, że doznała urazu mózgu i straciła jedyne go mężczyznę, którego kiedykolwiek kochała. Nie dość, że całe miasteczko, nie tylko rodzina Zaca, obróciło się przeciwko niej w odwecie za coś, czego nie mogła sobie przypomnieć. To jeszcze nie miała pieniędzy, nie miała pracy, i, no tak, jej ukochany umawiał się z Morgan LeBlanc.

Kiedy po kilku minutach dziewczyny weszły do restauracji, w sali zapadła cisza. Idąc za kelnerką do stolika, Lucy czuła się pod obstrzałem spojrzeń. Jakaś starsza kobieta wychyliła się nawet, żeby zza ramienia przyjaciółki spojrzeć na Lucy. Lucy poczuła, że czerwieni się aż po korzonki włosów i gwałtownie rośnie jej ciśnienie.

„Dość tego”, powiedziała sobie. Kiedy dotarły do stolika w rogu, odwróciła się przodem do ludzi.

– Dobra, jest tak... – odezwała się na głos. Teraz już wszyscy na nią patrzyli, ale wściekłość

przemogła skrępowanie, jakie by czuła w innych warunkach. – Tak, zgadza się, w zeszłym roku uciekłam od Zaca Callahana na tydzień przed ślubem; tak, wiem, że to okropne; tak, mam amnezję. Nie, nie pamiętam tego, jak go rzuciłam. Aha, i jeszcze jedno: tak, nadal go kocham, ale nie martwcie się, on mi już drugi raz nie zaufa po tym, co zrobiłam, choć w ogóle nie pamiętam, że to zrobiłam. Wystarczy?

Rozejrzała się wokoło, śmiało patrząc w oczy zbulwersowanym klientom. Skinęła głową i powiedziała:

– To dobrze.

Z rozognionymi policzkami i sercem bijącym w szalonym tempie opadła na krzesło naprzeciw Eden. Drżącymi rękoma otworzyła menu.

Powoli zaczynał wzrastać gwar rozmów i brzęk sztućców. Co za różnica, czy plotkują na jej temat? Przynajmniej wiedzą, jakie są fakty.

Eden opuściła kartę dań i zerknęła sponad niej na towarzyszkę.

– Nie wierzę, że to zrobiłaś – szepnęła, patrząc na nią roziskrzonym wzrokiem. – To było absolutnie wspaniałe!

## Rozdział 14

**W** „Przydrożnym Zajeździe” sobotnie poranki zawsze były spokojne. Za to w piątek wieczorem aż kipiało. Telewizor ryczał na cały regulator, nadając mecz Red Soxów, w sali obok grano w bilard, a w tle brzdąkała szafa grająca.

Lucy nadtłukła skorupkę i wbiła następne jajko na masło roztopione na patelni. Zac już wstał i kręcił się po mieszkaniu; słyszała wodę lejącą się z prysznicza, a potem kroki nad głową. Unikał jej. Lucy musi coś z tym zrobić, i to szybko. Najwyraźniej żałował, że ją tu przywiózł. Nie uda jej się wkupić w jego łaski śniadaniami.

Wczoraj poszła do miejscowego lekarza. Oznajmił, że już jest zdrowa, ale nie mógł zapewnić, że kiedykolwiek odzyska pamięć. No i dobrze. Wcale nie była pewna, czy jeszcze tego chce.

Akurat zsuwała jajka na talerze obok tostów, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny. Czy ma go odebrać, czy poczekać, żeby włączyła się poczta głosowa? Po kolejnych trzech dzwonekach podniosła słuchawkę w kuchni i już miała się odezwać, ale w tym momencie usłyszała głos Zaca.

– Cześć, Zac. Tu Marci.

– Cześć, Marci. Jak się czujesz?

– Niezbyt dobrze. Mam złe wieści. Wczoraj byłem u lekarza. Powiedział, że mam mononukleozę.

– O rety.

– No właśnie. Nie mogę przyjść do pracy, póki całkiem nie minie. Bardzo mi przykro.

Lucy ugryzło sumienie i cichutko odłożyła słuchawkę. Biedna Marci. Lucy zapadła na mononukleozę na wakacjach, gdy miała dziewiętnaście lat. Chorowała dwa miesiące.

Dwa miesiące.

Zacowi może brakować kelnerki. Nie będzie w stanie tak długo zastępować Marci. To znaczy, że będzie musiał znaleźć kogoś na ten czas. Lucy poczuła podniecenie. Akurat coś, co pozwoli jej związać koniec z końcem, póki nie znajdzie stałej pracy.

Zaniosła talerze do sali od frontu, gdzie Zac kończył rozmowę. Położyła je na barze i usiadła naprzeciw Zaca.

– Trzymaj się, Marci. W porządku. Cześć. – Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się wymuszenie. – Dzień dobry.

– Dzień dobry. Usmażyłam ci jajka.

– Dziękuję. Wezmę śniadanie na górę i zjem do gazety.

– Zac – zatrzymała go, kiedy już zaczął wychodzić – możemy chwilę porozmawiać?

Odwrócił się sztywno, z niechęcią, i położył talerz, ale nawet nie usiadł.

– Co się dzieje?

– Wiesz, że szukam pracy. Nie miałam szczęścia. Chwilowo chyba nic nie ma na rynku.

– Może powinnaś...

– Myślałam, że może przydałaby ci się moja pomoc w restauracji.

Odmowę widziała w jego oczach, zanim jeszcze otworzył usta.

– Nie mam wolnych etatów, Lucy. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyś...  
– Wiem o Marci – wyrzuciła z siebie, niewiele myśląc. – Słyszałam, jak mówiła o tym przez telefon.

Oczy Zaca zmieniły się i zrobiły stalowoszare. Usta zacisnęły się, lewa powieka drgnęła nerwowo.

– Podśluchiwałaś moją rozmowę?

– Nie miałam zamiaru podsłuchiwać, słowo honoru. Odebrałam telefon, ale ty byłeś pierwszy.

– To dlaczego nie odłożyłaś słuchawki?

Ugryzło ją sumienie. Wtargnęła do jego domu, do jego życia.

– Przepraszam.

– Nic to nie da. – Wziął talerz i wyszedł na korytarz.

Lucy poszła za nim, czerwona ze wstydu.

– Wiem. Wiem, że nie chcesz mnie już widzieć, ale nie będę w stanie wynająć mieszkania, jeśli nie będę pracować, a skoro nie mogę nic znaleźć, to może mogłabym zastąpić Marci? Zanim wróci, znajdę sobie jakąś pracę, ale im szybciej zacznę zarabiać, tym szybciej się mnie pozbędziesz.

Zac zatrzymał się przed samymi schodami, odwrócił się i spojrzał na nią z wysokości swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu.

Lucy zorientowała się, że stoi bliżej, niż jej się wydawało, że ingeruje w jego przestrzeń osobistą. Cofnęła się o krok, wspominając czasy, kiedy Zac by ją przyciągnął do siebie.



Zac spojrzał na twarz Lucy. W oczach miała błaganie. Cofnęła się o krok. Bóg świadkiem, że dawniej gotów był jej nieba przychylić. Jedno spojrzenie, jeden dotyk – i mogła być pewna, że jej życzenie zostanie spełnione.

Ale już nie. Już jej nie wierzył. I na pewno nie chciał zostać znowu wciągnięty w wir jej miłości.

– Lucy, to nie ma sensu. W każdej chwili możesz odzyskać pamięć i postanowisz wracać do Portland.

– Albo nigdy nie odzyskam pamięci, a my moglibyśmy wrócić do tego punktu, w którym dawniej byliśmy – wyrwało jej się. I raptem otworzyła szeroko oczy, przyłożyła palce do ust i zaczerwieniła się aż po korzonki włosów.

Jej słowa podkreśliły jego pragnienie. Kusiły go jak wspinały letni dzień w czasie przerwy na lunch. Mógł ją ignorować, mógł jej unikać, mógł chować głowę w piasek. Co wcale nie zmieniało faktu, że pragnął jej bardziej niż powietrza.

„Weź się w garść, Callahan. Lucy cię rzuciła”. Może tego nie pamięta, może żałuje, ale to nic nie zmienia.

– To się nigdy nie stanie, Lucy – powiedział łagodniej.

– Wcale nie chciałam tego mówić.

Co za ironia losu. Miał to, czego pragnął, odkąd go zostawiła: Lucy znowu pojawiła się w jego życiu, zakochana i pragnąca być z nim na zawsze. Ale to nie miało znaczenia, ponieważ wszystko weźmie w łeb, kiedy odzyska pamięć.

Lucy odchrząknęła i odezwała się:

– Pracowałam kiedyś jako kelnerka. Mam doświadczenie. Nie musiałbyś mnie szkolić.

Kiedyś wspomniała mu o tym, że pracowała w restauracjach w Bostonie i Nantucket. Zac nie wątpił, że dzięki znakomitej pamięci doskonale sobie radziła. Ale zdarzało jej się tłuc naczynia.

– Wiem, co sobie myślisz. Ale poprawiłam się.

– Wywalili cię.

Zadarła zadziornie brodę.

– Przeprowadzali cięcia personelu.

Pokręcił głową.

Spojrzała błagalnie.

– Będę twoją najlepszą kelnerką.

– Nic z tego, Lucy.

– Ależ, Zac, zrozum. Ja potrzebuję pracy, a ty chcesz się mnie pozbyć. To najszybsze rozwiązanie, jakie przychodzi mi na myśl.

– Powinnaś wrócić do Portland.

– W środek medialnego cyrku? Żeby mieli ubaw z mojej amnezji?

Zac położył sobie dłoń na karku.

– Lucy, muszę mieć trochę oddechu. Nie możesz po prostu wrócić tu, mieszkać ze mną i jeszcze cały dzień kręcić się po restauracji.

Po jej spojrzeniu poznał, że ją uraził. Lucy podniosła głowę do góry i odparła:

– No cóż, bez pracy nie mogę się stąd wyprowadzić.

– Masz bardzo dobrą posadę w Portland.

– Już nie mam. Gdybyś przyjął mnie na czas nieobecności Marci, naskładałabym sobie dość pieniędzy, żeby wpłacić kaucję za mieszkanie.

Odwrócił się na pięcie i zaczął chodzić tam i z powrotem. Nie chciał znowu widzieć jej błagalnego wzroku. Nie chciał się czuć, jakby ją zawodził. Nieważne, co kiedyś uczyniła, teraz jest w trudnej sytuacji. Bał się, że wpadnie w ręce jakiegoś manipulatora, eksnarzeczonego czy kogoś innego, kto nie będzie kierował się jej dobrem.

A poza tym nie było nikogo, kto mógłby zastąpić Marci. Rozpoczął się sezon turystyczny. Znalezienie i wyszkolenie kelnerki wymaga czasu, którego nie ma.

Co by mu radził ojciec? Pewnie pozbyć się Lucy z pokoju gościnnego.

Im szybciej, tym lepiej.

Ale nie da się tego zrobić, jeśli dziewczyna nie znajdzie pracy – a to akurat jest jedyne dostępne miejsce. Jeśli będzie pracowała, on wcale nie musi mieć jej stale przed oczyma. Oboje będą zajęci, otoczeni mnóstwem ludzi. To plus tej sytuacji.

Sam nie mógł uwierzyć, że wbrew wszystkiemu bierze pod uwagę zatrudnienie Lucy. Pokręcił głową.

– Zac, błagam cię! Ja potrzebuję pracy, a ty kelnerki. Nie pożałujesz. Daję słowo.

Czyta mu w myślach. To się nie zmieniło. Beau wpadnie w szal. Ale od kiedy to, co myśli Beau, było w stanie powstrzymać Zaca od robienia tego, na co ma ochotę?

Zac stanął naprzeciw Lucy i spojrzał na nią badawczo. Szukał w jej oczach choćby śladu wymówki, żeby ze spokojnym sumieniem odmówić – czegokolwiek, co by sugerowało, że nim manipuluje. Ale znalazł tylko szczerą nadzieję.

Westchnął ciężko. Dobrze. Niech tam.

– Tylko do powrotu Marci – burknął.

Oczy jej się zaświeciły, kąciki ust powędrowały ku górze.

- Oddam jej fartuch, kiedy tylko Marci ponownie stanie w drzwiach.
- Pracujesz dziś od piątej do zamknięcia.
- Oczywiście.
- Musisz się zapoznać z menu i cenami. Trochę się zmieniło.
- Nauczę się na pamięć. – Rzuciła mu się na szyję, nie zważając na dzielący ich bar. –

Dzięki, Zac!

Wewnętrznie nastawił się przeciw jej gorącym ramionom, przeciw ponętnemu jabłkowemu zapachowi, zabraniając sobie choćby myśleć o tym, żeby ją objąć i przytulić.

- Nie pożałujesz – powiedziała, odsuwając się i spoglądając na niego z radością w oczach. Niestety, on już tego żałował.



## Rozdział 15

**W** „Przydrożnym Zajeździe” było rojno. Lucy biegała między stolikami a kuchnią. Gwar rozmów mieszał się z rykiem telewizora, w którym leciał mecz Red Soxów. Przy stołach bilardowych, nieustannie okupowanych, rozgrywano burzliwe zawody, w powietrzu unosił się zapach pikantnych skrzydełek.

O ósmej Lucy nie czuła już nóg i źle widziała na jedno oko. Zapomniała już, że kelnerowanie jest tak wyczerpujące. Niemniej gotowa była dowieść Zacowi, że idzie jej znakomicie.

Ludzie z miasteczka odnosili się do niej raczej z rezerwą, lecz ona i tak nie miała czasu na pogaduszki. Napełniała kieliszki, przyjmowała zamówienia i nieustannie miała na twarzy przyklejony uśmiech, tak że policzki zaczęły ją już boleć.

Zauważywszy, że stolik numer 23 został zajęty, wsunęła pustą tacę pod ramię i poszła przyjmując zamówienie. Zaraz jednak poznała osoby, które się tam ulokowały, i to przyhamowało jej kroki.

Przy przejściu siedział Beau, koło niego Eden, a naprzeciw ciotka Trudy, z okularami na nosie przeglądająca kartę dań.

Lucy podeszła z wymuszonym uśmiechem.

– Dobry wieczór.

Przerwawszy konwersację z narzeczoną, Beau podniósł wzrok. Wystarczyło jedno spojrzenie na fartuch kelnerski, aby uśmiech zszedł mu z twarzy.

– To chyba żarty.

Eden kuksnęła ją w brzuch:

– O, cześć, Lucy. Znalazłaś pracę. To świetnie, prawda, Beau?

– Fantastycznie – wycedził Beau, z uwagą przeglądając menu, które z pewnością znał na pamięć.

– Tylko tymczasowo – wyjaśniła Lucy, patrząc na jedyną przyjazną twarz przy stoliku. – Zastępuję Marci.

Pani Trudy skrzywiła się, jakby zjadła wyjątkowo kwaśną cytrynę, i zmierzyła Lucy niechętnym spojrzeniem zza okularów. Ciotka Zaca była kobietą około sześćdziesiątki, z pociągłą twarzą okoloną krótkimi siwymi włosami i błękitnymi oczyma spoglądającymi spod zmarszczonych teraz brwi.

– Dzień dobry, pani Trudy – odezwała się Lucy. – Cieszę się, że znowu panią widzę. Co mogę przynieść wam do picia? – spytała szybko, nie dając starszej kobiecie okazji do użycia swojego ciętego języka.

Lucy przyjęła zamówienie i idąc do baru zatrzymała się koło szeryfa Coltona, żeby zabrać pusty talerz. Podliczyła rachunek, dając zniżkę, bo po pierwsze szeryf był w mundurze, a po drugie raczył z nią w ogóle rozmawiać. Następnie, po drodze zostawiając mu rachunek na stoliku, zanosła Callahanom napoje i zaczęła zbierać zamówienie na obiad, ciesząc się, że dzięki dobrej pamięci nie musi nic zapisywać.

Zanim skończyła, do stolika Callahanów podszedł szeryf. Przy swoich dwóch metrach wzrostu górował nad nią – i nad każdym innym.

Światło żyrandoli odbijało się od jego gładko ogolonej głowy i pogłębiało ognistą czerwień wąsów. Jak na mężczyznę zbliżającego się do sześćdziesiątki był w dobrej kondycji. Swojego czasu grał w drużynie Celtics i jego kariera, choć krótkotrwała ze względu na kontuzję kolana, zapewniła mu jednak lokalną sławę.

– Hej, Beau, Eden, jak się macie? – pozdrowił ich Colton, włożył kapelusz i skinął głową ciotce. – A ty, Trudy?

Starsza kobieta tylko skinęła głową, nagle zafascynowana meczem bejsbolowym na ekranie telewizora.

– Witaj, szeryfie – odparł Beau. – Siadaj. Obejrzyj z nami do końca mecz.

– No... – Colton spojrział na wolne siedzenie obok pani Trudy – jeśli to nie kłopot.

Starsza pani ostentacyjnie zmarszczyła brwi i przysunęła się do ściany, robiąc miejsce na ławie.

– Jeszcze jeden Dr Pepper? – spytała Lucy szeryfa.

– Chętnie, dziękuję.

W kuchni buczało jak w ulu, kiedy przekazała zamówienie, a przed drzwiami stała kolejka ludzi czekających na stolik wewnątrz. Zac ścierał mopem rozlany płyn na tarasie, gdzie kilka osób odważnie stawiało czoła chłodowi wieczoru.

Po chwili Lucy z uśmiechem ruszyła do świeżo zajętego stolika we wnęce i ku swojej konsternacji odkryła, że siedzi tam Morgan LeBlanc z koleżanką.

Ścisnęło ją w żołądku. Że też akurat muszą siedzieć w jej sekcji. Przyjęła napiwek od klientów i zmusiła mięśnie do uśmiechu.

– Heeej.

Przez twarz Morgan przetoczyło się niezadowolenie jak letnia mgła przez przystań.

– Wiesz, że to słowo ma tylko jedną sylabę, prawda? – Przyjrzała się fartuchowi Lucy, a potem powoli przeniosła wzrok na jej twarz. – Jesteś kelnerką. Jakie to... urocze.

Lucy podniosła głowę i nie zmieniając wyrazu twarzy, rzekła:

– Co mogę powiedzieć? Zac potrzebował mojej pomocy.

Morgan przechyliła głowę na ramię i z namysłem zmrużyła oczy.

– Zastanawiam się właśnie, po jakim czasie tym razem go rzucisz.

Jej koleżanka prychnęła, zasłaniając twarz wymanikiowaną dłonią.

Lucy ugryzła się w język. Mocno. Po czym przywołała uśmiech na twarz.

– Przynieść coś do picia?

– Możemy już złożyć całe zamówienie – odparła Morgan. – Dla mnie zestaw sałatka z kanapką. Do sałatki więcej pomidorów, bez grzanek i z octem balsamicznym. Kanapka... nie powinnaś tego zapisać?

– Będę pamiętać.

Morgan spojrzała na nią szyderczo.

– Grillowana kanapka z chleba razowego z tuńczykiem, dodatkową porcją pomidorów i bez majonezu.

Przyjaciółka Morgan zamknęła kartę i obrzuciwszy Lucy protekcyjnym spojrzeniem, powiedziała:

– A dla mnie łosoś z grilla z sałatką. Sałatka bez pomidorów, z podwójną porcją grzanek. I do tego czosnkowy sos na maślanec.

– W tym zestawie są dwa dodatki.

– A co mam do wyboru?

– Frytki, krążki cebulowe w cieście, pieczony ziemniak, gniecione ziemniaki, brokuły, szparagi albo surówka coleslaw.

– To dla mnie pieczony ziemniak. Z kwaśną śmietaną, ale bez masła.

Ostatni raz rzucając im wymuszony uśmiech, Lucy odeszła przekazać zamówienie do kuchni i spytać gości przy swoich stolikach, czy jeszcze czegoś nie zamawiają. Kilka minut spędziła przy Callahanach, donosząc napoje i starając się rozruszać Beau. Pani Trudy, oczywiście, siedziała z marsmem na czole.

Lucy przyjęła następne zamówienie, pomogła sprzątnąć z jednego stolika, przyniosła kilka rachunków, doprawiła sałatki i zaniósła je na stolik Morgan.

Morgan spojrzała na swoją krytycznie.

– Czyżby był nieurodzaj na pomidory?

Lucy zmusiła się do uśmiechu.

– Doniosę. Coś jeszcze?

– Twoje zamówienie, Lucy – zawołał ktoś z kuchni.

Po chwili Lucy przyniosła dodatkową porcję pomidorów, po czym wróciła do kuchni. Kiedy główne dania na stolik Morgan były gotowe, postawiła przed klientkami. Ku jej uldze kompletnie ją zignorowały. Lecz kilka minut później Morgan przywołała ją ruchem ręki.

– Chleb jest nieświeży. A gdzie majonez? – Odsunęła talerze. – Naprawdę jesteś tak tępa? – spytała, naśladując południowy akcent Lucy.

Lucy z trudem powstrzymała się, żeby nie dać jej po twarzy.

– Chleb jest dzisiejszy i kanapka jest z majonezem.

– Czy chcesz powiedzieć, że nie mam racji? – zdziwiła się Morgan, unosząc wyregulowane brwi.

– Powiedziałam, że się mylisz.

Przyjaciółka również odsunęła od siebie talerz.

– Do tego ziemniaka dodano masła. – Skrzywiła się. – Nie jadam masła.

Lucy zazgrzytała zębami.

– Jest tylko kwaśna śmietana, tak jak było w zamówieniu.

– Coś nie tak? – rozległ się nagle głos Zaca zza pleców kelnerki. Dziewczyny poczuły się nagle skrępowane.

Morgan uśmiechnęła się słodko i rzekła:

– Och, Zac, wszystko w porządku. Tylko drobne nieporozumienie w kwestii naszych zamówień. Lucy robi co może, ale wiesz, po tym urazie głowy i w ogóle na pewno jeszcze nieraz będzie się mylić. – Rzuciła Lucy spojrzenie pełne politowania.

– Przepraszam – powiedział Zac, zabierając talerze. – Lucy, możesz się tym zająć?

– Ależ, Zac, nie ma sprawy, to drobiazg – zaprotestowała Morgan tak słodkim głosikiem, że mógłby osłodzić dwa dzbany herbaty.

– Nie żartuj, zaraz to załatwimy. – Złapał talerz Morgan i podał go Lucy. – Prawda, Lucy?

Poczuła, że na jej twarz wypływa rumieniec.

– Naturalnie.

## Rozdział 16

**Z**ac usiadł za biurkiem i otworzył Skype'a. Za kilka minut miał zadzwonić Riley. Po lunchu w restauracji zrobiło się pustawo, a w Afganistanie był właśnie późny wieczór, więc akurat dobra pora na to, żeby pogadać z bratem.

Po kilku minutach na ekranie pojawił się Riley w mundurze polowym.

Zac cały czas nie mógł przyzwycząić się do jego króciutko ściętych włosów ani do mocno zarysowanej szczęki. Kiedy ten berbecz zdążył dorosnąć?

– Cześć, braciszku – powiedział Zac.

Zac uśmiechnął się asymetrycznie.

– Cześć, Zac. Jak leci?

– Nieźle. Za to ty wyglądasz na zmęczonego.

– Cały czas coś. Ale dobrze mi idzie. A co słyhać w mieście? Twoja knajpa prosperuje?

– Tak, wszystko po dawnemu. Wczoraj wieczorem wpadli Beau z Eden i ciotką Trudy. Szeryf podszedł, żeby poplirtować. To zawsze jakaś rozrywka.

– Biedny facet. Czy on kiedyś zrobi decydujący krok?

Zac uśmiechnął się.

– No, na pewno nie, póki ciotka nie przestanie go zniechęcać.

– Mogłaby trafić gorzej.

– Oczywiście.

– W zeszłym tygodniu rozmawiałem z rodziną. – Brat przejechał dłonią po głowie. – Doszły mnie słuchy, że chodzisz z Morgan LeBlanc. To prawda?

Zac wzruszył ramionami.

– Kilka randek. Nic poważnego. – Miał nadzieję, że zaiskrzy, ale na razie czuł się przy niej zimny jak lutowy ranek. Powinien poczekać, dać sobie i jej szansę. Tylko że teraz Lucy nieco pochłaniała jego uwagę.

– Trudno uwierzyć, że za tydzień będzie czwarty lipca – westchnął Zac, żeby zmienić temat.

– Coś takiego. Tutaj kompletnie tracę poczucie czasu. Musimy się umówić na rozmowę, zanim zaczniecie się napychać hot dogami i kotletami z grilla. O rety, ślinka mi leci na samą myśl.

– Zjem jednego za ciebie.

– Zjedz dwa. Ja jestem skazany na wojskowy kocioł.

– No, ale wygląda na to, że nabierasz na nim ciała. Niedługo ramiona będą wystawały ci za ekran.

– Jak teraz wrócę, nie będziesz miał ze mną szans. Co nie znaczy, że przed moim wyjazdem miałeś.

– Dobrze pomarzyć, berbeciu. – Zachichotał Zac, doskonale wiedząc, że brat ma pewnie rację.

– No tak... – powiedział Riley. – A jak się ma Paige? Ostatnio nie miałem od niej wiadomości.

Obojętny ton głosu nie zwiódł Zaca. Riley i Paige przez wiele lat się przyjaźnili. Po jakimś

czasie uczucia Riley'a się zmieniły, ale zanim zebrał się, żeby coś z tym zrobić, Paige wpadła w oko Beau. A potem było coraz gorzej, bo Beau i Paige oficjalnie zaczęli stanowić parę. Riley, nie wiedząc, jak sobie z tym poradzić, wstąpił do piechoty morskiej. Nikt poza Zakiem nie miał pojęcia o jego prawdziwych uczuciach. A właściwie nikt poza Zakiem i Eden.

– U niej wszystko w porządku. Myślałem, że e-mailuje do ciebie.

– E-mailuje. Ostatni raz tydzień temu.

– Może byłoby dobrze jej czasem odpowiedzieć?

– Porozmawiam z nią czwartego na Skypie.

Zac miał pokusę ugryźć się w język, ale doszedł do wniosku, że życie jest za krótkie.

– Może powinieneś jej coś powiedzieć.

– Na przykład co?

– Chyba nie muszę ci podpowiadać.

– Na przykład: wiesz, staruszek, zakochałem się w tobie, wiem, że ty we mnie nie, ale może poczekaś na mnie, póki moja służba się nie skończy? Czy to masz na myśli?

– W nieco mniej bezpośredniej formie, ale w zasadzie tak.

Riley opuścił powieki i pod oczami pojawił się cień rzucany przez rzęsy.

– Mam tu dużo czasu na myślenie. Dużo chwil, kiedy... – Podniósł wzrok i spojrzał na Zaca.

– Rozumiesz, nie chcę niczego żałować, ale to nie jest coś, czym mogę ją obarczyć, kiedy dzieli nas sześć tysięcy mil. Może porozmawiam z nią, gdy przyjadę do domu. Poproszę, żeby dała mi szansę na to, abyśmy byli czymś więcej niż przyjaciółmi. Jeszcze nie wiem. Ale modlę się w tej intencji.

Zac doskonale wiedział, że okazje rozplývają się szybciej niż dym na wietrze.

– A po co czekać? Dlaczego nie powiesz jej tego teraz?

– Bo to nie w porządku. Dowie się, co ja czuję, i będzie czuła się winna, że nie odwzajemnia uczuć. I tak wystarczająco się o mnie martwi.

– Mówiłeś, że nie chcesz niczego żałować. A jeśli będziesz żałować tego czekania?

Riley nagle zeszywniał. Zaciśnął usta w wąską linię, oczami starał się przebić ekran.

– Paige widuje kogoś? Czy to chcesz powiedzieć?

– Nie, nie mam pojęcia, czy się z kimś spotyka.

Riley odetchnął z ulgą, przestał siedzieć napięty jak struna.

– To dobrze. Wolałbym nie być zmuszony do skopania komuś tyłka od razu, jak tylko wyląduję.

Zac uśmiechnął się pod nosem.

– Gdyby co, chętnie ci pomogę.

– Czy Paige... myślisz, że już przestała jej zależeć na Beau? Twierdzi, że przestała, ale nie wiem, czy nie mówi tego, co ja chcę usłyszeć, żebym się o nią nie martwił.

– Myślę, że tak. Częściej przychodzi do nas i wygląda, jakby nie miała nic przeciwko Eden. Oni nie byli dla siebie stworzeni, braciszku. Myślę, że ona też doszła do tego wniosku.

– Mam taką nadzieję...

Rozległo się pukanie i otworzyły się drzwi.

– Zac, wiesz, gdzie... – spytała Lucy, stając w progu. – Och, przepraszam. Nie przeszkadzam?

Zac z trudem powstrzymał się przed opuszczeniem ekranu na klawiaturę. Przecież Riley i tak jej nie zobaczy, bo laptop zwrócony jest w drugą stronę.

– Nie, rozmawiam tylko na Skypie z Rileyem. Za parę minut kończę.

– Nie spiesz się. – Zamknęła drzwi, a Zac powrócił spojrzeniem na ekran.

Riley siedział pochylony, z niedowierzaniem wpatrując się w Zaca.

– Kto to był? Czy to... czy to nie Lucy?

„O cholera!” No cóż, ma szczęście, że tak długo udało mu się utrzymać to w tajemnicy przed bratem. W końcu całe Summer Harbor już wie, że Lucy wróciła.

– Tak, to ona! – odpowiedział sobie Riley. – Zwariowałeś, Zac? Co ona tam robi?

– To nie to, co myślisz. Nie jesteśmy ze sobą. Lucy ma amnezję. Uderzyła się w głowę i straciła siedem miesięcy życia. Nie pamięta wyjazdu z Summer Harbor ani przyjazdu do Portland, bo tam się przeniosła.

– Co takiego? A kiedy to się stało?

– Trochę więcej niż tydzień temu.

– I ty się w to zaangażowałeś, bo...

– Zadzwoiła do mnie. Nie ma nikogo innego. Była zdezorientowana... oszołomiona i w ogóle. Pojechałem po nią i ją tu przywiozłem.

– I nikomu nie przyszło do głowy, żeby mi o tym wspomnieć?

– Nie chcieliśmy cię martwić.

Riley przewrócił oczyma i gwałtownie odchylił się na oparcie krzesła.

– Wolałbym, żebyście nie cenzurowali wiadomości. Potrafię sobie radzić z wyzwaniem rzeczywistości.

– A ty to nie cenzurujesz wiadomości dla nas? – Riley bardzo niewiele mówił na temat tego, co się dzieje w jego świecie.

– To co innego. Jest jeszcze coś, co przede mną ukrywacie?

Zac westchnął. Może lepiej wszystko za jednym razem.

– Lucy mieszka tutaj, w twoim dawnym pokoju, i tymczasowo pracuje jako kelnerka.

– Co takiego?! – wyrzucił z siebie Riley, pochylając się do przodu.

– I w Portland zaręczyła się z jakimś facetem. Kiedy uderzyła się w głowę, uciekała z własnego ślubu.

Riley roześmiał się sarkastycznie.

– No pewnie, to do niej podobne. – Pokręcił głową.

Zac poczuł, że robi mu się gorąco na karku. Szyderczy śmiech brata przeszywał go na wylot. Słuchając tego, co sam mówi, czuł się jak ostatni głupiec. A reakcja Riley'a wcale go nie pocieszyła.

– Odczep się. W ogóle nie widzę, żeby tobie wiodło się lepiej.

Riley umilkł i przesunął dłońmi po twarzy.

– Taaa... No cóż, masz rację. Ale, chłopie, wiesz, że sam się prosisz o kłopoty.

Wydaje się, że Lucy równa się kłopoty. Przynajmniej jeśli o niego chodzi.

– To rozwiązanie tymczasowe. Znajdzie inną pracę i się stąd wyprowadzi. – Zac nie dodał, że nie zamierzała się wyprowadzić dalej niż do najbliższego bloku.

Może nadal zamykał oczy na rzeczywistość.

## Rozdział 17

**L**ucy przekazała zamówienie do kuchni i włożyła garść słomek do kieszeni fartucha kelnerskiego. Piątkowe wieczory w „Przydrożnym Zajeździe” zawsze były gorączkowe. Nowa zastępczyni dyrektora, Susan, miała akurat zmianę i restauracja działała jak dobrze naoliwiona maszyna.

Kiedy jeszcze byli razem, Lucy namawiała Zaca, żeby zatrudnił kogoś jako swojego zastępcę. Pracując przez sześć dni w tygodniu, nigdy na nic nie miał czasu. Twierdził wtedy, że go na to nie stać. Najwyraźniej od czasu, jak przeniosła się do Portland, musiało się to zmienić.

Widząc, że następny stolik został zajęty, Lucy poderwała się, żeby przyjąć zamówienie. Zaraz jednak poznała włosy w kolorze złoty blond, szczupłe ramiona, piękny klasyczny profil – i straciła humor.

„Znowu!”

W końcu byli inni kelnerzy i inne miejsca na sali. Czego ta kobieta się jej uczepliła? Robi to specjalnie, żeby jej dokopać? Lucy wzięła głęboki oddech, wsunęła tacę pod ramię i podeszła do stolika.

Jasne włosy Morgan opadały jej na ramiona w lokach jak sprężynki, a makijaż był bez zarzutu. Miała na sobie krótką czarną sukienkę odsłaniającą duży fragment jej długich nóg. Maciupki biały sweterek, który włożyła na wierzch, nie do końca utajniał rowek między piersiami.

„Nie można o niej powiedzieć, że się przesadnie wystroiła”.

Lucy uśmiechnęła się z przymusem.

– Przynieść coś do picia?

Morgan przesunęła wzrokiem po niegustowej bluzce i kelnerskim fartuchu. Lucy z trudem zapanowała nad sobą, żeby nie zakryć dłonią plamy z keczupu na biodrze.

– Czekam na Zaca. Za chwilę tu zejdzie.

Lucy poczuła szpilę przeszywającą serce.

– Wobec tego wróć, jak się pojawi.

Morgan zarzuciła włosy za ramię.

– Ależ my tu nie zostaniemy. – Wyciągnęła puderniczkę i sprawdziła, czy nie rozmazała jej się szminka. – Zac zabiera mnie do „Ostrygi”.

Lucy drgnęła z bólu. To tam Zac zaprosił ją na pierwszą randkę. A po wspólnej kolacji po raz pierwszy ją pocałował.

– Musiałś chyba słyszeć o tym bistro. – Morgan zatrasnęła puderniczkę. – Mieści się w hotelu „Tourmaline” na Folly Shoals. Można się tam dostać tylko promem. Mam nadzieję, że zdążymy wrócić przed ostatnim kursem. – Podniosła brew. – Bo jeśli nie... No cóż, na pewno znajdziemy sobie jakieś zajęcie.

– Morgan.

Na dźwięk tego niskiego głosu Lucy odwróciła się odruchowo i przycisnęła tacę do piersi.

– Dostałeś mój esemes? – spytała Morgan aksamitnym głosem.

– Dostałem... – Zac przeniósł spojrzenie z Lucy na Morgan i z powrotem. – Miałem po ciebie

podjechać.

– Pojechałam z ojcem coś załatwić w tej okolicy, więc mnie tu wysadził – odparła Morgan, wstając. W butach na szpilkach mogła spoglądać na Lucy z góry. No i dzięki nim niemal doganiała wzrostem Zaca. Nie będzie musiał się schylać, żeby pocałować ją na dobranoc. Przelotnie spojrzeli sobie w oczy i Lucy poczuła się zdradzona. Niemal zatoczyła się, jakby dostała cios w żołądek.

Odwróciła wzrok.

– Muszę... muszę zebrać zamówienia. – Szybko oddaliła się na trzęsących się nogach, czując na plecach wzrok Zaca.



To był najdłuższy wieczór w życiu Lucy.

Dziewczyna odrzuciła kódrę na bok, przewróciła się na plecy i utkwiała wzrok w ciemnym suficie. Nawet piątkowy młyn w restauracji nie był w stanie pochłonąć jej myśli na tyle, żeby przestać zastanawiać się, co też mogą porabiać Zac i Morgan. Czy już dotarli do bistro „Ostryga”? Czy siedzą w zacisznym kąciku na patio pod migocącymi białymi lampkami? Czy on pod stołem trzyma ją za rękę? Czy podziwia, jak w świetle świec zielonkawo błyszczą jej oczy?

Po raz setny spojrzała na zegar. Do tej pory powinien wrócić. Ostatni prom przybija o dziesiątej, a jest już prawie jedenasta. Czy teraz całuje Morgan pod drzwiami jej domu? A może siedzą w samochodzie? A może dziewczyna zaprosiła go do siebie?

Na samą tę myśl Lucy jęknęła i zamknęła oczy. Nie ma przecież żadnych praw do Zaca, który może do woli randkować z Morgan, migdalić się z nią w aucie, a nawet...

Nie, stop wyobrażeniom.

Musi położyć temu kres. Torturowanie się myślami nic nie da. On już nie jest jej. Szkoda, że nie można cofnąć czasu i zacząć od początku. Pamiętała ten wieczór, kiedy ją pierwszy raz zaprosił, jakby to było wczoraj.

Zaledwie przed tygodniem pierwszy raz ujrzała Zaca stojącego za barem i rozmawiającego z jakimiś mężczyznami, ale miała wrażenie, jakby to od tego czasu minął najmniej miesiąc. W tym czasie znalazła pracę w biurze informacji turystycznej i wynajęła ładne mieszkanie niedaleko centrum.

Tego wieczoru, a był to poniedziałek, „Przydrożny Zajazd” świecił pustkami. Lucy rozejrzała się po restauracji. Zac znowu stał za barem i rozmawiał z kilkoma klientami. Miał koszulę w szkocką kratę i podwinięte rękawy. I, podobnie jak poprzednio, cień zarostu. Zaciekawilo ją, czy jest świadom swojej atrakcyjności. Ruszyła w jego kierunku, zadowolona z wyboru ulubionych dżinsów oraz lekkiego błękitnego sweterka dokładnie w kolorze jej oczu.

Znalazła stół pod koniec kontuaru, ostrożnie się na niego wdrapała i zaczęła przeglądać laminowaną kartę dań. Doskonale wiedziała, kiedy Zac ją ujrzał. Na rękach zrobiła się jej gęsia skórka, poczuła gorąco w środku i swędzenie z tyłu szyi. Nigdy w życiu żaden mężczyzna tak na nią nie działał. Miała wrażenie, że łączy ich niewidzialna nić.

Podniosła wzrok dopiero wtedy, kiedy Zac stanął przed nią.

Uśmiech, jakim ją powitał, powinien zostać zdelegalizowany na całym świecie.

– Georgianka...

Mimo rozczarowania Lucy uśmiechnęła się filuternie.

– Widzę, że już zapomniałeś, jak mi na imię.



Z kieszeni wyjął ścierkę i startł blat przed nią.

– Nigdy nie zapominam imienia ładnej kobiety.

Nie miała zamiaru się tym zadowolić. Podniosła brwi i pochyliła wyczekująco głowę.

– Lucy Lovett, magister socjologii, absolwentka Harvardu, urocze dołączki w policzkach, cudownie niezdarna, z długą listą kompromitacji.

Jej serce powoli podskoczyło w piersi i zabiło mocniej. Uśmiech zrobił się niepewny.

– A ja po prostu lubię przezwiska – dodał Zac. – I ten twój uroczy południowy akcent.

Przemieściła się na stołku, dochodząc do siebie.

– No widzisz... – powiedziała – ty mi nadałeś zabawne przezwisko, a ja nic dla ciebie nie wymyśliłam.

Zac schował ścierkę do kieszeni, uśmiechając się kącikiem ust.

– To będziesz musiała nad tym popracować.

Dobry Boże, jak jej się podobał ten jego niski głos. Skrzyżowała ramiona na mokrym jeszcze barze.

– Okazuje się, że nie muszę się spieszyć. Przyszłam podziękować ci za radę w sprawie pracy. Twoja ciotka Trudy zaakceptowała mnie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Moje gratulacje. To znaczy, że jakiś czas tu spędzisz.

– Ostrzegam! Będziesz mnie widywał co rusz. Biuro jest zaraz koło plaży, a gdzieś trzeba jeść. – Teatralnie wzruszyła ramionami.

– Myślę, że jakoś wytrzymam widok twojej ładnej buzi od czasu do czasu.

– Naprawdę?

Postawił jej mrożoną herbatę, nie pytając nawet, co pije. Nie dała się namówić na posiłek, bo późno jadła lunch.

Zac był zupełnie inny niż mężczyźni, których spotykała podczas podróży. Patrzył w oczy, kiedy rozmawiali, jakby naprawdę słuchał. I musiał słuchać, bo pamiętał szczegóły rozmowy, jaką prowadzili przed tygodniem. Miał pewność siebie i poczucie własnej wartości, lecz nie uzewnętrzniał tego pychą.

Patrząc, jak obsługuje klientów, zwróciła uwagę, że łatwo nawiązuje kontakty. Pracownicy mieli dla niego szacunek. Kątem oka zauważyła, jak pomaga nowej pracownicy przepuszczać kartę przez czytnik. Był cierpliwy i nie podnosił głosu, mimo że dziewczyna nieustannie się myliła. Był dobrym szefem.

Uśmiechnęła się, kiedy znowu wrócił za bar.

Dolał jej herbaty i, jakby nigdzie się nie spieszył, oparł się łokciami o ladę. A Lucy doszła do wniosku, że – ratunku! – z bliska jest jeszcze przystojniejszy. Na wprost swojej twarzy miała jego głęboko osadzone, bezdenne szare oczy. Na czoło zsunął mu się kosmyk włosów i palce Lucy same wyciągały się, żeby go odgarnąć.

– A więc... Lucy Lovett. – Zaświeciły mu się oczy, rozpalając w niej ogień. – Jestem zdania, że powinniśmy się gdzieś razem wybrać.

Podniosła brwi, sięgając po szklankę z mrożoną herbatą.

– Ho, ho, powinniśmy!

– Tak myślę.

Z trudem powstrzymując uśmiech, wzięła łyk napoju. Powoli przełknęła, po czym podparła się na łokciach naprzeciw Zaca i spojrzała mu w oczy.

– A to dlaczego? – spytała.

– No cóż... sama uznałaś to za niesprawiedliwe, że tylko ty masz przewisko. Wobec tego powinnaś spędzać ze mną więcej czasu, lepiej mnie poznać, i wtedy wymyślisz coś odpowiedniego.

Już wymyśliła, ale jeszcze nie chciała się do tego przyznać. Szczególnie że pod spojrzeniem jego przenikliwych szarych oczu miękła jak masło na słońcu.

– Hm, to bardzo dobry powód, panie Zacu Callahanie.

– No to jak? Planujesz coś na najbliższy weekend?

Zaprezentowała dołeczki w policzkach.

– Tak się składa, że jestem wolna jak ptak.

Wobec tego w najbliższy piątek stanął na progu jej nowego mieszkania. Miała na sobie trawiastozieloną sukienkę do kolan, obcisłą, ale nie przesadnie, a do tego srebrne sandałki – na wysokim obcasie, lecz bardzo wygodne.

Otworzyła drzwi i spojrzała na niego z uśmiechem.

Panie, miej litość. Skąd się biorą takie wielkoludy? Czarna koszula wsunięta w spodnie w kolorze khaki podkreślała kolor jego włosów i szerokość ramion.

– Cześć. – Wzięła głęboki oddech, żeby zapanować nad podnieceniem, które ją nagle opanowało.

– Cześć, Georgiano. – Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i w jego wzroku mignął podziw. – Pięknie wyglądasz.

– Ty też nieźle, Szefie – odparła, testując przewisko.

Uśmiechnął się pod nosem, a srebrne punkciki w oczach błysnęły z aprobatą.

Popłynęli promem do Folly Shoals i usiedli przy odosobnionym stoliku w bistro „Ostryga”.

Rozmawiali o tym wszystkim, o czym zazwyczaj rozmawia się na pierwszej randce.

Zac miał dwadzieścia siedem lat, urodził się i wychował w Summer Harbor. Dwumetrowy wzrost odziedziczył po pradziadku. Jego mama nie żyła, a ojciec prowadził za miastem plantację choinek. Miał dwóch braci: starszy, Beau, był zastępcą szeryfa, a młodszy, Riley, w lecie zajmował się poławianiem homarów, a zimą pracował na rodzinnej plantacji.

Zac studiował zarządzanie na lokalnej uczelni, ale nie zrobił dyplomu. Zaczzerwienił się trochę, kiedy się do tego przyznał, co bardzo wzruszyło Lucy. O swojej restauracji mówił z dumą, choć bez chępliwości, jakby sukces w interesach to była rzecz normalna w jego wieku.

Trochę nabijał się z jej akcentu, a ona – z jego regionalnej wymowy.

Po kolacji poszli na spacer do centrum i wstąpili na lody. A potem usiedli na ławce i oglądali zachód słońca nad zatoką. Słona bryza igrała z kosmykami włosów Lucy.

– Musisz tego spróbować – powiedział Zac, podsuwając jej lody w wafelku.

Próbował ją namówić na orzechowe z syropem klonowym, ale ona zdecydowała się na czekoladowe z miętą i posypką.

Przechyliła się i chciała delikatnie nadgryźć, lecz trafiła na opór większy, niż się spodziewała. Przyłożyła się zatem i strąciła lody z wafła prosto na spodnie Zaca.

O mało nie udusiła się z wrażenia. Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

– Och, nie – jęknęła.

Sięgnęła po masę lodową i nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się ona w nader krępującym miejscu.

– O rety. Bardzo cię przepraszam.

Wzdrygnął się wyraźnie.

Lucy zamachała bezradnie rękami, po czym opanowała się trochę i sięgnęła po chusteczki.

To zupełnie w jej stylu, zepsuć taki wspaniały wieczór. „Jesteś totalną niezdara, Lucy!” Z obawą podniosła oczy i spojrzała na twarz Zaca.

W jego oczach migotały iskry rozbawienia, a kąciki ust drgały od powstrzymanego śmiechu. Popatrzyli sobie w oczy. Zac nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Nie czekając na chusteczkę, wziął lody w dłoń i wrzucił je do kubła obok.

Poczuła ulgę i jej wargi same ułożyły się do uśmiechu. Z trudem powstrzymała się od tego, żeby nie zawtórować chłopakowi.

– Proszę – powiedziała ze skrepowaniem, wręczając mu chusteczkę.

Wytał rękę i zaczął pocierać spodnie.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Lucy skruszonym tonem, spod którego przebijało rozbawienie.

– Właśnie to widzę.

– Nie wierzę, że zrobiłam coś takiego.

– Będziesz musiała iść z przodu i zasłaniać mnie całą drogę do promu.

Lucy przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

– Ależ ze mnie trąba.

Z wesołością w oczach Zac wyciągnął rękę z chusteczką i wytarł jej czubek nosa.

No świetnie. Udało jej się wymazać lodami ich oboje. Poczuła, że robi jej się gorąco na twarzy.

Zac wyrzucił chusteczki, odwrócił się do niej i spotkali się wzrokiem. Powoli z wpatrzonych w nią oczu zniknęło rozbawienie.

– Jesteś cudowna – szepnął.

Serce zabiło jej gwałtownie, a policzki mocniej zaczerwieniły się od namiętności w jego spojrzeniu.

A gdy jego wzrok przesunął się na jej usta, Lucy zaczęła mieć problemy z oddychaniem.

Nachylił się, aż ich usta się zetknęły. Jego wargi były chłodne i nieco słodkie. I miękkie. Ależ miękkie. Czują, jak się poruszają, dotykając jej powoli i zmysłowo. Serce zabiło ze zdwojoną prędkością i całe ciało zaczęło mruzczyć z zadowolenia. Cały świat się skurczył tak, że obejmował tylko jego i ją, gorący oddech i chłodne wargi, całujące i całowane.

Odsunął się zbyt pośpiesznie, ale jego oczy trzymały ją na uwieczni.

– Przepraszam – szepnął. – Nie mogłem się doczekać.

– Cieszę się.

To zmieniło ich nastrój. Całą drogę do promu Zac trzymał Lucy za rękę. Jej dłoń wydawała się maleńka w jego wielkiej dłoni. Przy nim Lucy czuła się jak księżniczka i wiedziała, że niewiele trzeba, żeby się zakochała. Z każdą minutą pogrążała się troszkę głębiej.

„Wpadłaś jak śliwka w kompot, Lucy”.

Rozmawiali o zwykłych rzeczach: kolorze nieba, przemijaniu lata, skracaniu się dni. Na progu domu Zac pocałował Lucy na dobranoc, a dotyk jego ust roztapiał dziewczynę od wewnątrz.

Po długiej chwili odsunął głowę, ale ich ciepłe oddechy mieszały się jeszcze ze sobą.

– Prawie straciłem dla ciebie głowę, Georgianko – mruknął. – Wiesz o tym, prawda?

Uśmiech Lucy zaczął się w jej wnętrzu, a potem wypłynął na usta. Tak, nie da się ukryć, wpadła jak śliwka w kompot.

Wymienili numery telefonów i zaczęli wysyłać do siebie esemesy, a w następny weekend znowu wybrali się na randkę. Lucy co kilka dni wpadała na lunch do „Przydrożnego Zajazdu”.

Zac nie był jej pierwszym chłopakiem. W Bostonie bardzo poważnie związała się z pewnym mężczyzną, ale zerwała z nim, gdy dostała ofertę pracy z Nantucket. Doszła do wniosku, że nie kocha go tak, jak powinna.

Ale Zac... Jego mogła kochać aż zanadto. Wiedziała o tym, zanim pierwsza randka dobiegła końca. A im więcej czasu byli razem, tym bardziej się w tym utwierdzała.

Czasami to uczucie przejmowało ją lękiem. Wspomnieniem porzucenia. Koniecznością ucieczki przed ciosem. Lecz odsuwała te emocje, zdecydowana poddać się szczęściu, gdziekolwiek miałoby ją zaprowadzić. Nie mogła się opanować.

Już po czterech randkach oficjalnie stali się parą. Lucy uwielbiała w Zacu wszystko. Czasami jednak, sama nie wiedząc dlaczego, ukrywała przed nim niektóre rzeczy. Kiedy spytał ją o ojca, powiedziała, że zmarł. Wyciągnął wniosek, że dlatego dostała się pod opiekę ciotki babci, a ona tego nie skorygowała. Kiedy spytał ją, czy kiedyś już była zakochana, odparła, że tak. Ale nie wspomniała, że rzuciła ukochanego dla pracy w innym mieście.

A gdy powiedział, że ją kocha, przytuliła go mocno i pocałowała gorąco, przekazując gestem to, czego nie była w stanie wyrazić słowami.

Trzaśnięcie drzwiami przywołało Lucy do teraźniejszości. Po chwili usłyszała kroki na schodach. Nareszcie Zac wrócił z randki.

Przejście od pięknych reminiscencji do gorzkiej rzeczywistości było bolesne. Lucy zamknęła oczy, pragnąc jeszcze przez moment trzymać się strzępiastych końcówek wspomnień.

## Rozdział 18

**L**ucy usiadła na fotelu i zamknęła oczy, wystawiając się na wieczorną bryzę. Metaliczny zapach petard mieszał się ze słonym aromatem morza. Czowała się, jakby psim śwędem wkręciła się na imprezę rodzinną Callahanów z okazji 4 lipca – choć właściwie zaprosiła ją Eden.

Nie poszła na rodzinnego grilla na farmie, ponieważ pracowała, ale po zamknięciu biura informacji turystycznej dołączyła do nich na tarasie „Przydrożnego Zajazdu”. Siedzieli w półokręgu przy dużym stole zwróconym ku zatoce i czekali na pokaz sztucznych ogni. Lucy po jednej stronie miała Eden, a po drugiej panią Trudy i Zaca, którzy rozmawiali o sprawach plantacji.

Paige, dawna dziewczyna Beau i przyjaciółka Riley, spędziła z nimi chwilę, po czym poszła do swoich znajomych na plaży.

Lucy zawsze lubiła towarzystwo Callahanów. Może dlatego, że była jedynaczką, a może interesowali ją jako socjologa – w każdym razie z fascynacją przyglądała się relacjom między braćmi. Teraz, bez Riley, to się zmieniło. Czuło się jego brak. W takich momentach jak ten muszą za nim mocno tęsknić.

Za tarasem na plaży na pokaz czekało mnóstwo ludzi rozłożonych na kocach i z lodówkami turystycznymi pod ręką. Barka, z której puszczano fajerwerki, cumowała pomiędzy garstką innych łodzi. Woda zatoki odbijała białe światła rufowe. W przerwach między hałasem odpalanych petard słychać było odgłosy rozmów i śmiechy.

W rogu tarasu Beau pomagał Micah zapalać zimne ognie. Ich złote światło kładło się blaskiem na oliwkową buzię chłopca i iskrzyło w jego ciemnobrązowych oczach. Z masą czarnych loków na głowie wyglądał prześlicznie.

– Beau świetnie sobie z nim radzi – powiedziała Lucy do Eden. – Będzie z was wspaniała rodzina.

Eden spojrzała na syna i narzeczonego i uśmiechnęła się.

– Gdybyś mi w zeszłym roku powiedziała, że będę mieć narzeczonego, uznałabym, że zwariowałaś.

– A to raczej ty zwariowałaś. Na punkcie Beau Callahana.

Eden westchnęła.

– Chyba tak. On jest... jest wszystkim, czym nie był mój mąż. Antonio był... – Pokręciła głową i zacisnęła usta. – Chyba trzeba robić, co się da, a całą resztę powierzyć Bogu. Kłopoty zawsze będą. To one nas kształtują i robią z nas ludzi, którymi Bóg chce, żebyśmy byli. I choć moje małżeństwo było bardzo trudne, nigdy nie będę go żałować, bo inaczej Micah nie pojawiłby się na świecie. A poza tym wszystko to doprowadziło mnie do Beau i teraz jestem szczęśliwa jak nigdy w życiu.

– Cieszę się. Zaslługujesz na szczęście. Beau też tego życzy, mimo że uważa mnie za wcielonego diabła.

Eden prychnęła.

– Wcale nie. Dziś jest bardziej przyjaźnie usposobiony, sama musisz to przyznać. Nawet

zapytał cię, jak ci idzie praca.

– To dlatego, że szturchnęłaś go w żebra.

Eden machnęła ręką.

– To nieważne.

Na plaży rozległ się wystrzał i w powietrze z sykiem poleciała petarda, syjąc czerwonymi iskrami. Zac poszedł do kuchni, mówiąc, że ma pustą szklanę.

– Patrz! – zawołał Micah i wyciągnął palec. – Zaczyna się.

– Na razie to tylko rozgrzewka, chłopie – powiedział Beau. – Do prawdziwego pokazu jest jeszcze trochę czasu.

– Dobry wieczór – rozległo się. To szeryf Colton, w mundurze, podszedł od strony plaży. Dzięki swojemu wzrostowi był niemal na równi z Callahanami siedzącymi na tarasie.

– Dobry wieczór. Wszędzie spokój? – spytał Beau

Szeryf oparł stopę na dolnym stopniu i zdjął kapelusz.

– Parę bójek, ale nic poważnego. Dzieciaki pijące alkohol i nielegalnie odpalające petardy. Zadzwońłem po rodziców i trochę je postraszyłem.

– Daj znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy – zaproponował Beau.

– Mam nadzieję, że damy sobie radę. – Colton spojrział na jego ciotkę. – Widzę, że też przyszyłaś obejrzyć pokaz, Trudy.

– Na pewno będzie świetny. – Kobieta skrzyżowała ręce na piersi i poruszyła się niespokojnie.

– W biurze informacji mnóstwo turystów?

– Mniej więcej tyle co zwykle.

– W Ellsworth wpadłem na Rusty'ego i Belinę Davisów. Lada dzień spodziewają się wnuka.

– Już mają ich pół tuzina.

– Czworo, tak mi powiedzieli. Ale to będzie pierwszy chłopiec. Nie mogą się doczekać.

– No i dobrze. – Pani Trudy odsunęła krzesło. – Przepraszam. Muszę iść do łazienki.

Szeryf nerwowo przestąpił z nogi na nogę, miętosząc kapelusz i w końcu wsadził go na głowę.

– No cóż... muszę wracać do roboty. Jedźcie ostrożnie, jak będziecie wracać.

– Biedaczysko – szepnęła Eden, kiedy się oddalił.

– Wygląda na to, że podkochuje się w pani Trudy – dodała zniżonym tonem Lucy, choć pani Trudy nie mogła słyszeć.

– Szkoda, że nie odwzajemnia jego uczuć. Ciężko na niego patrzeć, jak w jej obecności piecze raka i traci pewność siebie. A ona zawsze jest dla niego szorstka.

– No cóż, ona jest trochę kanciasta. Może w ten sposób flirtuje.

– Nie jestem pewna. Czasem zastanawiam się, czy to nie skutek przeżyć.

– Jakich?

Eden wzruszyła ramionami.

– Może ma do niego żal? Próbowałam pociągnąć ją za język, lecz niczego się nie dowiedziałam. Szeryf musiał zrobić coś, co ją tak do niego nastawiło.

– No nie wiem, ale na pewno nie chciałabym jej podpaść... jeszcze bardziej niż już podpadłam.

– Nie jest taka zła, na jaką wygląda. Powinnaś widzieć ją z moim synem, kiedy nikt nie patrzy. Mówię ci, jest jak przytulanka!

Lucy uśmiechnęła się kpiąco.

– Wierzę ci na słowo.

– A jak ty się czujesz? Wspomnienia wracają?

– Symptomy znikły, ale nic mi się nie przypomniało. Nic kompletnie – westchnęła. – Może to się nigdy nie stanie.

– Czy tego chcesz?

Lucy skrzywiła się.

– Wiesz, to wcale nie jest zabawne, kochać się w kimś, kto pragnie usunąć cię ze swojego życia.

– Tak, to musi być okropne.

Następna raca poleciała z sykiem i rozsypała się w biały pióropusz. W rogu tarasu Micah puszczał zimne ognie – jak tylko wypaliły się, chłopiec poprosił Beau o następne.

– W piątek Zac poszedł na randkę z Morgan – powiedziała zniżonym tonem Lucy. Sama nie wiedziała, dlaczego porusza ten bolesny temat.

– Słyszałam. I słyszałam też, że przed randką przysłała tutaj, żebyś przypadkiem tego nie przeoczyła.

– Skąd o tym wiesz?

Eden wzruszyła ramionami.

– No cóż, to małe miasteczko. Wszyscy wszystko wiedzą. Najlepiej nie zwracaj na nią uwagi. Wydaje jej się, że jest nie wiadomo kim, bo tatuś wydaje gazetę. A z tego, co wiem, to ona nie robi nic, tylko maluje paznokcie i wyleguje się na słońcu.

– Tylko że zabrał ją w to samo miejsce, gdzie mnie na pierwszą randkę. W to samo miejsce, gdzie mnie pierwszy raz pocałował.

– Ojej. To przykre. Nie mam pojęcia, co on w niej widzi.

– Poza tymi długimi nogami i biustem XXL?

– Daj spokój. W niczym jej nie ustępujesz. A jeśli martwi cię wybór restauracji, to pociesz się tym, że tu nie za bardzo jest gdzie iść. Kilka randek i wszystkie miejsca zaliczone.

– To prawda.

Zamilkły, bo Beau usiadł obok Eden. Objął ją ramieniem i powiedział:

– Zaraz się zaczniesz.

Eden przepłótła swoje palce z palcami Beau i zmierzyła Lucy spojrzeniem.

– Wiesz, czego ci potrzeba? Faceta. Kogoś, kto by brał cię na randki i odrywał cię od rozmyślania o... o różnych rzeczach.

– Nie, nie mam...

– A co byś powiedziała na Nicka Donahue?

– Plotkujecie o Nicku Donahue? – zainteresowała się pani Trudy, wychodząc na taras z Zakiem.

– Nie, nic takiego – odparła Lucy.

– Umawiamy Lucy na randkę – odpowiedziała jednocześnie Eden.



Zac zamknął drzwi na taras i zamachnął się na komara latającego mu koło twarzy. Słowa Eden poczuł jak cios w żołądek.

– Nick nie umawiał się z nikim od czasu Paige – wtrąciła ciotka Trudy. – Pochodzi z dobrej

rodziny.

Ale się wybrała z pochwałami. Zac usiadł na krzesło i zacisnął usta.

– Czy on jest lekarzem? – spytała Lucy.

– Pediatrą. Poszłam do niego z synem na wizytę kontrolną. Ma świetny kontakt z dziećmi.

– Czy ten pokaz nie powinien się już zacząć? – zniecierpliwił się Zac i wziął wielki łyk napoju.

– A co ty myślisz, Beau? – spytała Eden. – Znasz go lepiej niż ja.

– Sympatyczny facet. W szkole był kilka klas niżej, więc nie znam go za dobrze. Inteligentny. Paige nic złego nie mogła o nim powiedzieć.

– Długo ze sobą chodzili? – spytała Lucy.

Na pewno nie chciała nadepnąć Paige na odcisk. Zacowi zrobiło się bardzo niewygodnie na krześle.

– Umówili się tylko kilka razy – odparła pani Trudy, na pewno zadowolona z zainteresowania Lucy innym mężczyzną niż jej bratanek. – Powiedziała, że bardziej nadają się na przyjaciół. Za to wydaje mi się, że wy będziecie do siebie bardzo dobrze pasować.

Zac ugryzł się w język. To nie jego sprawa. Już od dawna nie są razem. Sam chciał, żeby Lucy nie oglądała się na przeszłość.

„Wobec tego dlaczego czujesz się, jakby twoje serce odbywało przejażdżkę kolejką górską?”

– I mnie się też tak wydaje – poparła ją Eden. – Cichy, skromny, ale myślący facet, nie mówiąc już o tym, że bez przykrości się na niego patrzy.

Przed oczami Zaca zaraz pojawił się obraz Nicka i Lucy. Włosy w podobnym odcieniu, podobne zaraźliwe uśmiechy. Mężczyzna objął Lucy i przytulił mocno, tak że ich ciała się złączyły.

Zac zabił komara na ramieniu z głośnym kłapnięciem, które rozniosło się na całym tarasie.

– No to ustalone – oznajmiła Eden. – Przedstawię was sobie po kościele.

„Super. Nie mogę się doczekać”, pomyślał Zac.



## Rozdział 19

**Z**ac wymknął się do biura, czując kielkujące wyrzuty sumienia. Akurat pomagał nowej pracownicy zbierać brudne talerze, gdy, rozsiewając wokół zapach perfum, do restauracji weszła Morgan z koleżanką. Skinął jej uprzejmie głową i udawał – to fakt, udawał! – że jest zbyt zajęty, by podejść i się przywitać. We wtorkowy wieczór restauracja była w połowie pusta. I co, myślał, że Morgan da się nabrać?

Od piątkowej randki w „Ostrydze” wiedział, że ta chwila w końcu nadejdzie. Będzie musiał jej powiedzieć, że to nie ma przyszłości. Przygaszone światło, świeca na stoliku, a tymczasem on, siedząc naprzeciw Morgan, myślał tylko o Lucy. Czuł się, jakby zbrukał wspomnienie ich pierwszej randki.

Wówczas tak dobrze im się rozmawiało. Im więcej Lucy mówiła o sobie, tym więcej chciał wiedzieć. Podobał mu się jej czarujący akcent i żywa intonacja... całą noc mógłby jej słuchać.

I nieustannie wspominał czas spędzony razem w porcie. Lody spadające mu na spodnie. Konsternacja na jej twarzy. Czubek nosa umazany lodami.

I pocałunek. Przez który zakochał się głębiej niż kiedykolwiek.

Krążył po biurze, roznosiła go energia. Zainteresowana nim była sympatyczna i atrakcyjna kobieta. Troskliwa, z poczuciem humoru. Można z nią było porozmawiać o polityce i zarządzaniu firmą. Nie trzeba było się pochylać, żeby ją pocałować.

Więc dlaczego tęsknił za tym, jak Lucy podnosiła głowę do góry i patrzyła na niego tymi wielkimi błękitnymi oczyma? Jak wtulała się w niego, kiedy ją obejmował? Jak opierał brodę na czubku jej głowy?

Podniósł ręce i zaplótł je na karku. Co się z nim dzieje? To przez Lucy, przez nią maści mu się w głowie. I chowa się w biurze, jak mała dziewczynka.

„Bądź mężczyzną, Callahan”.

Wyszedł na korytarz, na który przesączał się ledwie słyszalny gwar z restauracji. O dach łagodnie bębniły krople deszczu.

Tuż przed drzwiami prowadzącymi do restauracji usłyszał nagle znany głos. Z południowym akcentem. Lecz nie był to głos Lucy. Uchylając drzwi, zwolnił kroku i nadstawił ucha.

– Rozumiem, w jaki sposób wszyscy mogliście się pomylić – powiedziała Morgan z przesadną południową wymową. – Ale mówiłam, że chcę Dr. Peppera, a to wcale nie jest Dr Pepper.

– A w lemoniadzie jest za mało lodu – włączył się drugi głos. – Doprawdy, czyżby go wam brakowało?

– Zaraz przyniosę – odezwała się Lucy tonem, w którym czuło się napięcie.

Nastąpiła chwila ciszy, ale Zac się nie ruszył.

– Ależ ona jest tępa – powiedziała Morgan.

Zac spał się cały i skupił wzrok na wnęce ze stolikiem, który dobrze widział z miejsca, w którym stał.

– Nie mam pojęcia, co on w niej widział. Jesteś o wiele ładniejsza.

– A jaka ona jest niska. Niemal liliput.

Kobiety roześmiały się dźwięcznie, a Zacowi przebiegł dreszcz po krzyżu.

– Założę się, że udaje amnezję – ponownie odezwała się Morgan. I dodała z południowym akcentem: – Och, Zac, jestem taka bezradna. Proszę cię, przyjdź mi na ratunek, żeby moje życie znowu nabrało sensu!

Zac zazgrzytał zębami, lecz nie ruszył się z miejsca. Zrobiło mu się gorąco w kark.

– Nie mogę uwierzyć, że pozwala jej tu mieszkać. – To głos przyjaciółki. – I pracować. Musimy z tym coś zrobić.

– Och, nie martw się. Niedługo będzie miała furę kłopotów i Zac nie będzie mógł się doczekać, żeby wyniosła stąd swoje grube dupsko.

– Co takiego wymyśliłaś, Morgan LeBlanc?

W zapadłej ciszy Zac słyszał delikatne stuknięcie szklanek odstawianych na blat stołu.

– Najwyższa pora, żeby coś zrobić – powiedziała Morgan.

– A czy choć raz przyniosła ci dokładnie to, co zamówiłaś? – zainteresowała się przyjaciółka.

Fala gorąca z karku rozlała się na ręce i nogi i przeciskała się na zewnątrz wszystkimi porami skóry. Dość już usłyszał. Wszedł do sali, przybierając miły wyraz twarzy.

– Wszystko w porządku, dziewczyno? – spytał, przenosząc wzrok z jednej na drugą. Lucy miała ściągniętą twarz.

– Och, tak – odparła Morgan. – Lucy popełniła tylko maleńki błąd, to wszystko.

– Świetnie. Cieszę się, że dobrze was obsługuje. – Spojrzał niewinnym wzrokiem na Morgan i dodał: – Więc już nie uważasz, że jest tępa?

Z przyjemnością obserwował, jak z jej twarzy odpływa krew. Czerwone usta drgnęły, i Morgan spojrzała spanikowana na przyjaciółkę.

Czuł na sobie spojrzenie Lucy, lecz nie odrywał oczu od Morgan, jakby spodziewał się odpowiedzi.

– Ja... Zac... – Zachichotała. – Myśmy tylko żartowały.

– Podobnie jak żartowałyście na temat Dr. Peppera?

Na policzki Morgan wypłynął pąs, który kompletnie nie miał nic wspólnego z makijażem.

– Nie wiem, co...

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziecie.

Morgan przyłożyła rękę do serca i z miną urażonej niewinności spytała:

– Co takiego?

– Ktoś, kto nie szanuje moich pracowników, nie jest mile widzianym gościem. Więc proszę wyjść.

Po chwili niezręcznej ciszy Morgan podniosła się i wysunęła się z wnęki, a za nią przyjaciółka.

Morgan odwróciła się i spojrzała na Zaca z góry, ale czerwone policzki zniszczyły zamierzony efekt. Zac, patrząc w jej twarde zielone oczy, zdziwił się, jak kiedykolwiek mogła mu się podobać.

– Zrobiłeś potworny błąd – powiedziała.

– Ośmielam się mieć inne zdanie.

– Chodźmy, Morgan. – Szturchnęła ją przyjaciółka.

Morgan rozdeła skrzydełka pięknego klasycznego nosa, po czym obróciła się i wyszła, ciągnąc za sobą smugę duszących perfum.

Lucy spojrzała na Zaca jakby lekko ogłuszona.

– Dziękuję – powiedziała trochę niepewnie.

Zacowi mnóstwo rzeczy cisnęło się na usta, lecz nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się i odszedł, dotykając lekko jej ramienia. O któregośkolwiek z pracowników by chodziło, zrobiłby to samo.

„Jeszcze w to uwierzysz, Callahan”.



Lucy wyjęła z kieszeni pieniądze z napiwków i równo ułożyła banknoty. Trzydzieści osiem dolarów. Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Deszcz bijący o dach działał usypiająco. Idąc do łazienki, żeby się umyć, zdusiła ziewnięcie.

Stopy okropnie ją bolały, a i plecy wołały o zmiłowanie, lecz myjąc twarz, uśmiechała się, wspominając, jak Zac się za nią ujął.

Och, jaka szkoda, że tego nie nagrała, żeby raz po raz móc oglądać, jak Morgan blednie na twarzy. I tę jej minę, kiedy Zac wywalił ją z restauracji. Tego nie da się opisać.

No i dobrze, że się jej pozbyli. Lucy nie będzie jej już spotykać. Na tę myśl kąciki warg same podniosły się do góry.

Lecz uśmiech zniknął tak szybko, jak się pojawił. Tak czy inaczej już by Morgan nie spotykała. Tuż przed zamknięciem Zac złapał ją w kuchni i powiedział, że Marci wyzdrowiała i jutro wraca do pracy.

Po czym uśmiechnął się asymetrycznie i dodał:

– Udało ci się. Nic nie stłukłaś.

Nie wspomniała mu o tym, co zleciało jej z tacy, gdy w zeszłym tygodniu pojechał do banku. No, ale tłuczenie talerzy to najmniejszy z jej problemów. Została bez pracy. Nie miała już powodu, by spędzać czas w pobliżu Zaca. Nie miała żadnej wymówki, aby móc co jakiś czas widzieć go w przelocie, przy barze czy w kuchni. Serce ją zakłuło.

Nagle rozległ się trzask piorunu i światło zgasło. Lucy powstała chwilę bez ruchu, ściskając w dłoni ręcznik i czekając na ponowne rozbłyśnięcie lampy. Kiedy jednak nic takiego się nie stało, wyjrzała na korytarz. Tam też było ciemno. Jak w grobie.

Zac poszedł już do swojego mieszkania na górze. Jeśli się położył, to nawet może nie wiedzieć, że nie mają prądu. Ciekawe, czy jest generator. A może coś trzeba zrobić, żeby nie zepsuło się jedzenie.

Wyszła z łazienki i ruszyła korytarzem, dotykając jedną ręką ściany. Nic kompletnie nie widziała.

Znowu uderzył piorun i deszcz załomotał o dach. Oby nie zaczął przeciekać. Jeśli przecieka, to parking będzie...

Łup! Wpadła na coś z takim impetem, że zatoczyła się do tyłu.

– Uważaj! – Usłyszała i podtrzymały ją czyjeś silne ramiona.

Jej ręce zsunęły się po twardych mięśniach klatki piersiowej.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– O rety... Akurat szłam po ciebie.

– A ja poszedłem sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

W ciemnościach jego głos brzmiał niżej niż normalnie. Przez rękawy bluzki czuła ciepło jego dłoni. Zac przejechał palcem po jej nagiej skórze, pobudzając wszystkie komórki.

– Czy... masz generator prądu?

– Nie.

– To co będzie z jedzeniem?

– Wytrzyma. Do rana prąd pewnie wróci. Może chcesz dodatkowy koc? W komodzie jest zapasowy.

– Dobry pomysł.

Zapadła pełna napięcia cisza. Poczowała, że Zac zaciska dłoń na jej ramieniu, i nagle podskoczył jej puls. Jego bliskość zawsze działała tak pobudzająco. A jeszcze po tym, jak dziś stanął w jej obronie, jej uczucia – niebezpieczne uczucia! – zrobiły się bardzo ciepłe.

– Dziękuję, że się za mną ująłeś.

– Żałuję, że wcześniej tego nie zauważyłem.

– To nie twoja wina.

Lucy żałowała, że nie widzi twarzy ani oczu Zaca. Jego oddech poruszył lokami otaczającymi jej twarz i na ramionach Lucy zrobiła się gęsia skórka.

Odchrząknął.

– W kuchni jest... eee... latarka. I świece.

– To dobrze.

Żadne z nich się nie poruszyło. W korzennym zapachu wody toaletowej Zaca Lucy czuła się jak w ciepłych objęciach. Mogła zdjąć ręce z jego klatki piersiowej, ale jej powolne podnoszenie się i opadanie działało kojąco.

Zacisnęła palce na miękkiej bawełnie i poczuła, że jego mięśnie się napięły.

Och, jak bardzo tęskniła za jego bliskością. Za tym doskonałym dopasowaniem. Za jego dotykiem, tak znanym jak morska bryza, za pocałunkiem, tak koniecznym jak oddech.

Nie mógł przecież być na nią uodporniony, prawda? Na pocałunki zawsze odpowiadał natychmiast. I namiętnie. Tak bardzo jej tego brakowało. Siedem miesięcy nie mogło zupełnie wymazać w nim tego pożądania. Ani miłości.

Ciemność dodała jej odwagi. Z głośno bijącym sercem zaczęła przesuwając dłonie w górę, po jego klatce piersiowej, aż pod palcami poczuła bijące serce. Sunęła wyżej, aż do szerokich barków. Koniuszki palców świerbiły pragnieniem dotykania go. Szyja Zaca była ciepła i szorstka jak papier ścierny, puls mocny i szybki. Zarost na twarzy drapał wnętrza jej dłoni.

– Lucy...

Jego głos był niski i pełen emocji, lecz nie była pewna, czy jest to zachęta, czy też ostrzeżenie. A może ani jedno, ani drugie. A może nie miało to znaczenia.

Lucy podniosła ku Zacowi swoją twarz, wyciągając się jak tulipan do słońca. Jego oddech musnął jej usta i w następnym momencie ich wargi się zetknęły.

Och, co za błogość! Jak ona tęskniła za świeżym miętowym smakiem Zaca. Jego wargi były tak miękkie jak we wspomnieniu. Ale nie elastyczne. Nie poruszały się. Wcale. Pod palcami czuła twarde, sztywne mięśnie. Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach.

„On wcale nie reaguje na pocałunek, idiotko!”

Lucy odsunęła się, szczęśliwa, że ciemność skrywa rumieniec ponizenia, który wypłynął na jej policzki i dekolt.

„Co ty wyprawiasz, Lucy. Jak możesz rzucać się na mężczyznę, który wcale ciebie nie chce?”

– Przepraszam – powiedziała słabym głosem. – Nie powinnam...

Przyciągnął ją i położył swoje wargi na wargach Lucy.

Jej serce gwałtownie szarpnęło się w piersi. A potem nogi gwałtownie ugięły się w kolanach i zadrżały palce, którymi obejmowała jego szyję. Zac żądał odpowiedzi na pocałunek i chętnie

mu się poddała, pijana szczęściem. O włos rozchyliła usta i on natychmiast z tego skorzystał.

Lucy wsunęła palce w jego miękkie włosy i zacisnęła je w swoich dłoniach. On objął ją w pasie tak ciasno, że ciepło jego ciała przenikało przez jej bluzkę.

Jak ona bez tego przeżyła te siedem miesięcy? On był jej skałą. Jej domem. Drugą połówką jej duszy. Zaczęło ją przenikać ciepło i ogrzewać miejsce w sercu, które od zbyt dawna było zimne.

Nagle poczuła subtelną zmianę – w pocałunku, w napięciu ciała. A potem Zac ją odepchnął.



Zac opuścił ręce i cofnął się o krok. Jego głowa toczyła walkę z sercem, a serce z żebrami. Był pewien, że serce wygrywa obie bitwy. Nigdy tak mocno nie waliło. Jej pocałunek wciągnął go w wir. Trzymał się przez dwie sekundy, a potem wskoczył weń cały, aż po czubek głowy.

„Tak się bronisz, Callahan?”

Cieszył się, że nie widzi jej twarzy. Że nie widzi bólu, który na pewno jej sprawił. I cieszył się, że ona nie widzi jego twarzy. Policzków płonących pożądaniem i oczu, które zdradziłyby jego myśli.

Ich chrapliwe oddechy wypełniły przestrzeń ciężką od napięcia.

– Nie powinienem był tego robić – odezwał się w końcu Zac. Czy to naprawdę jego głos? Taki zachrypnięty? O Boże, co ona z nim wyprawia. Nigdy nie zmaże z ust wspomnienia tego pocałunku.

– Dlaczego, Zac? Dlaczego nie...?

– Nie, Lucy. Wydaje ci się, że mnie kochasz, ale...

– Tylko mi nie mów, co czuję.

– ...ale jesteś jeszcze zdezorientowana.

– Najwyraźniej ty też.

No cóż. Miała rację. Położył rękę na karku i zrobił długi, powolny wydech.

– To zbyt ciężkie.

– Wcale nie musi takie być.

Zac cofnął się, zwiększając dystans, zanim jego ręce zrobią coś, na co im nie pozwalał.

– Ależ tak. Z nami już koniec, Lucy. I to była twoja decyzja, nie moja. Kiedy cię nie było, czas nie stał w miejscu. Ja się zmieniłem. – Może Lucy uwierzy, jeśli powie to przekonująco. Może oboje uwierzą. – Kiedy wróci ci pamięć...

– Jeśli wróci mi pamięć.

– Nawet jeśli nie... to ja już ci nie ufam. Zostawiłaś mnie bez słowa. Było mi ciężko, bardzo ciężko, Lucy. Przez całe miesiące nie... – Przełknął, żeby pozbyć się guli w gardle. – Ja już do tego nie wrócę. Może nadal mnie pociągasz i może nigdy nie będziesz mi całkiem obojętna, ale na więcej się nie piszę. Nie mogę.

Ruszył w kierunku kuchni. Kiedy mijał Lucy, lekko się o nią otarł. Z ręką na ścianie szedł, starając się nie zwracać uwagi na trzęsące się nogi. Ani na walące serce. Ani na to, jak każdy kawałek jego ciała domagał się, żeby wrócił i znowu wziął ją w ramiona.

## Rozdział 20

**L**ucy leżała w łóżku, słuchając bicia deszczu o dach. Leżała tak bezsennie od wielu godzin, a wspomnienie pocałunku Zaca było jak skradzione marzenie. Leżałaby z uśmiechem, gdyby nie zakończenie. Gdyby nie przykre słowa na pożegnanie.

Teraz czuła się odtrącona. I uczucie to zapuszczało korzenie aż do samej głębi duszy, narastało i zaciskało się wokół niej i dusiło.

Matka Lucy była piękną kobietą, roześmianą i energiczną, od zajmowania się ogrodem pachnącą kwiatami oraz słońcem. Lucy najbardziej kochała kwiaty ogórecznika, o intensywnie niebieskich płatkach i miodowym zapachu.

– Ogórecznik jest dobry na odwagę – wyjaśniła mama któregoś dnia, kiedy razem pracowały w ogródku. Pogładziła palcami małe kwiatki. – Jest piękny, słodko pachnie i jest jadalny.

Lucy sama nie była pewna, co myśleć o jedzeniu kwiatów. Jednak któregoś dnia, kiedy martwiła się zapowiedzianym sprawdzianem z matematyki, w miseczce płatków Cheerios znalazła kwiatek ogórecznika.

– Dla dodania odwagi – powiedziała mama i puściła oko.

Chichocząc, Lucy zjadła kwiatek. Zdziwił ją jego subtelny, miły smak... oraz piątka, którą dostała tego dnia ze sprawdzianu.

Następny kwiatek pojawił się po kilku miesiącach, kiedy miała pierwszy recital taneczny. W wieczór tego wielkiego wydarzenia płynęła po scenie, nie myśląc się ani razu.

I wkrótce niebieskie kwiatki stały się ulubioną tradycją.

Były również przyjęcia podwieczorkowe z mamą i wielkie bale, kiedy tańczyły po salonie, a lalki patrzyły na nie z podziwem. A gdy tato wracał z pracy, robiło się jeszcze przyjemniej. Czasami wracał wcześniej, bo sam był swoim szefem.

Jej rodzice bardzo się kochali. Często siadali przytuleni na kanapie, uśmiechając się i szepcząc do siebie. Czasami Lucy przechodziła bardzo blisko, żeby tato mógł jej dosięgnąć i porwać na kanapę. Chichotała wtedy i mościła się między nimi, czując się bezpieczna i kochana.

Robili sobie weekendowe wycieczki nad morze. Wynajmowali pokój w hotelu, rano wychodzili na plażę szukać muszelek, a po południu, w upał, budowali zamki. Wracali do domu w niedzielę wieczorem, zmęczeni słońcem i szczęśliwi.

Wkrótce po jej szóstych urodzinach wszystko się zmieniło. Mama ciężko zachorowała. Dużo później Lucy dowiedziała się, że cierpiała na rzadką odmianę raka mózgu. Całymi godzinami przesiadywali w szpitalu, gdzie leżała, blada jak prześcieradło. Lucy patrzyła, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada i słuchała warkotu oraz popiskiwanego aparatury.

Aż kiedyś wszystko to ustało.

To, co zdarzyło się potem, było smutne i niejasne. Lucy nękała tatę pytaniami, kiedy mama wróci do domu. Z perspektywy czasu zdała sobie sprawę, jaki ból mu zadawała. Lecz śmierć jest nieodwracalnością, której dziecko nie pojmuje.

Domu przy Oak Street nie wypełniał już śmiech ani muzyka. Tato chodził po pokojach

z przekrwionymi oczyma i z papierosem między drżącymi wargami. Zapominał włączyć światło. Spał w pokoju gościnnym, a drzwi sypialni rodziców zawsze były zamknięte.

Często zostawiał teraz Lucy u pani Wilmington, sąsiadki – starszej, surowej kobiety. Lucy płakała, kiedy szli do niej rano. Bała się, że tato pójdzie tam, gdzie poszła mama, i co wtedy? Co będzie, jeśli on też nie wróci? Wszystkie kwiatki ogórecznika na świecie nie dadzą jej odwagi, żeby to przeżyć.

Kiedy tato przestawał nerwowo chodzić i siadał na kanapie, Lucy przechodziła koło niego, ale on już jej nie porywał, nie przytulał do siebie ani nie łaskotał w bok.

Tygodnie i miesiące po śmierci mamy miały szaro i samotnie. Czuło się przygniatający ciężar, który, jak Lucy później się dowiedziała, jest kartą wizytową smutku. Nadchodził jak ciężka mgła i wnikał we wszystko.

A potem nastąpił ten piątek. Lucy miała siedem lat. Wysiadła ze szkolnego autobusu. Z szarego, chmurnego nieba siąpił deszcz. Miała poczekać u pani Wilmington, póki tato nie wróci do domu. Lecz na podjeździe stało jego błękitne auto, więc poszła tam zamiast do sąsiadki.

Widok samochodu napełnił ją radością. Ostatnio tato wracał późno, szczególnie w piątki. Czasami tak późno, że pani Wilmington kładła ją do łóżka i zostawała, póki się nie zjawił. Rano wymagał spokoju i Lucy wiedziała, że nie będzie skłonny do rozmów, póki nie wypije drugiej filiżanki kawy, ale wtedy już zawsze robiło się późno i musiał zbierać się do pracy.

Dobrze, że dziś nie będzie musiała iść do pani Wilmington. Może tato pomoże jej w zadaniu domowym z pingwinami. Może później pójda na lody, jak dawniej mieli to w zwyczaju robić.

Pobiegła, szurając nogami w stertach zeschniętych liści na podwórku. Kiedyś zgrabiali je na wielkie stosy koło ganku, a Lucy skakała na nie. Potem miała kawałki liści we włosach i mama pomagała jej je umyć.

Minęła pozostałości pięknego maminego ogrodu. Kwiaty na rabatach zniknęły między chwastami i butwiejącymi liśćmi. Lucy próbowała przypomnieć sobie, jak dawniej wyglądał ogród. Przywołać w pamięci mamę wchodzącą po schodkach na ganek, ale jedyne, co pamiętała, to jej miękkie brązowe włosy i błękitne oczy. Teraz mama była jak duch z przeszłości i codziennie trochę jej ubywało. Lucy bała się, że któregoś dnia w ogóle nie będzie mogła sobie jej przypomnieć.

Odsunęła od siebie tę myśl, nie dając się połknąć czarnej chmurze. Tatusz wrócił, przed nią szczęśliwy wieczór. Frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz, więc pchnęła je i weszła do środka. Dom stał ciemny i cichy, w powietrzu wisiał zapach papierosów.

Lucy z pośpiechem rzuciła plecak na podłogę i zsunęła z nóg baleriny. U góry zaskrzypiała podłoga, więc popędziła na piętro.

– Tatusiu! – zawołała.

Drzwi jego sypialni – tej nowej – były otwarte i ojciec stał przy łóżku.

Odwrócił się, słysząc, że nadchodzi.

– Lucy – powiedział, marszcząc brwi. – Co ty tu robisz? Miałaś iść do pani Wilmington.

Jego niezadowolony ton sprawił jej przykrość.

– Ale przecież jesteś w domu.

Spojrzała na walizkę na łóżku. Ubrania się z niej wysypywały. Lucy pomyślała, że pewnie się nie zamknie. Przypomniała sobie wycieczki nad morze i ogromnie się ucieszyła. Tato jedzie z nią na plażę! I nagle nie mogła się doczekać, kiedy opuszczą ten ciemny, cichy dom.

– Jedziemy na plażę? – Uszczęśliwiona, zaczęła podskakiwać.

– Co takiego? Nie. – Wziął papierosa z popielniczki, włożył do ust i zaciągnął się tak, że aż wessał policzki. Wydmuchnął chmurę dymu.

– No to dokąd jedziemy? Możemy pojechać pod namiot? – Delaney, koleżanka ze szkoły, całe lato jeździła pod namiot. Czy teraz nie było na to za zimno?

Tato zgasił papierosa i zamknął wieko walizki. Minę miał zachmurzoną, taką jak od wielu miesięcy. Kiedy zamykał walizkę, jego ruchy były szybkie i nerwowe. Wyglądał, jakby zapomniał o obecności Lucy.

Nagle dziewczynka poczuła chłód na kręgosłupie. Serce jej się ścisnęło i nogi zrobiły się miękkie, jak u szmacianej lalki.

Wdrapała się na łóżko, ojcu przed same oczy.

– Tato! Dokąd jedziemy?

Nie mógł zamknąć zamka, więc otworzył walizkę, upchał ubrania, ale znowu nie chciała się zamknąć. Ojciec walczył z zamkiem z taką zaciętością, że całe łóżko się telepało.

– Tato!

Znowu sięgnął po papierosa, lecz w popielniczce był już tylko dymiący niedopałek. Marszcząc brwi, poklepał się po kieszeniach.

– Tato!

Mężczyzna gwałtownie szarpnął głową w jej kierunku, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że córka nadal jest w pokoju. Wyraz niezadowolenia na twarzy pogłębił się.

– Powiedziałem ci, że masz czekać u sąsiadki.

– Ale... ale czy my nie jedziemy na wycieczkę?

– Nie my, Lucy. – Przekładał ubrania, składał, upychał, w końcu docisnął wieko. – Muszę wyjechać. Potrzebuję się stąd wyrwać. – Przesunął kciukami klamerki, które zamknęły się ze zgrzytem nieodwołalności.

Zdjął walizę z łóżka i zaczął schodzić po schodach, a Lucy, z piękącymi oczyma, ledwie za nim nadążała. Mama wyjechała, a teraz tato też wyjeżdża.

Poszła za nim do auta, patrząc jak wkłada walizkę do bagażnika, w którym znajdowały się już inne rzeczy. Całe kartony. Imbryk do kawy, książki, naczynia, których używali do uroczystych podwieczorków.

Lucy z trudnością nabierała powietrza, jakby ścisnęła ją obręcz. Serce biło tak, jakby miało wybuchnąć, gdzieś w środku wielki krzyk walczył o wydostanie się na wolność.

Trzasnął zamykany bagażnik.

Lucy rzuciła się na tatę, objęła go w pasie i przytuliła głowę do jego boku.

– Tatusiu, zabierz mnie ze sobą! Błagam cię!

Podniósł ją. Lucy wtuliła buzię w jego szyję i uspokoiła się, wdychając znajomy zapach. Objęła go mocno. Nie wyjedzie bez niej. Oczywiście, że nie.

Ojciec zaczął iść, niosąc ją na rękach. Dziewczynka zamknęła oczy, każąc im przestać przeciekać. Zabiera ją ze sobą. Może przeprowadzą się nad morze i nie będzie już musiała mieszkać w ciemnym, cichym domu. Nie będzie musiała chodzić po szkole do pani Wilmington ani zasypiać bez taty.

Wchodził po schodach z taką energią, że Lucy podskakiwała mu na rękach. Kiedy rozległo się pukanie, otworzyła oczy.

Drzwi się uchyliły i pani Wilmington wyciągnęła po nią rękę.

Lucy dzwoniły w uszach słowa taty: „Muszę wyjechać”. „Muszę wyjechać”. „Muszę wyjechać”.



Lucy poderwała głowę. Mocniej zacisnęła ręce na szyi ojca, a serce znowu zaczęło szalony galop.

– Proszę. To jej numer – powiedział tato głosem zupełnie pozbawionym emocji, jak robot, i zaczął wyzwać się z jej objęć.

Lucy uczepliła się go rękami i nogami, jak rzep. Nie da się zostawić. Są drużyną, ona i tato. Sam tak powiedział.

– Puść, Lucy.

– Tatusiu! Nie! Zabierz mnie ze sobą.

Szarpnął mocniej i wyzwolił się.

– Nie mogę, złotko. Po prostu nie mogę.

Pani Wilmington przyciągnęła ją do siebie i objęła ramionami.

Lucy walczyła jak lew, kopała na lewo i prawo. Lecz drzwi się zamknęły i tato odszedł.

Zebrała wszystkie siły i wyrwała się z całej mocy. W piersi zaczęło wzbierać łkanie.

– Tato! – wrzeszczała raz po raz, tak że musiał w końcu usłyszeć.



Coś obudziło Zaca ze snu. Otworzył oczy. Minęła chwila, zanim w ciemności zorientował się, gdzie się znajduje. Spał na kanapie w biurze. Wysiadł prąd.

Lucy. Pocałunek. Odetchnął głęboko, przyciskając dłonie do bolących oczu.

Długo nie mógł zasnąć. Wspomnienie jej ust męczyło go do drugiej lub dłużej, a bez prądu góra szybko stygła. Minęła trzecia, kiedy decydował się przenieść na dół, do biura, gdzie było ciepłej.

Musiał w końcu zasnąć, skoro coś go obudziło. Co to mogło być? Ten dźwięk rozległ się znowu. Udręczony głos.

Lucy.

Zeskoczył z kanapy i podbiegł do drzwi. Zanim zdążył mrugnąć, otwierał już jej drzwi. Z sercem rozwalającym go od środka zatrzymał się na progu.

Przez firanki przenikał do pokoju blask księżycy, wydobywając z mroku zarys postaci leżącej na łóżku. Lucy drgała i wiła się niespokojnie. Pościel szeleściła, ciszę przerywał jej urywany oddech.

Śni jej się koszmar. Zac wszedł do pokoju, nakazując sercu, żeby się uspokoiło.

– Lucy!

Zaczęła się rzucać, kopiając nogami.

– Tato!

Jej umęczony głos wstrząsnął nim do głębi. Podszedł bliżej. Nie wiedział wiele o jej ojcu – o mamie zresztą też nie. Tylko tyle, że oboje nie żyli. Lucy nie opowiadała dużo o dzieciństwie.

Zac stanął przy łóżku i położył rękę na ramieniu dziewczyny.

– Lucy!

– Nie, tatusiu!

– Lucy!

Znieruchomiała, poczuł, że jej ramię się napina. W następnej chwili Lucy odsunęła się i ręka Zaca opadła.

– Miałaś koszmar.

Ponownie usłyszał jej wysiłony oddech. Każda komórka w jego ciele chciała ją pocieszyć.

Chciała, żeby wziął ją w ramiona i powiedział, że nic się nie stało.

– Nic mi nie jest – odezwała się nieco chrypliwie.

Wiedział, że jeśli wyciągnie rękę, natrafi na policzki mokre od łez. Ale Lucy leżała skulona na drugim końcu łóżka, a po nocnym pocałunku przytulenie jej było ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić.

Powinien spytać, czy chce mu opowiedzieć o koszmarnym śnie, ale ona i tak już zbyt głęboko podkopała jego system obronny. Nie byłoby to dobre ani dla niej, ani dla niego.

– Przepraszam, że cię obudziłam. – Głos miała już opanowany. Napięcie minęło.

Rozległ się szelest poprawianej pościeli.

W pokoju było tak samo chłodno jak w biurze.

– Nie marzniesz?

– Nie. Możesz wracać do łóżka. Ze mną wszystko w porządku.

Wiedział dokładnie, że robi dzielną minę, mimo że jej nie widział. Robiła ją za każdym razem, kiedy pytał o dzieciństwo. Kiedy wieziono ją na rezonans magnetyczny. Kiedy zostawił ją samą w mieszkaniu w Portland. Wcale nie było z nią wszystko w porządku. Wręcz przeciwnie.

Całym wysiłkiem woli oderwał się od łóżka.

– To dobrze. Dobranoc.

– Dobranoc.

Zamknął za sobą drzwi, zastanawiając się, jak długo uda mu się nie wpuścić Lucy Lovett z powrotem do serca.

## Rozdział 21

**L**ucy zmrużyła oczy oślepione porannym słońcem. Na tle zatoki rysowały się ciemne sylwetki kilku łodzi poławiaczy homarów, a ich krótkie maszty celowały w niebo jak chude palce. W powietrzu unosiła się woń palonego drewna i słony zapach morza. W górze na skrzydłach wiatru bujała mewa, wydając wysoki, żalony krzyk.

Lucy skręciła na deptak prowadzący do biura informacji turystycznej. Odwiedziła już wszystkie możliwe miejsca, a od Eden dowiedziała się, że pani Trudy chce krócej pracować. Lucy była zdeterminowana jej to umożliwić.

Kiedy po treningu weszła do „Przydrożnego Zajazdu” prąd już powrócił. Niestety, jej wspomnienia z ostatniej nocy również. Żałowała, że nie jest w stanie zapomnieć tego, jak Zac ją odepchnął. Żałowała, że nie może zapomnieć koszmaru opuszczenia przez ojca. Te dwa wydarzenia złączyły się w jedno.

Musi wyprowadzić się spod dachu Zaca. A będzie to możliwe tylko wtedy, kiedy będzie miała pracę.

Punkt informacji turystycznej mieścił się w małym budyńeczku tuż przy deptaku. Gont na dachu był zniszczony wiatrem i piaskiem, lecz ściany niedawno pobielono. Nad drzwiami widniał napis: „Biuro Informacji Turystycznej i Centrum Historii Naturalnej”, a obok wypisano godziny otwarcia.

Siatkowe drzwi otworzyły się ze swojskim skrzypieniem i Lucy weszła do wnętrza, w którym przez półtora roku zdążyła się zadomowić. W głębi, przy mapie szlaków, stała pani Trudy z parą w nowiutkich strojach turystycznych.

Lucy podeszła do stojaka z broszurami i zaczęła porządkować zawartość. W oczy rzuciło jej się kilka nowych. Plantacji choinek Beau z informacją o jesiennych atrakcjach, nowego biura podróży proponującego całodniowe wycieczki łodziami na połowy homarów i ulotka reklamująca rozmaite rozrywki na Folly Shoals. Te ostatnie ułożyła obok rozkładów jazdy promu, a przewodnik po restauracjach przeniosła w pobliże broszurek zachwalających wycieczki na połów homarów.

– Proszę nie przestawiać broszurek!

Lucy odwróciła się i wyjaśniła.

– Tylko je porządkowałam. Jest kilka nowych.

Pani Trudy zrobiła zasadniczą minę i rzekła:

– No cóż, trochę cię tu nie było.

Nie miała zamiaru niczego Lucy ułatwiać.

– Ma pani rację. – Rozejrzała się po pomieszczeniu. Było czyściutko. Pani Trudy nieźle dawała sobie radę. Lecz Lucy miała informacje zakulisowe.

– Potrzebujesz rozkładu jazdy autobusów? – Kobieta sięgnęła za plecy Lucy i podała jej ulotkę. – Dziś jest wieczorny kurs z Bangoru. Jeszcze zdążysz.

Lucy cofnęła się.

– Wiem, że zostawiłam panią na lodzie. Bardzo za to przepraszam.

Poczuła pieczenie w piersi i stopy zaczęły ją przynaglać do biegu. Ale nie, koniec

z ucieczkami. Już raz stąd uciekła, a potem uciekła z Portland. W którymś momencie należy powiedzieć: basta! A tylko tutaj miała przyjaciół. No, w każdym razie znajomych, którzy kiedyś byli przyjaciółmi.

Lucy odłożyła rozkład jazdy na miejsce.

– Muszę wiele rzeczy odrobić i wielu osobom wynagrodzić krzywdy. Chciałam panią prosić o drugą szansę. Nie mam innego miejsca dla siebie.

– A co z tym twoim narzeczonym w Portland?

– Jest mi kompletnie obcy.

Pani Trudy skrzyżowała ręce na piersiach.

– Przyszłam tu spytać, czy nie byłaby pani skłonna ponownie mnie zatrudnić. Słyszałam, że chce pani skrócić swoje godziny pracy, a ja mam mnóstwo czasu i nic do roboty.

Starsza kobieta przymrużyła oczy.

– Jestem już przyuczona i mogę pracować w takich godzinach, jakie będą pani odpowiadać.

Lucy z trudem zmuszała się, by nie dać drapaka pod oceniającym spojrzeniem pani Trudy. Niewątpliwie popełniła trochę błędów, zawiodła tego i owego. Ale czy naprawdę musi odpowiadać za coś, czego w ogóle nie pamięta?

– Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałabym cię w ogóle brać pod uwagę.

Lucy wzięła głęboki oddech, doskonale wiedząc, jaki powód podać.

– Ponieważ nie mogę wyprowadzić się od Zaca, póki nie znajdę pracy. Próbowałam wszędzie... dosłownie wszędzie.

Pani Trudy zmarszczyła brwi.

– I znowu chcesz mieć go z głowy, czyż tak?

Lucy przypomniała sobie wczorajszy pocałunek. Nadal czuła wargi Zaca na swoich. Nadal na wargach miała jego świeży miętowy zapach. Nadal czuła twardość jego klatki piersiowej.

– Nie, proszę pani – powiedziała cicho, mrugając, żeby się nie rozplakać. – Tylko wydaje mi się... że tak będzie lepiej. Dla nas obojga.

Pani Trudy przyglądała jej się długo i uważnie.

– Doszły mnie słuchy na temat tego przedstawienia, jakie urządziłeś w „Obskurnym Joe”. Chcesz przekabacić ludzi, żeby ci współczuli?

– Nie, proszę pani.

– Powinien zostawić cię w Portland.

Lucy zalało poczucie wstydu i na policzki wystąpił szkarłatny rumieniec. Mogła do woli udawać, że nie jest odpowiedzialna za swoje czyny, lecz zrobiła, co zrobiła, i skrzywdziła Zaca. Zasłużyła na to, żeby ją zostawił w Portland.

– Zgadzam się – odparła, patrząc w oczy starszej kobiecie, choć dużo ją to kosztowało.

Po dłuższej chwili wyraz chłodnych niebieskich oczu pani Trudy trochę się zmienił.

– Jutro o dziesiątej rano, ani minuty później. Będziesz tu pracować od poniedziałku do piątku, a ja w weekendy.

Na usta Lucy wypłynął uśmiech. Odetchnęła z ulgą.

– Będę punktualnie.

I od razu cofnęła się i sięgnęła ręką do klamki, żeby pani Trudy nie miała czasu się rozmyślić.

– Klucz zostawię pod doniczką. Nie zgub go.

Lucy pchnęła siatkowe drzwi.

– Nie zgubię. Dziękuję.

– A broszury mają leżeć tak, jak je ułożyłam! – rozległo się wołanie pani Trudy, nieco przygłuszone hałaśliwym uderzeniem drzwi o framugę.

– Tak jest! – odrzyknęła Lucy. Stopy same ją niosły, a na twarz wypłynął uśmiech.

Lucy Lovett znalazła pracę. Następny punkt programu: poszukać mieszkania.

## Rozdział 22

**W** następną niedzielę rano, widząc Lucy na chodniku koło kościoła, Eden zawołała ją po imieniu. Lucy odwróciła się i stanęła, otulając się szczerze swetrem. Nigdy nie przywykła do tutejszych porannych chłódów.

Dopędzwszy ją, Eden odesłała syna do klasy i zagadnęła:

– Słyszałaś już o artykule?

– O jakim artykule?

– Opisującym twoją historię. Znajdował się rano na blogu „USA Today”. Paige trafiła na niego i od razu do mnie zadzwoniła.

Lucy podskoczyło ciśnienie.

– I co tam piszą? – spytała pełna obaw.

Eden sięgnęła do torebki i wyjęła z niej telefon.

– Wiesz, nie przeczytałam tego dokładnie, ale sprowadza się to do tego, że uciekaś sprzed ołtarza i masz amnezję, a potem zaginęłaś... Nie wspominałaś, że Audrey Lovett była twoją ciocią babcią.

– Nie wydawało mi się to ważne. Nie mogę uwierzyć, że dostało się to do wiadomości ogólnokrajowych.

– Artykuł jest tylko na stronie internetowej – pocieszyła ją Eden. – Pewnie w gazecie drukowanej go nie umieścili.

– Taką mam nadzieję. – Lucy pomasaowała skronie. Nie podobało jej się wywlekanie na widok publiczny życia prywatnego, szczególnie teraz, kiedy czuła się zagubiona.

Eden odszukała artykuł w telefonie i podała go Lucy. Był krótki i podawał najważniejsze fakty.

– Przynajmniej nie wiedz, gdzie jestem – powiedziała Lucy, skończywszy czytać.

– Jestem pewna, że trafili na to fuksem.

Przez całe nabożeństwo Lucy starała się skupić na czytaniu z Biblii, które dotyczyło doskonałej miłości usuwającej lęk. Ten fragment zawsze był dla niej niejasny. Nie mogła się jednak skoncentrować na słowach pastora Danielsa, bo artykuł nie wychodził jej z głowy. Nie mogła pojąć, dlaczego jej osoba miałyby kogokolwiek interesować.

Po nabożeństwie wychodziła razem z Eden, która co chwilę ją komuś przedstawiała. Mieszkańcy miasteczka zaczynali łagodnieć w stosunku do niej... a może w kościele sumienie nie pozwalało im okazywać wrogości.

– Nick jest przy kranie z wodą – powiedziała Eden i pociągnęła ją w tamtym kierunku. – Przedstawię was sobie.

Lucy nie była w nastroju do nawiązywania znajomości z myślą o potencjalnej randce, ale przecież jakoś musiała wybić sobie Zaca z głowy.

Rozejrzawszy się po holu, ujrzała przystojnego mężczyznę podpierającego ścianę. Był gładko ogolony, miał krótkie ciemne włosy, koszulę i spodnie w kolorze khaki spięte w pasie czarnym paskiem. Przypomniała go sobie ze swojego poprzedniego pobytu w miasteczku.

– Słuchaj, Eden, nie jestem pewna...

– Cześć, Nick – pozdrowiła go Eden, podchodząc.

Oderwał się od ściany i uśmiechnął, na początku samymi oczyma, a później dołączyły do nich usta.

– Cześć, Eden, jak leci? – Odwzajemnił i spojrzał na Lucy.

– To Lucy Lovett. Może pamiętasz ją z czasów, gdy tu poprzednio mieszkała.

– Owszem. – Wyciągnął rękę. – Miło znowu cię widzieć, Lucy.

– Ja również się cieszę. – Miał zdecydowany uścisk dłoni i miły uśmiech. Nie był dużo wyższy od Lucy – co prawda ona włożyła buty na wysokich obcasach.

– Słyszałem, że mieszkałaś w Portland.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Ja też o tym słyszałam.

Prychnął stłumionym śmiechem.

– Dobrze, że traktujesz tę sprawę z humorem.

Eden dotknęła go w ramię i rzekła:

– Muszę odebrać Micah. Zadzwoń później.

Lucy spojrzała na nią błagalnie. „Nie zostawiaj mnie samej!”, mówiły jej oczy, ale Eden albo tego nie zauważyła, albo zlekceważyła. Pomachała im i wraz z innymi zaczęła przesuwać się do wyjścia.

Lucy spojrzała na Nicka, świadoma niezręcznej sytuacji.

Mężczyzna uśmiechnął się i z rozbawieniem w oczach powiedział:

– To było bardzo subtelne, prawda?

– Bardzo!

– Ale mimo wszystko to miłe.

– Posłuchaj, Nick... – Lucy poruszyła się, skrepowana, i torebka ześlizgnęła jej się z ramienia, a cała zawartość wylądowała na podłodze.

– O rety – westchnęła Lucy, kucając.

– Widziałem cię w „Przydrożnym Zajeździe” – odezwał się Nick, kiedy razem pozbierali porozsypywane rzeczy. – Teraz pracujesz u Zaca?

Nie mogła przecież mieć mu za złe, że przeprowadza rozpoznanie terenu. Niewątpliwie na jej temat krążyło mnóstwo plotek.

– Eee... byłem tylko na zastępstwo. Obecnie pracuję w biurze informacji turystycznej i mam zamiar wkrótce wynająć mieszkanie, żeby nie mieszkać w „Zajeździe”. Zac i ja nie jesteśmy już parą. Mówię to na wypadek, gdyby cię to interesowało. Jeśli mam być kompletnie szczerą, to jeszcze całkiem mi nie przeszło – choć obawiam się, że spaliłam wszystkie mosty – więc tak naprawdę to nie szukam nowego związku. – Ugryzła się w język i zaczerwieniła się. – Chyba lepiej będzie, jeśli zamknę buzię.

Roześmiał się ciepło.

– Podobasz mi się, Lucy. Może czasem się gdzieś razem wybierzemy? Jako przyjaciele?

– Chętnie – powiedziała, oddychając z ulgą.

Umówili się na najbliższą sobotę. Nick miał sympatyczny uśmiech i przyjazne brązowe oczy. Większe grono przyjaciół to było to, czego Lucy naprawdę potrzebowała.



Lucy podeszła z pięcioosobową rodziną do stojaka i wyciągnęła kilka folderów

przedstawiających to, co według niej mogło ich zainteresować. Turyści pochodzili z Georgii, a ich wymowa przypomniła jej rodzinne strony. Mężczyzna przez dwadzieścia minut oglądał mapę Parku Narodowego Arcadia, a ona rozmawiała z kobietą.

Kiedy poszli, Lucy uporządkowała foldery na stojaku. Zadzwoił telefon, więc popędziła odebrać, czując się radosna i potrzebna. Lubiła kontakty z ludźmi i z radością pomagała im znaleźć sposób na jak najlepsze wykorzystanie czasu i poznanie okolicy.

– Biuro Informacji Turystycznej i Centrum Historii Naturalnej w Summer Harbor. Czym mogę służyć?

– Chciałbym rozmawiać z panią Lucy Lovett.

– Przy telefonie.

– Witam. Tu Frank Whisman z „US Enquirer”. Czy poświęciłaby mi pani kilka minut, żeby odpowiedzieć na pytania?

Lucy poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy.

– Co takiego? Nie, żadnych pytań.

– Czy to prawda, że nie pamięta pani faktu zaręczenia się z Bradem Martinem?

– Nie... Bez komentarza.

Drżącą ręką powoli odłożyła słuchawkę. Ale skąd on był? Z „US Enquirer”? Musiał wczoraj widzieć artykuł w „USA Today”. Ale skąd wiedział, jak ją znaleźć?

Skrzypnęły siatkowe drzwi i Lucy aż podskoczyła, ale to tylko dwoje turystów pytających o kemping w Blackwoods. Pokazała im go na mapie, dała kilka broszurek i para poszła.

Potem Lucy zrobiła sobie krótką przerwę, w czasie której wyskoczyła na kanapkę do „Obskurnego Joe”. Popołudnie miało szybko na odbieraniu telefonów i udzielaniu informacji. Poznała strażnika z rezerwatu przyrody, który wpadł na chwilę, i tak zrobiła się piąta. Lucy zaczęło burczeć w żołądku.

Już gasiła światła, kiedy znowu otworzyły się drzwi. Odwróciła się z uśmiechem, lecz wchodzący mężczyźni wcale nie wyglądali na turystów. Pierwszy miał dwadzieścia parę lat, garnitur i uśmiech jak z reklamy pasty do zębów. Za nim kroczył starszy facet. Lucy przeraziła się, widząc kamerę na jego ramieniu.

– Lucy Lovett? – spytał mężczyzna z zębami jak z reklamy. – Nazywam się Ethan Everson. Z „Celebrity Today”.

Lucy nogi wrosły w podłogę.

– Niestety, panowie muszą wyjść.

– Tylko kilka pytań. Co pani myśli o...

– Nie odpowiadam na pytania. – Podeszła do drzwi, ale oni nie ruszyli się z miejsca. Kamera skierowana była w jej stronę i paliło się światelko oznaczające, że pracuje. – Proszę wyjść, słyszeli panowie, co mówiłam?

– Tylko chwila...

– Już was tu nie ma! – powiedziała stanowczo, otwierając drzwi na całą szerokość.

Mężczyzna uśmiechnął się sympatycznie.

– To budynek publiczny, pani Lovett.

– Po godzinie zamknięcia. Przeczytajcie sobie na tabliczce przed drzwiami.

– Czy to prawda, że nie pamięta pani ucieczki sprzed ołtarza?

– Jeśli nie wyjdziecie natychmiast, wezwę szeryfa.

– Czy pamięta pani związek z Bradem Martinem? Co panią sprowadziło do Summer Harbor?

Lucy podeszła do telefonu i złapała słuchawkę.



Dziennikarz podniósł ręce do góry.

– Dobrze, dobrze. Jeśli zmieni pani zdanie, to jestem gotów. Zajmę tylko parę minut. – Podał jej wizytówkę.

Lucy nie poruszyła się. Stała ze słuchawką w ręce i zaciśniętymi ustami i piorunowała ich wzrokiem.

Mężczyzna uśmiechnął się wymuszenie i położył wizytówkę na stole.

Kiedy wyszli, Lucy odetchnęła z ulgą. Zamknęła za nimi drzwi i wyjrzała przez malutkie okienko. Myślała, że wsiądą do auta i odjadą, a tymczasem oni poszli na koniec deptaku i tam się rozgościli.

Świetnie. Po prostu świetnie. Biuro nie ma drugich drzwi. Wychodząc, będzie musiała ich minąć. Nie może wsiąść do auta i ich zgubić, bo przyszła tu pieszo. Pójdą za nią aż do restauracji Zaca.

Albo ich przeczeka. Odwali robotę papierkową i podciągnie ten nowy spis pamiątek ze sklepiku, o który prosiła ją pani Trudy. Zbliży się pora obiadu. Na pewno tamci nie będą długo się tu kręcić.

Inwentaryzacja nowych T-shirtów i ozdób zajęła Lucy sporo czasu, tak że kiedy skończyła, słońce stało już nisko nad horyzontem. Wyjrzała znowu przez okno i żołądek podszedł jej do gardła. Zgromadził się tam już cały tłumek, siedem albo osiem osób, kamery.

„Nie!”

Cholerni paparazzi. Kto im dał prawo ją prześladować?

Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić po szeryfa Coltona, lecz zanim dotknęła telefonu, odezwał się rozsądek. Tamci byli w miejscu publicznym. Nie robili nic niedozwolonego.

Powinna była wyjść, kiedy kręciło się tu tylko dwóch. Teraz będzie musiała torować sobie drogę przez tłum reporterów. Może zostawiliby ją w spokoju, gdyby odpowiedziała na pytania? Zdobędą materiał do publikacji i sobie pójdą.

Ale czy na pewno? Czy przypadkiem nie podsyci to tylko zainteresowania? Męczyło ją zmaganie się ze sobą i swoją pamięcią i nie miała ochoty tego robić w towarzystwie tylu obcych osób. Marzyła o tym, żeby znaleźć się w swoim pokoiku w „Przydrożnym Zajeździe”.

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer.



Zac przedarł się przez gromadę reporterów i zgrzytając zębami, wyjechał z parkingu. Siedząca obok Lucy nie puszczała jego ramienia. Te pijawki poszły za nimi na parking, a szybki rzut oka w lusterko wsteczne potwierdził podejrzenia, że niektórzy z nich wsiadali już do aut.

Zac skręcił w Topsy Avenue i potem gwałtownie w prawo w uliczkę za sklepami.

– Zapnij pas.

Lucy zrobiła, jak polecił, a potem obróciła się do tyłu.

– Nie widzę ich – powiedziała.

– Dla pewności objedziemy ten kwartał.

– Dlaczego oni to robią?

– A od jak dawna tam są?

– Godzinę? Na początku byli tylko z jednej gazety. Przyszli do biura i zaczęli zarzucać mnie pytaniami. Zmusiłam ich do wyjścia, ale nic więcej nie mogłam zrobić.

Zac poczerwieniał z gniewu. Co za dranie. Chętnie by wrócił na parking i rozkwasił parę

nosów.

Skręcając w lewo w Jackson Street, spojrzął w lusterko wsteczne.

– Chyba ich zgubiliśmy.

Skręcił znowu w lewo w Bayberry i zaczął powoli wracać do „Przydrożnego Zajazdu”.

– Prędzej czy później i tak dowiedzą się, gdzie mieszkasz.

– I będą czatować przed restauracją... Zac, bardzo cię przepraszam. Ty nic tylko przychodzisz mi z pomocą. – Odwróciła głowę w bok i dodała: – A ja nic tylko sprawiam ci kłopoty.

Zac nie był pewien, czy te ostatnie słowa były przeznaczone dla jego uszu. Zrobiło mu się przykro. Może i przychodził jej z pomocą, ale robił to niezupełnie entuzjastycznie.

– Nie martw się o restaurację. Zadzwońię do szeryfa i on już się o to postara, żeby się nie naprzykrzali.

Skręcił na parking przy „Zajeździe”, jak zwykle zastawiony samochodami. Zaparkował na swoim miejscu, wyłączył silnik i zakończył:

– Ale tobie, Lucy, na pewno łatwo nie będzie.

## Rozdział 23

**L**ucy machnęła ręką, wskazując Eden stolik w rogu. W „Przydrożnym Zajeździe” było dość tłoczno, na ekranie telewizora leciała transmisja meczu bejsbolowego, a w sali obok grano w bilard. W powietrzu unosił się smakowity zapach zupy rybnej i pikantnych skrzydełek. Zac tkwił w kuchni, zastępując jednego z kucharzy, który nie przyszedł do pracy.

Eden uśmiechnęła się zyczliwie i usiadła na wskazanym miejscu.

– Ile jeszcze ci reporterzy zamierzają tu koczować?

Minęły trzy dni, od kiedy się pojawili, ale dzięki szeryfowi Coltonowi trzymali się na dystans.

– Nie bardzo im się spieszy do wyjazdu. Może powinnam wyjść i wygłosić jakieś oświadczenie? Może wyjadą, jeśli zdobędą to, co chcą.

– Nie wierz tym szakalom. Wykręcą wszystko, co im powiesz, tak że w końcu okaże się, że jesteś w ciąży z nieznanym kochankiem.

Podeszła Marci i przyjęła zamówienie.

– Nie mogę nawet wyjść pobiegać, żeby mnie nie nękali – ciągnęła Lucy po odejściu kelnerki. – Nie mogę iść na pocztę ani do sklepu, żeby kupić coś do mieszkania. Czuję się jak w matni. Jestem pewna, że teraz to dopiero gadają na mój temat!

– Nie zamierzam kłamać, w dużym stopniu masz rację. Jednak pocieszające jest to, że ogólnie wzrosła sympatia do ciebie. Podśledzałam, jak opierniczał ich jeden z kelnerów Zaca. Powiedział, żeby spadali i, cytuję, „przestali nękać naszych ludzi”.

Lucy zamrugnęła z zaskoczenia.

– Naprawdę?

– A wczoraj pani Trudy nagadała im do słuchu, kiedy przechodziłyśmy razem koło biura informacji. Prawie siłą musiałam ją odciągać.

Bardzo to ucieszyło Lucy. Może nie wszyscy jej tu nienawidzili.

– Mam nadzieję, że niedługo zrezygnują. Biedny Zac codziennie odwozi mnie do pracy i przywozi, a oni blokują dostęp do restauracji. To niesprawiedliwe wobec niego.

Eden ogarnęła spojrzeniem wnętrze knajpy.

– Hm, nie widać, żeby to mu zaszkodziło. A on by tego nie robił, gdybyś była mu obojętna.

Lucy nie wydawało się to możliwe. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Po prostu miał zbyt miękkie serce. Zbyt miękkie, by dziewczynę po wstrząsie mózgu zostawić na łasce reporterów. Lucy musi przestać mylić współczucie z miłością.

– Może powinnaś mieszkać w „Przydrożnym Zajeździe”, dopóki nie odjadą?

Lucy spojrzała w oczy przyjaciółce. Powiedziała jej o pocałunku i o tym, jak Zac ją odepchnął. Nawet po upływie czasu wspomnienie tego odrzucenia bolało tak, że miała ochotę zwinąć się w kłębek i płakać.

– Nie. Muszę się stąd wyprowadzić. Dla naszego wspólnego dobra.

Eden uśmiechnęła się ciepło.

– I nadal nic nie pamiętasz?

– Nic absolutnie. Chciałabym przypomnieć sobie wszystko, ze szczegółami. Może wtedy przeszłoby mi uczucie do Zaca, tak jak jemu przeszło do mnie.

Eden przechyliła głowę i spojrzała z namysłem na Lucy.

– A nie przyszło ci do głowy, że musi być powód, dla którego Bóg sprowadził cię tu z powrotem? Wiesz, amnezja... jakie masz szanse na odzyskanie pamięci? Może to jest częścią Jego planu, żebyście znowu byli razem?

– Jeśli tak, to zapomniał wspomnieć o tym Zacowi. Rozumiesz, że do tanga trzeba dwojga.

– Może Zac nie wsłuchuje się w muzykę. Powinniśmy się modlić w tej intencji. Jak mówi mój tato, „trzeba przetrzeć na wylot kolana dzinsów”.

Lucy uśmiechem pokryła wyrzut sumienia. Jak dawno naprawdę modliła się w jakiejś intencji? Może dlatego jej życie wypadło z torów.

Eden wyglądała, jakby chciała coś dodać, ale stanęły przed nimi napoje i nastrój się zmienił. Kiedy podano jedzenie, rozmawiały o wszystkim i niczym, zerkając na ekran telewizora, gdy rozlegały się wiwaty albo gwizdy. Niedaleko przeszedł kelner z półmiskiem owoców morza i Eden dobiegł smakowity zapach.

Kiedy Marci przyniosła rachunek, wszedł Nick z kilkoma przyjaciółmi. Zamawiając drinki przy barze, pomachał dziewczynom, a potem wraz z kolegami poszedł do sali bilardowej.

Po chwili Eden, zerkając nad ramieniem Lucy, doniosła jej:

– Cały czas patrzy w tę stronę.

– Pewnie zastanawia się, co ciekawego widzą we mnie ci dziennikarze.

Eden uśmiechnęła się i przewróciła oczami.

– Zgadując po jego minie, masz rację.

W kieszeni Lucy zabrzęczał telefon. Zapłaciła rachunek i spojrzała na ekranik komórki.

Esemes od Nicka: ZAGRASZ PARTYJKĘ?

Lucy rzuciła okiem na Eden, która szukała portmonetki w torebce, i szybko napisała: ŻLE GRAM. BEZNADZIEJNIE.

To wcale nie był żart. Nie potrafiła nawet dobrze trzymać kija w ręce. Zawsze zsuwał się, psując uderzenie.

Po kilku sekundach przyszedł następny esemes: NAUCZĘ CIĘ.

Podniósłszy głowę, Lucy trafiła na domyślne spojrzenie Eden.

– Esemesuje do ciebie, prawda?

– Zaprosił mnie na partyjkę bilarda, ale nie wiem. Trochę to dziwne, tak przy Zacu i w ogóle.

– Odkąd tu przyszłyśmy, ani razu nie widziałam Zaca. Poza tym wyraźnie dał ci poznać swoje stanowisko.

Nawet tak delikatne sformułowanie zabolęło jak cios w żołądek.

– Racja. Poza tym postanowiliśmy z Nickiem, że będziemy tylko przyjaciółmi.

Eden szturchnęła ją pod stołem.

– Idź grać. Zabaw się. Ja muszę iść po Micah, zanim wykończy dziadka. – Wysunęła się zza stolika. – Zadzwoń, jeśli będziesz chciała pogadać.

Po jej wyjściu Lucy wysączyła ostatnie krople mrożonej herbaty i udała się do sali bilardowej. Nick przedstawił ją kolegom i zaczęli grać. Nick rozbił bile i wbił dwie pełne do luzu.

Kiedy przyszła kolej na Lucy, pomógł jej wybrać bilę bliską luzu. Dziewczyna nachyliła się, przygotowując się do uderzenia.

– Czekaaj, czekaaj – zawołał Nick. – Jesteś za blisko stołu. Cofnij się. – Odciągnął ją kawałek.

– No, dobrze. Ale ręce mają być ułożone tak. – Pochylił się nad nią i położył swoje ręce na jej. – Rozchył palce. Otóż to.

Szeptął jej wprost do ucha, a jego ręce przykrywały jej dłonie trzymające kij.

– No, teraz.

Razem pociągnęli kij do tyłu i uderzyli. Rozgrywająca bila musnęła szóstkę i skręciła. Kula, potoczywszy się po filcu, wpadła do narożnej łuzi.

– Udało się! – Ucieszyła się Lucy.

Nick cofnął się i z uśmiechem przybili piątkę.

– Świetnie, Lucy. Masz wycucie. No, to następne zagranie. Którą bilę deklarujesz?

– Czwórkę?

– Doskonały wybór. Ustaw się. Rozsuń palce. Właśnie tak. A teraz spokojnie, równo uderz.

Lucy odciągnęła kij i postąpiła według wskazówek. Biała bila dotknęła czwórki, ale kula odbiła się od łuzi.

Koledzy Nicka pobili ich w pierwszej i drugiej rundzie. Nick cały czas dawał Lucy wskazówki i przy trzeciej rozgrywce Lucy załapała. Wygrali bezapelacyjnie. Widziała wyraźnie, że jej postępy zrobiły wrażenie nawet na Nicku.

Straciła poczucie czasu. I to do tego stopnia, że zdziwiło ją, gdy w sali jadalnej zaczęto gasić światła. Restauracja była pusta. Jeden z pracowników układał krzesła na stołach.

– Zamykamy – zawołał Zac, przechodząc obok sali bilardowej. Wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Zmęczony i niemogący doczekać się zamknięcia czy też zazdrosny o czas, jaki spędziła z Nickiem? No cóż, nie można łapać dwóch srok za ogon. Albo ją chce, albo jej nie chce. A on wyraźnie dał do zrozumienia, że nie chce.

Lucy pożegnała się z Nickiem i jego znajomymi. Zac znikł w kuchni, a ponieważ ona nie czuła się zmęczona, dokończyła układanie krzesel na stołach.

Skończywszy, wyjrzała przez okno. Reporterzy już się rozeszli. Lucy powinna iść na pocztę. Lada dzień miały przyjść karty do bankomatu i kredytowa. W portmonetce zostało jej dwanaście dolarów, a nie chciała pożyczać pieniędzy. I tak Zacowi zawdzięczała aż za dużo.

Tuż przed drzwiami złapał ją Zac. Wyszedł z kuchni z mopem i wiadrem w ręce, rozejrzał się i powiedział:

– Dzięki za ustawienie krzesel.

– Nie ma za co. Idę na pocztę.

– W porządku.

Wieczór był chłodny, wiał wiatr. Lucy skuliła się z chłodu, objęła się ramionami i głęboko wciągnęła słone morskie powietrze. W trawie głośno cykały świerszcze. Ruszyła ścieżką, chrzęszcząc butami na żwirze.

Trzaśnięcie drzwiczek przyciągnęło jej spojrzenie do jednego auta na parkingu. Z ciemnego sedana wysiadł mężczyzna i szedł w jej kierunku.

Lucy zwolniła, widząc, że mężczyzna zachodzi ją od strony restauracji i odcina od ewentualnego schronienia.

Po plecach przeleciały jej ciarki.

– Żadnego komentarza się pan nie doczeka, więc proszę zostawić mnie w spokoju.

Mężczyzna zatrzymał się w plamie światła padającego z latarni i zmarszczył czoło.

– Lucy...

– Nie żartuję. Jeśli mnie pan będzie nękał, zadzwonię po szeryfa.

– Nie poznajesz mnie, prawda?

Lucy przyjrzała się jego krótkim włosom rozwichrzonym na wietrze, doskonałemu kształtowi pociągłej twarzy, ciemnym oczom. Ubrany był jak urzędnik, miał lekko poluzowany krawat.

– Lucy, to ja... Brad.

Fakt, że był to jej narzeczony, wcale nie poprawił jej samopoczucia. Objęła się ramionami i spytała:

– Co tu robisz?

– Martwiłem się o ciebie – odparł, ruszając z miejsca. – Nie odpowiadałaś na moje telefony.

Popełniła błąd, podając mu swój nowy numer komórki, żeby przestał wydzwaniać na telefon stacjonarny Zaca.

Brad był już o metr od niej. Lucy cofnęła się.

– Wiem. Przepraszam. Ja tylko... Obecnie wszystko stoi na głowie. Muszę się zagospodarować i wszystko sobie poukładać.

– Wcale mnie nie pamiętasz?

Spojrzała z bliska na jego twarz. Światło lampy ostro rysowało linie jego nosa i policzków i odbijało się od czoła.

Pokręciła głową.

– Niestety, przykro mi.

– Nie wierzę, że nie... W końcu byliśmy zaręczeni! – dodał, jakby ten fakt był istotniejszy niż uraz mózgu.

– Nawet nie mogę przypomnieć sobie przeprowadzki do Portland. Wiem, że to trudne do zrozumienia, ale nic na to nie poradzę.

Mężczyzna spojrzał na jej rękę i zacisnął usta.

– Nie masz na palcu pierścionka zaręczynowego.

– Nie jesteśmy już zaręczeni. Ja go... oddam.

– Powinnaś wrócić do domu. Pomogę ci wszystko sobie przypomnieć.

Ale ona nie chciała pamiętać. Ani jego, ani Portland.

Z drugiej strony dzięki temu mogłaby wybić sobie z głowy Zaca. Skończyłyby się jej cierpienia. Gdyby wróciła pamięć, czy zdecydowałyby się na ślub z mężczyzną, dla którego teraz nie miała ani jednego ciepłego uczucia?

Brad zrobił krok do przodu.

– Pomogę ci, Lucy. Będę cierpliwy, pomogę ci pozbyć się reporterów. W Portland nie będą cię gnębić. Postaram się o to.

Lucy spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała z nagłym zrozumieniem:

– To twoja robota.

– Co takiego?

Cofnęła się.

– To ty zawiadomiłeś media. Powiedzieliś, gdzie można mnie znaleźć.

Podniósł ręce do góry.

– Nie miałem nic wspólnego z...

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała, coraz bardziej podnosząc głos.

– Nie zrobiłem tego, Lucy – wyparł się zdecydowanie, podchodząc. – Przyjechałem tu trochę wcześniej i słyszałem, że rozmawiano o tym w kawiarni. To wszystko.

Lucy nie miała pojęcia, czy mu wierzyć. Cały czas się cofała, aż oparła się plecami o skrzynkę na listy.



Zac wyjął mop z wiaderka i przeciągnął nim po podłodze. Jego ręce pracowały automatycznie, podczas gdy umysł odtwarzał to, co widział chwilę wcześniej, kiedy wyszedł z kuchni i jego wzrok padł na Lucy w sali bilardowej. Nick pochylony nad nią, stojący stanowczo zbyt blisko, obejmował ją jednym ramieniem, a drugą rękę położył na jej dłoni trzymającej kij.

Zac spiął się cały i zacisnął zęby z taką siłą, że szczęka go rozbolała. Przez moment wyobrażał sobie, że bierze faceta za kołnierzyk i portki i wyrzuca przez drzwi, prosto w gromadę reporterów.

Kij uderzył o bile.

Zamiast zrealizować swoją fantazję, musiał zająć się udobruchaniem starszego mężczyzny, oferując mu pięćdziesiąt procent zniżki, i tylko raz spojrzął na Lucy, kiedy rozległ się jej śmiech. Obrzucił niechętnym wzrokiem Nicka, który przybijał z nią piątkę.

Za każdym razem, kiedy zaglądał do sali bilardowej, podnosiło się mu ciśnienie. Lucy najwyraźniej świetnie się bawiła, śmiejąc się i przekomarzając, jakby nie miała żadnych zmartwień. Nie trzeba było być geniuszem, żeby zauważyć, że Nick jest nią zauroczony. Z trudem odrywał od niej wzrok, żeby spojrzeć na bile.

Po pocałunku zdystansowała się i Zac nie mógł jej winić. W końcu sam ją odepchnął. Prosto w ramiona rywala, jak się okazało. Czy Nick naprawdę jej się podobał? Zac nie potrafił wskazać żadnej jego konkretnej wady i to bolało.

„No, to da mu popalić”. Łatwiej jest zakochać się w Lucy niż się odkochać. Sam jest tego przykładem.

Przejechał mopem po podłodze. Powinien się cieszyć, że zainteresowała się kimś takim jak Nick. Bardzo dobrze. Wydawało jej się, że kocha się w Zacu, ale to nie była prawda. Wyjechała z Summer Harbor i zapomniała o nim, tylko jej serce o tym nie pamiętało. Może nigdy nie odzyska pamięci. Może Nick jest konieczny, żeby w końcu na dobre wybiła sobie Zaca z głowy.

Ta refleksja zabolowała go, jakby ktoś z całej siły przejechał mu po wnętrzu pilnikiem do metalu. Ze złością wcelował mopem w wiaderko. „Albo ją chcesz, Callahan, albo jej nie chcesz. Zdecyduj się”.

Nie było to jednak takie proste. Nic, co się z nią wiązało, nie było proste.

Dlatego, że z nią było dobrze. Kiedyś, dawno temu. Tak dobrze, że nie mógł znieść myśli o innym mężczyźnie przy jej boku.

Właśnie dlatego powinna jak najszybciej stąd się wyprowadzić. Jej mieszkanie ma być gotowe w przyszłym tygodniu i Zac już nie mógł się tego doczekać. Choć wolałby dać sobie rękę uciąć, niż pozwolić jej wyprowadzić się z „Zajazdu”, dopóki te sępy nie znikną, to jednak musi dać jej odejść. Naprawdę odejść. Opieka nad nią nie należy już do niego. Jest dorosła, i choć co prawda ma drobny uraz mózgu, to jednak potrafi zadbać sama o siebie.

Rzucił okiem na drzwi wejściowe. Lucy jeszcze nie wróciła z poczty. Zbyt dużo czasu jej to zajmuje. Przyszli mu na myśl reporterzy i wnętrzości ścisnęła mu żelazna dłoń. Pocieszył się myślą, że o tej porze na pewno są już w hotelu. Po ostrzeżeniu szeryfa Coltona nie będą jej przecież nękać.

Zostawił mop, otworzył drzwi frontowe i natychmiast jego oczy padły na dwie postaci przy skrzynce na listy, tuż za płamą światła padającego z lampy.

Mężczyzna wyciągnął rękę i chwycił Lucy za ramię. Lucy zaczęła się wrywać, ale on trzymał mocno.

– Hej, ty! – wrzasnął Zac, zeskakując z ganku. – Zostaw ją!

Facet odwrócił się, spojrzawszy złym wzrokiem na Zaca i odkrzyknął:

– Jestem jej narzeczonym!

– Mam w nosie to, kim jesteś. Zostaw ją!

Zac zbliżył się w szybkim tempie. Brad, oceniwszy posturę Zaca, który przewyższał go o głowę, opuścił rękę.

Lucy, blada jak prześcieradło, drżąc na całym ciele, odsunęła się kawałek. Po raz drugi tego wieczoru Zac miał ochotę dobrać się komuś do skóry.

Mężczyzna wyprostował się na całą wysokość, niewątpliwie żeby dodać sobie wzrostu.

– A kim ty jesteś?

– Zac Callahan. Wtargnąłeś na mój teren. Mam nadzieję, że podejmiesz kroki, żeby to się zaraz zmieniło.

– Mamy sprawy do załatwienia – odparł obcy półgłówek, przysuwając się do Lucy. – I to już nie twój interes.

Zac spojrzawszy na Lucy. Dziewczyna szczypała dolną wargę. Jej kredowa twarz lśniła w świetle księżycy.

– Lucy, chcesz z nim rozmawiać?

Lucy przeskoczyła spojrzeniem z Zaca na Brada i z powrotem, i szepnęła:

– Nie.

– Sam widzisz. Spadaj stąd.

– Ależ Lucy... – zaczął błagalnym tonem Brad.

Lecz Zac złapał go za kołnierz i zaprowadził na parking.

– Nie jesteś tu mile widziany. Jeśli Lucy zechce z tobą rozmawiać, sama zadzwoni. Ma twój numer.

Mężczyzna się szarpnął i Zac go puścił. Facet podszedł do swojego auta, otworzył drzwiczki i wsiadając, rzucił przez ramię:

– Jeszcze tu wrócę.

– Na własne ryzyko, koleś.

Po jego odjeździe Zac zaprowadził Lucy do restauracji. Dziewczyna cała się trzęsła, ale – jak mu się wydawało – wcale nie z zimna.

Zdjął krzesło ze stołu, postawił je na podłodze i powiedział:

– Usiądź. Zrobił ci coś?

Lucy klapnęła na krzesło.

– Nie, nic mi nie jest.

Zac przysiadł na stole.

– Czego chciał od ciebie?

Wzruszyła ramionami. Na twarz zaczynały jej już wracać rumieńce.

– Chce, żebym wróciła do Portland. Niewykluczone, że to on powiadomił gazety o tym, gdzie mnie szukać.

– Po to, żeby skłonić cię do powrotu razem z nim?

– Może. Nie wiem.

– Nie spodobał mi się ten facet – mruknął i natychmiast tego pożałował. Lucy może się wydawać, że przemawia przez niego zazdrość, a tymczasem to nieprawda. Przynajmniej tak mu



się wydaje.

– Myślę, że czuje się zraniony po tym... tym wszystkim, co się stało.

Zacowi nie trafiło to do przekonania. Nie podobały mu się oczy tego mężczyzny. Bezwzględne i twarde. Wydawało mu się, że gdyby to jego narzeczona miała amnezję, martwiłby się i cierpliwie czekał, aż sama zechce wrócić, a nie zmuszał jej do tego.

I nie podobał mu się wyraz twarzy Brada, kiedy wygłaszał pogroźkę na pożegnanie. Czy był zdolny do przemocy? Tarmał Lucy bez żadnego powodu poza tym, że nie podobało mu się to, co mówiła.

Z jednej strony reporterzy, z drugiej Brad – dziewczyna nie mogła wybrać gorszego czasu na wyprowadzkę. Zac zaplótł ręce z tyłu szyi i powoli zamknął oczy. Sam nie mógł uwierzyć, że się na to zdecydował.

– Może powinnaś jeszcze się nie wyprowadzać?

Lucy skoczyła na równe nogi.

– Nie!

Zac zamrugał, zdziwiony szybkością, z jaką padła odpowiedź.

– Widziałaś jego minę? Byłaś z nim zaręczona, ale nic o nim nie wiesz, Lucy. Może jest zdolny do przemocy. Może właśnie dlatego nie zdecydowałaś się na ślub.

Lucy pokręciła głową.

– On nie zrezygnuje, a jeśli będziesz sama w mieszkaniu, to kto cię obroni? Nie wspominając o tabunach reporterów, którzy siedzą ci na ogonie.

Lucy skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na Zaca przenikliwie.

– Nie zostanę dłużej.

– Nie bądź taka uparta.

– Ten układ nie jest dobry... ani dla ciebie, ani dla mnie. Wyprowadzam się w przyszłym tygodniu i nie ma gadania.

Spojrzał na jej oddalającą się postać, z dumnie wyprostowanymi ramionami, i westchnął. Kiedy on chciał, żeby się wyprowadziła, ona uparła się, żeby zostać, a kiedy on chciał, żeby została, ona uparła się, żeby się wyprowadzić. No cóż, cała Lucy.

## Rozdział 24

**L**ucy nałożyła szminkę i ścisnęła usta, a potem zburzyła włosy i cofnęła się, żeby ocenić się w lustrze. Makijaż podkreślał oczy i policzki, a włosy niesfornymi falami opadały na ramiona. W jasnoblękitnej sukience na ramiączkach wyglądała harmonijnie. Wewnątrz natomiast była skonfliktowana. Szła na spotkanie z bardzo sympatycznym mężczyzną, ale ten, którego naprawdę pragnęła, był tu, na miejscu.

„I nie chce mieć z tobą już nic wspólnego. Więc przestań o nim myśleć, Lucy”.

Wsunęła szminkę w nasadkę i wyszła z pokoju. Poczekaj na Nicka na ganku. Wprawdzie byli tylko na stopie przyjacielskiej, lecz i tak sytuacja była nieco krępująca. A poza tym, jeśli miałyby być szczerą, to jak na przyjaciela Nick zanadto garnął się do flirtu.

Ouuu! Odbiła się od muskularnej klatki piersiowej Zaca, który akurat wychodził z biura.

– Przepraszam! – powiedział, podtrzymując ją.

Jego palce przepalały lekki sweterek, dobrze znany korzenny zapach otoczył ją jak czułe ramiona.

Zac cofnął ręce jak oparzony.

– To ja przepraszam. – Biegła korytarzem, nie patrząc, skoncentrowana na swoich myślach.

Zac przyjrzał jej się i w oczach błysnęło mu uznanie.

– Ładnie wyglądasz.

Poczuła, że się rumieni. Przytuliła torebkę do brzucha.

– Dziękuję.

– Masz randkę? – spytał, przeszywając ją niespokojnymi szarymi oczyma.

Odchrząknęła.

– Umówiłam się z Nickiem. Płyniemy do Folly Shoals na kolację, a potem idziemy do hotelu „Tourmaline” na tańce. Dziś jest tam jakaś balanga. Nie bardzo wiem co, bo niedokładnie słuchałam, ale dlatego założyłam buty do tańca. – Podniosła nogę i zachichotała nerwowo.

„Zamknij się, Lucy”.

Zac uśmiechnął się wymuszenie.

– No cóż. Wygląda na to, że będziesz się dobrze bawić.

– Mam nadzieję.

Puścił ją przodem. Lucy, roztrzęsiona po tym krótkim kontakcie, szła na miękkich nogach.

– Lucy – odezwał się Zac.

Odwróciła się w progu gwarnej sali restauracyjnej. Co takiego usłyszała w jego głosie? Żal? Tęsknotę? Przez długą chwilę jego wzrok trzymał jej oczy na uwięzi. Serce podeszło Lucy do gardła, a w piersi zakłuło pragnienie.

W oczach Zaca mignęło coś ciepłego i dającego nadzieję. Lecz zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

– Nick to przesympatyczny człowiek. Powinnaś dać mu szansę.

Twarz ją zapiekła, jakby wymierzył jej policzek. Zamrugowała szybko, żeby przestało ją szczypać za oczami. Duszę zalał jej czarny smutek. Sytuacja do pozazdrosczenia, kiedy ukochany wpycha cię w ramiona innego mężczyzny.

Ledwie mignęła ta myśl, coś się zmieniło, i to na lepsze. Lucy poczuła, że gdzieś głęboko w trzewiach pojawia się czerwień, a z nią upór i irytacja.

– Masz rację, Zac. Absolutną rację.

## Rozdział 25

**W** następnym poniedziałek Lucy wczesnym rankiem wymknęła się z „Przydrożnego Zajazdu”, żeby pobiegać razem z Eden. Było za wcześnie na reporterów, ale na wszelki wypadek schowała włosy pod czapkę bejsbolową.

– No... – powiedziała Eden, kiedy przyspieszyły do szybkiego marszu – nie trzymaj mnie w niepewności. Jak poszła randka z Nickiem? Zauważyłam, że wczoraj w kościele siedział koło ciebie.

Słony wiatr zwiął Lucy kosmyk włosów na twarz, więc odgarnęła go i odparła:

– To nie była randka, ale było bardzo miło. – Ze sztucznym entuzjazmem w głosie ciągnęła: – Dobrze się bawiliśmy. On nieźle tańczy i nie zabrakło nam tematów do rozmowy. Znaleźliśmy trochę wspólnych zainteresowań, a on ma świetne poczucie humoru.

– I...?

– I... już. Było bardzo miło.

– Miło.

– No co? Miło ci się nie podoba?

Eden rzuciła jej spojrzenie spod oka.

– Miło jest ściągnąć buty na wysokim obcasie, kiedy w niedzielę po kościele wracasz do domu. Miło jest iść do cioci na szarlotkę. Miło jest...

– Okej, okej. Nie wiem, czego oczekujesz. Nick to tylko przyjaciel. Kocham Zaca. To mi tak szybko nie przejdzie. – Uśmiechnęła się gorzko. – Chyba że wróci mi pamięć. A wtedy, jak sądzę, przejdzie szybciej niż gorący nóż przez masło.

– Wybacz, nie chciałam cię popędząć. Ale nie mogę patrzeć na ciebie w takim stanie. A z Nickiem co, nic nie iskrzy?

– Prawdę mówiąc, nie. No wiesz, może kiedyś w przyszłości. Mówi się, że najtrwalsze związki zaczynają się od przyjaźni, prawda?

Nie mogła zapomnieć, jak zaiskrzyło z Zakiem. Od pierwszej chwili. Spojrzała mu w ciemnoszare oczy i zapragnęła w nich zatonać. Serce ścisnęło ją na myśl, co straciła.

– Jasne.

Przyspieszyły znowu i rozmowa zaczęła kuleć. Kiedy Lucy wróciła z randki, nigdzie nie mogła znaleźć Zaca. Na randce starała się rozerwać. Może nawet za bardzo. Nick trochę flirtował, a ona nie chciała dawać mu nadziei. Czyż nie powiedziała otwarcie, że oczekuje tylko przyjaźni?

Kątem oka Lucy dostrzegła mignięcie czegoś błękitnego. To Brittany Conley huśtała się na huśtawce na ganku. Pomachały do siebie. Lucy spotkała ją kiedyś, jak dziewczynka jechała do centrum na rowerze. To było, jeszcze zanim zaczął się ten cyrk z reporterami. Porozmawiały wtedy chwilę. Brittany nie dostała się do drużyny szkolnej, ale Lucy zachęciła ją, żeby nie przestawała trenować.

Po chwili, wracając już w granice miasta Lucy i Eden zwolniły do spokojnego chodu. Lucy położyła ręce na biodrach i oddychała równo, nie zważając na rwanie w boku. Szło jej coraz lepiej. Była tylko odrobinę bardziej zadyszana niż koleżanka.

– Mam jeszcze z pół godziny – wysapała Eden. – Wstąpimy na śniadanie do „Obskurnego Joe”?

– Chętnie. – Biuro informacji działało dopiero od dziesiątej, a im mniej przebywała w knajpie Zaca, tym lepiej.

– Beau powiedział mi, że kilka dni temu pojawił się twój eksnarzeczony.

– Wiesz, to było naprawdę... dziwne. Bałam się go. Byłam szczęśliwa, kiedy Zac go przegonił.

– Jest tu jeszcze?

– Nie wiem. Nie pokazał się więcej. Ale zamierzam odesłać mu pierścionek zaręczynowy. Może wtedy da mi spokój.

– Może powinnaś odłożyć przeprowadzkę, póki sytuacja się nie unormuje. Beau powiedział, że ten twój eks zagroził, że jeszcze tu wróci.

– Myślę, że przemawiała przez niego urażona duma. – Nie miała ochoty dziś o tym myśleć. – A co u ciebie? Wasz ślub się konkretyzuje?

– Och! – wykrzyknęła Eden. – Nie mogę uwierzyć, że zapomniałam ci o tym powiedzieć. Ustaliliśmy datę. Szósty sierpnia przyszłego roku.

– O, to świetnie. Jeśli zechcesz, pomogę ci wszystko zaplanować.

– Chcemy mieć skromny ślub. Już miałam wielkie wesele z białą suknią i kiepsko się to skończyło.

– Dziwię się, że chcecie jeszcze rok czekać. Ty i Beau sprawiacie wrażenie, jakbyście nie mogli się sobą nacieszyć.

– Bo tak jest. I z jednej strony nie mogę doczekać się ślubu, a z drugiej rozsądek podpowiada, że potrzebuję czasu. Moje pierwsze małżeństwo było bardzo trudne.

– Kiedyś coś na ten temat wspomniałaś. Ciężko jest ci znowu się związać?

– To nie tak, jak myślisz. Beau zupełnie nie przypomina Antonia. Mój mąż miał manię kontrolowania i stosował przemoc emocjonalną. Przez te doświadczenia cały czas buntuję się przeciwko ograniczeniom. Nawet jeśli mają sens. Kilka lat temu zagubiłam się i jeszcze nie odnalazłam do końca.

– Sprawiasz wrażenie osoby niezależnej i bardzo pewnej siebie – westchnęła Lucy, kiedy stanęły przed drzwiami knajpy „Obdarty Joe”. – Nigdy bym nie zgadła, że masz takie przeżycia.

Eden otworzyła drzwi, żeby przepuścić ją przodem, i odparła z filuternym uśmiechem:

– Przyzwyczajenie jest drugą naturą.

Weszły w gwar rozmów, brzdęk sztućców oraz niebiańskie aromaty bekonu i syropu. Lucy zaczęło głośno burczeć w żołądku. Ruszyły do pustego stolika w głębi.

Przy trzecim stoliku siedziała Margaret LeFebvre. Lucy nie widziała właścicielki „Zajazdu pod Pierwiosnkiem” od czasu niefortunnych starań o pracę. A teraz, gdy ich spojrzenia się zetknęły, kobieta uśmiechnęła się do niej ciepło.

Nieco zdziwiona, Lucy odpowiedziała na uśmiech. Zaraz potem pani Parker z córką Millie pozdrowiły Lucy i Eden – obie! – kiedy dziewczyny je mijały.

Może mieszkańcy rzeczywiście zaczynają czuć do niej sympatię? Ta myśl poprawiła jej nastrój.

Jak tylko usiadły przy stoliku w rogu, podeszła, podzwaniając wisiorami przy bransoletkach, Charlotte Dupree. Rude farbowane włosy miała utapirowane. Postawiła na blacie dwie szklanki z wodą i powiedziała:

– Pomyślałam, że chce wam się pić. Widziałam, jak przebiegałyście. Wiecie już, co chcecie

zamówić? – Spojrzała ciepło na Lucy. – Dziś w promocji są gofry z jagodami. Wiem, że je lubisz.

– Och... jasne, są świetne. Chętnie je wezmę.

Lucy zamknęła kartę i sięgnęła po szklankę z wodą. Dlaczego wszyscy są tacy serdeczni, zastanawiała się, czekając, aż Eden zamówi. Czyżby czas się cofnął?

Jak tylko Charlotte poszła, Lucy spojrzała głęboko w oczy Eden i spytała:

– Czy tu chodzi o mnie, czy też w Summer Harbor dzieje się coś dziwnego?

– Wiesz, że coś w tym jest... – Eden pochyliła się nad stołem i zniżonym głosem powiedziała: – Pani Miller cały czas tu zerka. Zapytamy Charlotte, co się dzieje. Ona na pewno będzie wiedzieć. Ta knajpa to siedlisko plotek.

Kiedy Charlotte przyniosła kawę, Eden pociągnęła ją za ramię i szepnęła:

– Pani Charlotte, co się dzieje? Ludzie jakoś dziwnie się zachowują.

Kobieta spojrzała po kolei na obie dziewczyny, po czym powiedziała, uśmiechając się współczująco do Lucy:

– Widzę, że o niczym nie wiecie. W jednym z tych szmatławców ukazał się artykuł. Świeża sprawa.

Z twarzy Lucy odpłynęła cała krew.

– Jaki artykuł?

– Głupi, ot jaki. – Charlotte poklepała Lucy po ramieniu. – Nie martw się. Wysłałam męża, żeby wykupił cały nakład w „Tanich Zakupach”, i wyrzuciliśmy wszystko na śmietnik. – Jeszcze raz klepnęła Lucy po ramieniu i odeszła.

Eden włączyła telefon.

– Już sprawdzam.

– To na pewno nic dobrego. – Czy w jej życiu za mało się pokomplikowało? Dlaczego wszyscy mają w nosie to, co się z nią dzieje?

– No, znalazłam – sapnęła Eden. – O rety! – Wzdrygnęła się, rzuciwszy okiem.

– Co tam jest?

Eden przysunęła się do koleżanki i razem zaczęły czytać.

Krewna Audrey Lovett  
ucieka przed kochankami!

*Od kiedy Lucy Lovett, podobna jak kropla wody do ikony lat 60. Audrey Lovett, kuzynki swojej matki, puściła kantem narzeczonego i podobno nabawiła się amnezji – nie może narzekać na brak męskiego towarzystwa. W ciągu miesiąca, który upłynął od tego wydarzenia, wyszło na jaw, że ma ona nie jednego, lecz dwóch eksnarczonych, obu rzuconych przed samym ołtarzem.*

*Od wyjazdu do Summer Harbor w Maine nie gardzi towarzystwem ostatniego z nich, Brada, jednocześnie żyjąc na kocią łapę z poprzednim chłopakiem, Zakiem Callahanem. Jakby tego było mało, randkuje z przystojnym miejscowym lekarzem Nickiem Donahue.*

*No cóż, amnezja – jeśli w ogóle ją ma – może okazać się najmniejszym z problemów panny Lovett.*

Z gardła Lucy wydobył się niekontrolowany pisk. Nie dość, że ją obrzucają błotem, to jeszcze robią z Zaca i Nicka marionetki w jej rękach. Poczowała się, jakby przypiekano ją żywym ogniem, i ucieszyła się, że siedzi tyłem do sali pełnej klientów, którzy co do jednego

niewątpliwie czytali ten poniżający artykuł!

Eden przejechała na sam dół, do dołączonych zdjęć. Oto Lucy wchodzi do „Przydrożnego Zajazdu” z Zakiem, który trzyma dłoń na jej talii. Stoi na parkingu przy restauracji, a obok Brad z rękami na jej ramionach. Wygląda to na chwilę czułości, a nie na kłótnię, czym było naprawdę. I z Nickiem, jak ściskają się na pożegnanie w sobotę wieczorem.

Co za mendy! Śledzili każdy jej krok! Teraz już wszyscy w Summer Harbor będą nią pogardzali. Chwyciła menu i zaczęła się wachlować.

Eden położyła dłoń na rękę Lucy zaciśniętą w pięść.

– Nikt i tak nie wierzy w to, co piszą tabloidy. Ale dobrze, że Charlotte wykupiła wszystkie gazety...

– Nie wykupi wszystkich gazet w kraju. A poza tym każdy może przeczytać artykuł w Internecie. – Spojrzała z bólem w oczach na koleżankę. – Zrobili ze mnie jakąś...

– Nic nie mów.

Lucy rzuciła menu na stół.

– Ale wszystko, co napisali, to prawda! Tylko przedstawili to w złym świetle i jeszcze podsunęli sugestię, że wcale nie mam amnezji! Co im się wydaje, że to zabawa? Dlaczego miałabym uprawiać takie gierki?

Eden pogładziła ją po ręce.

– Im tylko zależy na tym, żeby to ich durne czasopismo się sprzedawało, kochanie, i to wszystko.

– Dlaczego nie zgodziłam się na komentarz!

– To by im tylko dało więcej materiału do manipulacji. Nikt nie uwierzy w to, że naprawdę jesteś taka, jak cię odmalowali. W każdym razie nikt stąd. I przynajmniej dzięki temu ludzie będą dla ciebie miłsi... Współczują ci. Tu mają dobre serca. Będą cię wspierać. Zobaczysz.

Lucy musiała wziąć się w garść. W sprawie artykułu nic nie zdołała, może tylko trzymać głowę do góry, tak jak ją nauczyła mama.

Kiedy pojawiła się właścicielka knajpy z zamówieniami, Lucy odezwała się z przyklejonym uśmiechem:

– Pani Charlotte, dziękuję bardzo za skonfiskowanie gazet. Jestem wzruszona pani dobrym sercem.

– Nic takiego, złotko. No to teraz jedzcie na zdrowie.

Choć apetyt minął, zmusiła się do jedzenia. Eden usiłowała rozerwać ją rozmową o swoim ślubie, lecz Lucy trudno było się skupić. Już prawie miały wychodzić, kiedy rozległ się dzwonek nad drzwiami.

– O nie! – jęknęła Eden, patrząc ponad ramieniem koleżanki.

Lucy odwróciła się za siebie. Do knajpy właśnie weszli dwaj reporterzy.

Świetnie. Publiczne pranie brudów. Akurat tego potrzebuje – jeszcze więcej rozgłosu i plotek. Lucy skuliła się, żeby nie rzucać się w oczy.

– Chyba nie wiedzą, że tu jesteś. Myślę, że po prostu przyszli na śniadanie.

Może uda jej się niepostrzeżenie wyjść?

Lepiej niech się nie łudzi. Jedna sala, piętnaście stolików, a bejsbolówka to nie czapka niewidka.

– Wszystkie miejsca zajęte – zawołała Charlotte. – Muszą panowie udać się gdzie indziej.

– A tu są dwa stoliki wolne – zauważył jeden z dziennikarzy.

– Rezerwacja – odparła Charlotte, nawet nie patrząc. – Lepiej stąd idźcie.

– Słuchaj...

– To ty słuchaj. Tacy jak ty nie są tu mile widziani. Ani na śniadanie, ani na lunch, obiad czy kolację nie dostaniecie kawałka chleba. Jeśli jeszcze raz was tu zobaczę, przegonię was miotłą. A teraz spływać!

Lucy zerknęła za ramię. Charlotte z zaciętą miną wymachiwała szczotką do zamywania.

Mężczyźni, wściekli, wyszli, a goście dyskretnie zaklaskali. Lucy wypełniła satysfakcją.

Eden położyła jej rękę na dłoni i rzekła:

– No i co ci mówiłam? Głowa do góry, Lucy Lovett. Całe miasto stoi za tobą.



## Rozdział 26

Słyszając pukanie do drzwi, Zac powoli podniósł wzrok znad harmonogramu, nad którym właśnie intensywnie pracował.

Weszła Marci. A przynajmniej tak mu się wydawało, bo nie było jej widać zza potężnego bukietu.

– Przesyłka dla Lucy. Gdzie mam to postawić?

Zac zacisnął usta. Ach, czyli Nick uderza do niej w staroświeckim stylu. Ma chłopak pecha, bo Lucy jest uczulona na astry.

– Zostaw to tutaj. Dam jej, kiedy wróci do domu.

„Do domu? On naprawdę powiedział «do domu»?”

Podrapał się za uchem. Cudownie było ją tu mieć. Koszmarne było ją tu mieć. Nie wiedział, jak to możliwe, ale i jedno, i drugie było prawdą.

Po wyjściu kelnerki wrócił do harmonogramu, przesuając godziny pracy pracowników w tę i we w tę, uwzględniając konieczność opieki nad dziećmi, studia wieczorowe i drugie etaty. Słodki, mdlący zapach nieustannie mu przeszkadzał.

Sięgnął ręką i kręcił wazonem, póki nie trafił na wetkniętą w kwiaty kopertę. Było na niej tylko imię Lucy. Zaciekawilo go, co napisał Nick, lecz zaraz się skarcił. Co to ma za znaczenie? Przeszłość należy zostawić za sobą. Lucy musi to zrozumieć. Oboje muszą to zrozumieć.

Lucy po męsku zniosła gehennę, jaką urządziły jej media. To, co wydarzyło się w ciągu ostatniego miesiąca, załamałoby słabszą kobietę, ale Lucy była wyjątkowo silna. Zac był z niej dumny. Znalazła pracę i jutro przenosi się do swojego nowego mieszkania. Nadal był przekonany, że w obecnej sytuacji powinna jeszcze tu zostać, lecz ona podjęła już decyzję. Zac musi to uszanować. Była w końcu dorosłą kobietą.

I w dodatku nie jego.

Kwiaty i koperta znowu przyciągnęły jego wzrok. Kusilo go, żeby wszystko wyrzucić do śmieci. Lucy i tak nie będzie mogła trzymać ich w swoim pokoju.

„Opanuj się, Callahan”.

Wstał z krzesła i przestawił kwiaty na podłogę przed biurkiem, żeby nie kłuły go cały czas w oczy. Przepracował popołudnie, nadrabiając zaległości w papierach, wypełniając formularze ubezpieczeń pracowniczych i co jakiś czas biegnąc na zatłoczoną salę restauracyjną, żeby pomóc pracownikom, którym robota i tak paliła się w rękach. Na szczęście nie dosłownie.

Mijał czas. Kiedy rozległo się pukanie, Zac spojrzął na zegarek. Przez dwie godziny nie odrywał się od biurka. Pomasował kark i zawołał:

– Proszę!

Zza drzwi wysunęła głowę Lucy. Z wielkimi błękitnymi oczami oraz nieskazitelną cerą była naprawdę prześliczna. Kobiety nie powinny być aż tak ładne.

– Cześć. Marci powiedziała mi, że przyszła do mnie jakaś przesyłka. – Zanim skończyła mówić, dostrzegła bukiet na podłodze. – O! – wyrwało jej się. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki od uśmiechu. Weszła do biura, wnosząc ze sobą jabłkowy zapach.

Starając się uodpornić na jej pełen nadziei uśmiech, Zac poradził:

– Nie podchodź zbyt blisko. Chyba że chcesz kichać.

– Muszę jakoś przeczytać liścik, prawda?

Oczywiście, że tak. Otworzyła kopertę i wysunęła kartkę. Zac przygotował się psychicznie na to, że na jej usta wypłynie sekretny uśmiech. Tymczasem po przeczytaniu wiadomości Lucy spoważniała.

Złożyła kartkę i usiłowała wsunąć ją z powrotem do koperty. Ręce jej się trzęsły, więc szło jej to z pewnym trudem i ruchy robiły się coraz bardziej gwałtowne.

– Spokojnie – powiedział Zac, podchodząc do niej. – Co się stało?

– Nic – odparła, zaciskając kartkę w dłoni.

– Od Nicka?

– Nie.

Zmarszczył czoło, bo przyszło mu na myśl coś, co jeszcze mniej mu się podobało. Brad.

– Pokaż.

Sięgnął po liścik, ale Lucy nie puszczała.

– Nie wygłupiaj się! – Wyrwał jej kopertę z dłoni i wyciągnął nie do końca włożoną kartkę. Szybko przebiegł oczami tekst.

*>Nie mogę się doczekać, żeby znów cię zobaczyć.*

*Z uczuciem, Brad.*

Lucy skrzyżowała ręce na piersiach i zadarła brodę do góry w dobrze mu znanym geście mającym dodać jej odwagi. Poznałby się na tym, nawet gdyby nie widział niepokoju we wzroku.

– Nie rozumiem – powiedział. – Co cię tak zestresowało? Zapowiedź tego, że znowu się pojawi?

– Nie jestem zestresowana. – Podniosła kącki ust w delikatnym uśmiechu, ale to nie wymazało wyrazu zmartwienia z oczu.

– Ręce ci się trzęsą i zasysasz cały tlen z pokoju. Lucy, powiedz, o co chodzi.

Przez długą chwilę dzielnie znosiła jego wzrok, a w końcu się rozsypała.

Opuściła ramiona, wargi zaczęły jej drżeć. Potarła nos palcami.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego mną to wstrząsnęło.

Pomachał liścikiem.

– Nie ma tu nic złowieszczonego. Czy coś się może dzisiaj stało? Coś sobie przypomniłaś?

– Nie! I mam już dość tego pytania.

– To dlaczego zareagowałaś jak...?

– Nie mam pojęcia! Po prostu przeczytałam te słowa i poczułam dreszcz na plecach. Trochę się wystraszyłam. To nie ma sensu. Po prostu głupio się zachowuję.

Zac przyjrzał się jej uważnie. O Lucy można było powiedzieć wiele rzeczy, jednak na pewno nie to, że jest głupia czy nierozsądna.

– Nie, wcale nie. Może nie pamiętasz, ale coś w tobie pamięta. Musisz zawierzyć przecuciu.

Lucy delikatnie położyła dłoń na szyję z boku i wsunęła palce we włosy.

– Nie chcę go więcej widzieć.

– Musisz mu to powiedzieć.

– Już to zrobiłam!

Potarła nos.

Zac zmarszczył brwi. Zaczął go toczyć robak niepokoju. Może Lucy nie powiedziała tego

dość stanowczo. Może starała się dyplomatycznie oszczędzić uczucia byłego chłopaka.

– Apsik! Apsik! – rozległo się nagle.

Zac westchnął głęboko. Schwycił bukiet, wyniósł go z biura i z ogromną satysfakcją wrzucił do wielkiego kontenera na tylnej uliczce.

Kiedy wrócił, Lucy stała w holu i przecierała oczy chusteczką.

– Apsik! – Pociągnęła nosem. – Mogłeś dać je komuś innemu.

Miała przekrwione oczy i zaróżowiony czubek nosa, a i tak była najpiękniejszym zjawiskiem, jakie widział w całym swoim życiu.

Nękana przez eksnarzeczonego, śledzona przez gromadę reporterów. Wyobraził ją sobie samą w apartamentowcu „Zamglony Szczyt”. Pozbawiona bezpieczeństwa, z dala od przyjaciół. Co mogło powstrzymać zdesperowanego mężczyznę? Czy Bradowi naprawdę chodziło tylko o uczucia? Zac jakoś nie bardzo mógł w to uwierzyć.



Lucy przyłożyła chusteczkę do kącików piekących oczu. Nie potrafiła nawet opisać emocji, która opanowała ją na widok liściku. Nie miało to sensu, lecz naprawdę przeszył ją dreszcz strachu i od tej chwili nie mogła wyzwolić się od ciężaru obaw.

– Lucy – odezwał się Zac – myślę, że powinnaś przesunąć datę przeprowadzki.

Jego słowa wzbudziły strach, ale innego rodzaju. Taki, który dotykał serca. Który powodował, że czuła się, jakby jej klatka piersiowa się kurczyła.

Czy fakt, że Zac tak się o nią martwi, ma jakieś znaczenie? Czy to tylko przejaw jego dobrego serca?

„A czy ta różnica ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, Lucy?”

– Już o tym rozmawialiśmy – powiedziała.

– Wiem, że to nie jest idealne rozwiązanie. Ale choćby na ten czas, póki się wszystko nie uspokoi. Póki Brad nie usunie się na dobre. Póki dziennikarze nie wyjadą.

– Niektórzy już wyjechali.

– Ale inni są i śledzą każdy twój krok. A kto wie, czy Brad nie robi tego samego?

Zadrzała i pomasowała dłonią napięte mięśnie klatki piersiowej.

– Nie chcę cię straszyć, ale ja mu nie ufam. Tak go odbieram i ty, jak widzę, również.

Miał rację, dobrze o tym wiedziała. Logika mówiła, że bezpieczniej jest zostać. Lecz serce błagało, żeby odeszła, mimo że te szare oczy kompletnie ją urzekały.

Pokręciła głową.

– To może wynajmiesz jakieś inne mieszkanie? W centrum, gdzie...

– Nie mogę sobie na to pozwolić.

– A na ryzyko możesz sobie pozwolić? Nie mamy pojęcia, do czego zdolny jest Brad. Tylko na kilka tygodni, Lucy. Wiesz, że mam rację.

Miał rację. Rozsądek też jej to podpowiadał. Nie można powiedzieć, że wspólnie mieszkają. W końcu są na różnych piętrach! Będąc w domu, Lucy może nie wychodzić ze swojego pokoju.

„Jakiego znowu domu! Lucy, to nie twój dom. Przestać tak myśleć”.

– Wiesz, że tak będzie lepiej dla ciebie. Ja będę siedzieć u siebie, a ty u siebie. Jesteśmy dorośli. Możemy dotrzymać tego układu. W końcu udaje nam się to od miesiąca.

Naprawdę? Ona wciąż go kochała. Nadal wystarczyło jedno jego spojrzenie, by ją zranić. A teraz jego spojrzenie, takie, jakby mu na niej zależało, trafiało ją prosto w serce, budząc

nadzieję.

Lecz na tej drodze czekały ją tylko ciernie.

Zmusiła się, by odwrócić oczy. Nie będzie na niego patrzeć. Nie będzie się do niego zbliżać. Ile jeszcze ten Brad może się tu kręcić? Mieszka i pracuje w mieście odległym o trzy godziny jazdy. A ona nie jest pucharem zwycięstwa, za którym by tęsknił po wieczne czasy.

– Dobrze – powiedziała, patrząc na swoje pomalowane na różowo paznokcie widoczne przez dziurki w pantoflach. – Zostanę jeszcze trochę. Dziękuję ci za gościnność.

Odwróciła się i odeszła, zanim Zac zdołał się odezwać.

Lucy musi po prostu wbić Bradowi do głowy, że między nimi już koniec. Reporterzy niedługo się znudzą i wyjadą, a wtedy ona będzie mogła wrócić do normalnego życia. Dziwne, że ta myśl wcale nie wywołała spodziewanej radości.

## Rozdział 27

**N**ieco późniejszym wieczorem, kiedy Lucy rozwieszała na nowo ubrania spakowane do przeprowadzki, zadzwonił telefon. Sprawdziła, kto dzwoni, i wyświetliło się imię Nicka.

– Cześć, Nick – powiedziała i uśmiechnęła się z trudem.

– Cześć, Lucy. Jak ci minął dzień?

– Nie najgorzej. W biurze coraz więcej pracy. Nie mam wolnej chwili, ale to dobrze.

– Lato w pełni. W ten weekend ma być piękna pogoda. Pomyślałem, że moglibyśmy z tego skorzystać. Wyjechać nad Jezioro Ech, zrobić sobie piknik.

– Wiesz, to całkiem niezły pomysł. – Przyszło jej do głowy pytanie, czy uda im się wyjechać tak, żeby nikt ich nie śledził. Wyjęła buty z pudła i poustawiała je równo na dnie szafy.

– Znasz kogoś, kto ma jutro pół dnia wolnego? Bo chętnie by ci pomógł w przeprowadzce.

Lucy zatrzymała się w pół ruchu, z sandałkami od Kate Spade w dłoni.

– Mógłbym nawet pojechać z tobą do Portland, żebyśmy odebrali twoje rzeczy z magazynu.

Rozumiesz, cała przeprowadzka jednego dnia. Co ty na to?

– Och, Nick...

– Wiem, że niedługo się znamy, ale pomyślałem, że przyda ci się pomoc. A poza tym mam kumpla, który ma przyczepkę.

Lucy zacisnęła mocno palce wokół telefonu.

– Nick... Ja się nie przeprowadzam. To znaczy chwilowo nie. Za dużo się dzieje, ci reporterzy i w ogóle. Na pewno widziałeś wczoraj artykuł w tym szmatławcu... wszyscy go widzieli. Jestem śledzona.

– Ale teraz zostało tylko paru, prawda? Za tydzień już ich nie będzie.

– Wiem, ale... – O rety, wcale nie chciała tego z nim omawiać. – Nie chodzi tylko o dziennikarzy. Okazuje się, że mój eksnarzeczony... no, Brad...

„Jakie to żałosne, że ta rzecz wymaga dodatkowych wyjaśnień” – pomyślała i ciągnęła dalej:

– Widzisz, on nie zrezygnował. To znaczy wszystko między nami skończone, ale jak wiesz, był tu w weekend i...

– Tak, widziałem zdjęcie – przyznał tonem niemal sarkastycznym.

– Wcale nie było tak, jak wyglądało. On... wystraszył mnie. A dziś przysłał kwiaty.

– Przysłał ci kwiaty?

– Powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć, ale on nie przyjmuje tego do wiadomości.

– Lucy...

– Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

– Aha, więc oddałaś się pod opiekę poprzedniemu narzeczonemu.

Powiedział to zwykłym tonem, ale te słowa i tak ją zabolowały. Poczucie winy?

– To nie fair – szepnęła. – Wcale nie jest tak, jak sugerował artykuł.

Nick zrobił długi wydech.

– Nie osądzam cię, Lucy. I nie daję wiary plotkarskim gazetom.

– Przepraszam. Artykuł nie przedstawiał cię w dobrym świetle. Pewnie wbito ci niejedną szpilę z tego powodu.

– Skąd wiesz, co naprawdę czujesz do tego Brada, skoro nie pamiętasz waszego związku? Miałaś wyjść za niego za męża.

– Rzuciłam go przed ślubem.

– Słuchaj... – westchnął i zamilkł. – Dla mnie to trochę za dużo. Lubię cię, lubię twoje towarzystwo. Ale teraz w twoim życiu wiele się dzieje. Nic dziwnego, że jesteś zdezorientowana.

– Nie jestem zdezorientowana. – Dlaczego wszyscy jej to wmawiają? Dobrze wie, czego chce. Kogo chce.

Problem w tym, że on jej już nie chce.

– Ale mówiłam ci, że nie jestem gotowa na żadne randki. Że chcę, byśmy byli przyjaciółmi.

– Tak, ale miałem nadzieję, że to może się zmienić. Lubię cię.

Lucy ustawiła buty w rzędzie koło pozostałych. Bała się tego, powinna była posłuchać swojej intuicji.

– Miałem kiepskie wyczucie czasu.

– Przepraszam, jeśli wprowadziłam cię w błąd.

– Nie wprowadziłaś. Może powinniśmy chwilowo zrobić sobie przerwę? Masz wystarczająco dużo komplikacji na głowie i następna nie jest ci potrzebna.

Święta racja. Roześmiała się smutno.

Rozmawiali jeszcze kilka minut i Lucy do końca rozpakowała pudło z butami. Prawdę mówiąc, Nick nigdy nie będzie miał szans na nic więcej niż przyjaźń, bo jej serce już było zajęte.

## Rozdział 28

**Z**ac przesunął stół na miejsce służące jako scena, a potem ze schowka wyjął mikrofon na stojaku. Zgodził się gościć i sponsorować aukcję na rzecz wyposażenia nowej remizy. Strażacy przenieśli się ze starego budynku do nowego i trzeba było go urządzić. Paige miała prowadzić całą imprezę. To cel godzin wysiłków.

O wilku mowa... Właśnie wyszła z jego biura, gdzie ukryła kosze piknikowe. Ponieważ chętni mieli licytować w ciemno, należało utrzymać w tajemnicy nazwiska właścicielek koszy – choć i tak niewątpliwie niektóre pary będą cyganić.

Dwuosobowe stoliki stały przygotowane na plaży, na rynku i na tarasie jego restauracji. Jak tylko mężczyźni wylicytują kosze i dowiedzą się, kim są ich partnerki, pary udadzą się na romantyczny lunch.

– Świetnie wyglądasz, Zac – powiedziała Paige. – Sarah i Lauren ulokowały się przed drzwiami, żeby odbierać kosze.

– Myślisz, że warto jeszcze dostawić stolików?

– Jeśli będzie więcej koszy, niż się spodziewamy, to zawsze możemy to zrobić. Mam nadzieję, że tak będzie. Żeby zdobyć tyle pieniędzy, ile potrzebujemy, musi być wielu chętnych.

Zac zamocował mikrofon na stojaku.

– Wszystko uda się świetnie. Wiesz dobrze, że całe miasto przyjdzie z pomocą.

Do restauracji weszli Beau, Eden oraz ciotka Trudy. Przywitali się i wzięli się do pomocy w ustawianiu stolików.

– No tak... – westchnęła Paige kilka minut później. – Czyj koszyk będziesz licytować, Zacu?

– Nic z tego. Niczego nie licytuję.

Paige podparła się pod boki i powiedziała stanowczo:

– Musisz! Jesteś sponsorem czy nie?

– Jestem. Właśnie wykonuję swoje zadanie.

– Chodzi mi o to, że powinieneś dać przykład. Licytować często i wysoko.

Zac zmrużył oczy i przyjrzał się uważnie dziewczynie.

– Ostatnim razem, kiedy to mówiłaś, zostałem wmanewrowany w lunch z Myrtle Franke.

– Która jest bardzo miłą kobietą – wtrąciła ciotka Trudy.

Zac obrzucił ją wzburzonym spojrzeniem.

– Uszczypnęła mnie w tyłek. Dwa razy.

Beau prychnął i natychmiast, widząc wzrok Zaca, zakrył sobie dłonią usta.

– Jestem pewna, że nie miała na myśli nic złego – stanęła w jej obronie ciotka Trudy. – Ma ponad osiemdziesiątkę, więc czasem jej się miesza w głowie.

– Miesza w głowie, niech to...

– Powinieneś licytować koszyk pani Trudy – odezwała się Eden, spoglądając znacząco na ciotkę. – Jeśli lubisz jaja na ostro, kanapki z pieczoną wieprzowiną...

– La la la la – zanuciła Paige, zasłaniając uszy. – Nic nie słyszałam.

– ...i szarlotkę – dokończyła Eden. – Wiem, że lubisz szarlotkę.

– Ale ja... w porządku, licytuj mój koszyk – powiedziała ciotka Trudy. – Może to uchroni

mnie od następnego krępującego lunchu z szeryfem Coltonem.

– No... może. – Wcale nie miał zamiaru narazić się szeryfowi, ale przyznawał Paige słusność w kwestii dawania przykładu. – Dobrze, będę licytował.

Eden, rozpromieniona, zaklaskała w ręce.

– No to ustalone. Idę spojrzeć, czy Lucy nie potrzebuje pomocy przy koszyku.

No tak, Lucy też daje koszyk. Czy nie będzie zabawnie przyglądać się, jak Nick walczy z kimś o lunch z jego uroczą Georgianką?

Zac zacisnął mocno oczy. „Już nie twoja, Callahan”. Westchnął i wrócił do dekorowania stolików, starając się nie zwracać uwagi na bolące serce.



Lucy odchyliła się na oparcie krzesła, przyglądając się, jak Beau wręcza licytowany koszyk i odbiera następny od Sary Porter. Doskonale sobie radził jako mistrz ceremonii. Sala była nabita, w powietrzu czuło się aromat kawy i nutę męskiej adrenaliny.

Zostało już kilka koszyków. Wszyscy żartowali i śmiali się, gdy panowie przelicytowywali się, często sobie na złość. Beau podgrzewał atmosferę dowcipnymi komentarzami. Lucy obawiała się, że aukcja koszy piknikowych to już przeżytek, tymczasem okazała się istnym strzałem w dziesiątkę. Zabawnie było przyglądać się emocjom i interakcjom ludzkim.

Jeżeli chodzi o stawkę, prowadził Dylan Moore. Zapłacił dziewięćdziesiąt dolarów za koszyk Paige. Nawet gdyby nie rozpoznała torby izotermicznej, natychmiast zidentyfikowałaby jej właścicielkę po tym, jak zaczerwieniła się po uszy, kiedy przystojny Dylan stanął do licytacji.

– Ten piękny kosz to pewny zwycięzca – powiedział Beau do mikrofonu. – W środku same pyszności: smażony kurczak, sałatka z ziemniaków i mniem mniem, ciasto z kremem czekoladowym. Moje ulubione. Macie pecha, panowie, bo kosz przypadnie mnie. Zaczynam i kończę licytację nowiutkim banknotem pięćdziesięciodolarowym. Dziękuję bardzo.

Rozległy się gwizdy, a Eden uśmiechnęła się szczęśliwa do narzeczonego.

– Beau! – skarciła go Paige ze swojego miejsca pod ścianą.

Beau teatralnie wzruszył ramionami i podał koszyk, żeby zniesiono go ze sceny.

– Przechodzimy do następnego – powiedział Beau z przebiegłym uśmiechem. – Hm, co my tu mamy?

Na widok swojego kosza Lucy przyspieszył puls. A jeśli nikt nie zechce go licytować? To byłoby poniżające.

Beau przeczytał dołączoną karteczkę:

– Kanapki z pieczoną wieprzowiną, jaja na ostro i szarlotka. Wygląda na to, że jakiś szczęściarz będzie miał pyszny lunch. Zacznijmy od dziesięciu dolarów. Kto wchodzi do aukcji?

Cisza. Lucy ukradkiem rozejrzała się po sali i poczuła, że ze wstydu pieką ją policzki. W końcu, po jakimś strasznie długim czasie, Zac podniósł rękę i powiedział:

– Dziesięć dolarów.

Serce Lucy gwałtownie podskoczyło. Utkwiła wzrok w profilu Zaca. Dlaczego licytuje jej koszyk? Może nie wie, że to jej. Ale żadnych innych nie licytował. Z płonącymi policzkami odwróciła głowę.

– Dwadzieścia! – zawołał Eddie z warsztatu.

Beau podniósł koszyk, powąchał i oznajmił:

– Pachnie bardzo apetycznie. Myślę, panowie, że zasługuje na więcej.



– Dwadzieścia pięć – rzucił Zac.

– Trzydzieści!

Zac zacisnął usta.

– Trzydzieści pięć! – zawołał ktoś zza pleców Lucy.

– Spójrzcie tylko na tę wstążkę – zachęcał Beau. – Jeśli ta niewiasta tak bardzo przyłożyła się do udekorowania koszyka na zewnątrz, to pomyślcie tylko, co może być w środku! Wyciągajcie portfele, chłopaki. Już niewiele koszyków zostało.

– Czterdzieści – zawołał Zac.

Lucy przygryzła wargę, a serce zaczęło bić, jakby wrzuciło przerzutkę. Co się dzieje? Zmienił zdanie na jej temat? A właściwie na ich temat?

– Czterdzieści pięć – przebił Eddie.

– Pięćdziesiąt! – zawołał głos z tyłu.

Zac uderzył dłonią w stół.

– Sto! – I odwrócił się, obrzucając Eddiego oraz tego drugiego zimnym spojrzeniem.

Ludzie, zachwyceni rozwojem wypadków, nagle zaczęli bić brawo.

– Sto po raz pierwszy, po raz drugi... I koszyk przechodzi na własność Zaca Callahana za kwotę stu dolarów.



Zac przecisnął się do przodu, żeby odebrać koszyk ciotki Trudy. Ona pewnie będzie wolała usiąść na placu w cieniu drzewa. Bardzo dobrze. Chciał znaleźć się jak najdalej od Nicka i Lucy. Nick zapłacił tylko trzydzieści pięć dolarów za przyjemność bycia w jej towarzystwie. Taniocha.

Zac sięgnął po koszyk ozdobiony marszczoną białą wstążką. Spod wieka wystawał kokieteryjnie róg serwetki w czerwono-białą kratkę. Z koszem w ręku rozejrzał się, szukając wśród rozpraszającego się już tłumu ciotki. Stała w kącie na drugim końcu sali razem z Beau i Paige. Czasami przewyższanie wszystkich o głowę okazuje się niesamowicie przydatne.

Napotykając wzrok ciotki, podniósł rękę i ruszył z miejsca... o mało nie przewracając Lucy.

Złapał ją za ramię.

– Przepraszam! – Dlaczego zawsze na nią wpada?

– Drobiazg.

Stała, tarasując mu drogę, z miną skrepowaną i niepewną, i wyglądała prześlicznie.

– No to... – powiedział.

– No tak.

Pokazał koszyk.

– Muszę iść do ciotki Trudy.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zjemy to na tarasie.

Powiedzieli to jednocześnie.

Dopiero po momencie dotarły do niego te słowa. „Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zjemy to na tarasie”.

Czyli to... koszyk Lucy?

Spojrzał jej w oczy z nadzieją, że się myli. Minęła dłuższa chwila. Zac poczuł, że ma w żołądku tonę ołowiu. Zabije Eden. I ciotkę Trudy.

Uśmiech zniknął z twarzy Lucy i jej oczy straciły blask.

– Och – powiedziała tylko.

– To nie jest...

Uśmiechnęła się niepewnie.

– Myślałeś... Nie, to mój koszyk.

– Och.

Spoważniała i odwróciła oczy.

– Nie musisz...

– Powinniśmy chyba...

Odezwali się jednocześnie.

– ...zjeść na tarasie – dokończył. – Wiesz, dziennikarze.

– Dobrze. W porządku.

Wyszli na taras i Zac zmrużył oczy w silnym słońcu. Ma talent do pakowania się w kłopoty.

Ale to wina Eden i ciotki Trudy.

„To tylko lunch”. Może przecież siedzieć naprzeciw Lucy i prowadzić niezobowiązującą rozmowę. „To cel godzin wysiłków”, powtarzał sobie raz po raz.

Wybrał stolik koło barierki i położył koszyk na krześle. Nikt inny nie usiadł na tarasie, ale niedaleko na plaży stało kilka stolików, jeden nawet na płaskim klifie, na który wspinała się młoda para. Znał ich z kościoła.

Lucy wyciągnęła obrus, który zaraz zaczął szarpać wiatr. Dziewczyna miała czerwone policzki i zagryzała dolną wargę.

„Ależ ze mnie idiota”, pomyślał Zac. Znowu zrobił jej przykrość. Pomógł jej położyć obrus na stole i odezwał się:

– Przepraszam...

– Wszystko w porządku – przerwała mu, nie podnosząc oczu.

– Myślałem, że to...

– Wiem. Nic się nie stało. – Uśmiechnęła się na przekór sobie, wygładzając niewidoczne zmarszczki na płótnie. – To tylko lunch, i cel godzin wysiłków. Zebrało się masę pieniędzy na nową remizę. I muszę przyznać, że zabawnie było patrzeć, jak szeryf Colton zacięcie walczy o koszyk pani Trudy.

Zac dziwił się, że szeryf nie staje do licytacji o kosz ciotki. Pomyślał, że pewnie nie wie, który jest jej. A tymczasem okazało się, że to on nie wiedział.

– Marshall ostro z nim rywalizował. – W czasie licytacji twarz szeryfa czerwieniała coraz mocniej. Sama jego oferta przyniosła remizie zysk wysokości ponad stu dolarów.

– A co to za facet zdobył koszyk Paige? Ciemne włosy, krępy...

– Dylan Moore. Poławiacz homarów w czwartym pokoleniu. – Zac nie przeoczył spojrzenia, jakie chłopak posłał Paige, ani głębokiego rumieńca na jej twarzy. Miał nadzieję, że między nimi nic nie ma. Nie zniósłby tego, gdyby Paige znowu złamała Rileyowi serce.

Wygładziwszy obrus, Lucy sięgnęła po jedzenie, i Zac pomógł jej wszystko powyjmować. Jajka były umieszczone w specjalnym pojemniku, a pieczona wieprzowina znajdowała się w kamiennym garnku, który trzymał ciepło. Obok, osobno, świeży chleb z delikatesów. Lucy włożyła dużo starań, ale wcale nie dla niego.

– Nick się pomylił? – spytał Zac. Lekarz licytował zupełnie inny koszyk.

Lucy usiadła naprzeciw Zaca.

– Jesteśmy z Nickiem tylko przyjaciółmi.

– Aha. – Zac poczuł, że ciężar w żołądku nagle się zdematerializował. Za to zakłuło go w okolicy serca.

„Nie, nie, nie. Nie ma się z czego cieszyć, Callahan”.

Zabrali się do jedzenia. Wieprzowina była przepyszna, pikantna. Jaja na ostro doskonale doprawione. Może Lucy miała nadzieję na nową znajomość. Na spotkanie kogoś, kto by odpowiedział na jej miłość.

– Ależ to dobre, Lucy. Musiałaś się napracować.

Podniosła oczy i te dwa jeziora błękitu schwyciły go z siłą fali wstecznej. Zatonął w nich i nie mógł sobie wyobrazić przyjemniejszego tonięcia. Podmuch wiatru przyniósł jabłkowy zapach Lucy. Pachniała jeszcze ładniej niż pieczona wieprzowina. Bez porównania ładniej.

Napięcie zaczęło się ulatniać i Lucy przestała siedzieć wyprostowana jak struna.

– To żaden trud. Zrobiłeś dla mnie bardzo wiele. Nie wiem, jak mam ci za to dziękować. Tymczasem ja sprawiałam ci tylko kłopoty. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, a już szczególnie nie musisz zapewniać mi miejsca, gdzie mogłabym złożyć głowę. – Jej usta przez chwilę poruszały się bez słowa, i w końcu ułożyły się w lekki uśmiech. – Dobry z ciebie człowiek, Zacu Callahanie.

Serce zatrzepotało w jego piersi. Naprawdę zatrzepotało!

Lucy zbyt wielkodusznie go ocenia, biorąc pod uwagę, jak on ją traktuje od czasu, gdy się tu wprowadziła. Chrząknął.

– Czy miałaś wiadomości od swojego, ekhm, eksnarzeczonego?

Lucy zamrugnęła i skubnęła palcami kanapkę.

– Eee... nie. Nic nowego odkąd przysłał kwiaty. Odesłałam mu pierścionek zaręczynowy.

– To dobrze. Może to do niego przemówi. Zauważyłem, że znowu ubył dziennikarzy. – Łyknął mrożonej herbaty brzoskwiniowej z butelki. – A udało ci się rozwiązać umowę najmu mieszkania?

– Państwo Ferrise zatrzymają go dla mnie jeszcze przez miesiąc. To bardzo miło z ich strony.

– To dobrzy ludzie. Myślisz, że miesiąc wystarczy?

– Mam nadzieję, że te pijawki nie będą mnie dłużej nękać!

Patrzył, jak Lucy je kanapkę, i wspominał rozpacz po jej odejściu. Stawał na głowie, żeby ją odnaleźć. Powiedział sobie, że szuka tylko odpowiedzi, dlaczego to uczyniła, ale dobrze wiedział, że to coś znacznie więcej. Że pragnie, by wróciła. I gdyby wiedział, jak ją znaleźć, próbowałby szczęścia na pewno dłużej niż przez miesiąc.

– Zobaczymy – powiedział. – A jak praca?

– Świetnie. Lubię pracować z ludźmi, pomagać im zaplanować wakacje, żeby właściwie spędzili czas.

– Na pewno jesteś w tym dobra. – Wytarł usta. – Myślisz, że przyda ci się jeszcze kiedyś twoje wykształcenie socjologiczne?

Spuściła wzrok na talerz.

– Nie mam pojęcia. – Przygryzła wargę i przez ułamek sekundy spojrzała mu w oczy. – Czasami myślę o tym, żeby otworzyć świetlicę środowiskową... Miejsce, gdzie dzieci mogłyby chodzić po szkole i w czasie wakacji. W wielu rodzinach pracują oboje rodzice i dzieci nie mają co ze sobą zrobić.

– A co byś tam planowała?

– Boisko do koszykówki, może stoły do ping-ponga. Może stoły do gier planszowych i układania puzzli, może miejsce do oglądania filmów. No i cichy kącik do odrabiania zadań domowych.

Oczy jej się świeciły, gdy o tym mówiła.

– I chciałabym, żeby dorośli przychodzili w ramach wolontariatu opiekować się dziećmiakami. Wiesz, to mogłoby być miejsce prawdziwych spotkań między ludźmi. – Spuściła wzrok i dodała:  
– To pewnie tylko głupie marzenia.

– Ależ skąd – zaprotestował, pochylając się do przodu. – Pewnie widziałas nastolatków kręcących się koło „Zajazdu”. Szeryf cały czas narzeka na rozrabiającą młodzież. To nie chuligani, ale świrują z nudów. Taka świetlica środowiskowa to mogłoby być rozwiązanie! Zakręć się wokół tego.

– Jasne! – prychnęła. – Po prostu pójde do banku wziąć kilka milionów pożyczki.

– Nie powinnaś...

Urwał, bo nagle dobiegł ich jakiś głos. Donośny. Zac przekrzywił głowę i zaczął nasłuchiwać. Głos dochodził zza rogu „Przydrożnego Zajazdu”.

– Może nie powinieneś był mnie zostawiać!

– Ależ to była liga narodowa, Trudy! A ja byłem tylko wiejskim chłopakiem. Jak mogłem odrzucić taką okazję?

Lucy i Zac spojrzeli na siebie.

– Obiecałeś mi! – powiedziała ciotka Trudy. – Ale ja powinnam być mądrzejsza i nie wierzyć w twoje obietnice, Danny.

– Ja jestem winny? Ledwie wyjechałem, a ty wyszłaś za męża za kogoś innego!

– Nie będę tu siedzieć i wysłuchiwać impertynencji!

– Proszę bardzo. Więcej zostanie dla mnie.

– Koszyk zabiorę ze sobą.

– Zapłaciłem za niego.

– Świetnie. Smacznego!

Zapadło milczenie. Lucy siedziała z szeroko otwartymi oczami.

Zac skrzywił się. Miał wrażenie, że szeryf ma teraz lunch na koszuli.

Ciszę przerywały tylko fale obmywające brzeg i krzyk mew.

– O rety – odezwał się Zac.

Lucy pochyliła się ku niemu.

– Czyżby chodzili ze sobą?

– Pierwsze słyszę.

– Nigdy ci nie powiedziała?

– Nie. – Jak to możliwe, że nie miał o tym pojęcia? Przecież powinny krążyć plotki.

– A teraz chce odzyskać swoją pierwszą miłość – westchnęła Lucy z rozmarzoną miną. – Och, jakie to romantyczne. Musimy coś z tym zrobić.

Zac podniósł ręce do góry.

– Tylko nie to. Nie mam zamiaru wpychać palców między drzwi. A zanim ty to zrobisz, muszę ci uświadomić, że teraz szeryf ma na sobie krawat z sałatki ziemniaczanej.

Wargi Lucy drgnęły i Zac z trudem zmusił się do oderwania od nich oczu. Nie da się namówić na swatanie ciotki z szeryfem. Ma mnóstwo problemów z własnym życiem miłosnym.

## Rozdział 29

**L**ucy przedarła się przez gromadę reporterów, nie odpowiadając na żadne pytania. Krew ją zalewała i szczęki bolały od zaciskania zębów przez cały dzień.

Kiedy weszła do restauracji, zapach pikantnych skrzydełek zaatakował jej nos. Przy kilku stolikach siedzieli klienci, czekając na kolację, a szafa grająca ryczała na cały regulator jakąś piosenkę country. Lucy rozejrzała się w poszukiwaniu Zaca. Stał za barem i układał kieliszki.

Natychmiast podeszła do niego i uderzywszy otwartymi dłońmi w kontuar, powiedziała:

– Musisz porozmawiać z ciotką.

Zac odwrócił się, ogromnie zaskoczony.

– Ja również mówię ci dzień dobry. Jak minął dzień?

– Powiem ci, jak minął dzień. Zupełnie tak samo jak wczoraj. I przedwczoraj. I przedprzedwczoraj. Twoja ciotka wszędzie za mną chodzi, cud, że do łazienki mogę iść sama. Czepia się mnie za bałagan w broszurach i na wystawie flory i fauny – który, zresztą, nie jest moim dziełem. Podważa mój autorytet wobec klientów, cały czas łązi za mną z tą swoją przekłętą ścierką i pucuje to, co ja właśnie wyczyściłam. Oszaleję przez nią!

Zac uniósł nieco brew. Kącik ust zaczął mu najwyraźniej drgać.

– Nie uśmiechaj się złośliwie! Musisz coś zrobić. Od tej kłótni z szeryfem jest po prostu nie do wytrzymania.

– Bardziej niż zwykle?

– Nie wytrzymam następnego dnia – powiedziała Lucy, przeszywając Zaca wzrokiem.

– Dojdzie do siebie. Teraz po prostu jest zestresowana. Okaż trochę cierpliwości.

Cierpliwości? Lucy zmrużyła oczy i odparła:

– Byłam cierpliwa przez cały tydzień. Robiłam wszystko, o co mnie poprosiła, i robiłam to z uśmiechem. Ale ona i tak przy każdej okazji wbijała mi szpilę.

Zac położył tacę z kieliszkami na półkę i spytał:

– A co ja mogę zrobić?

– Porozmawiaj z nią. Porozmawiaj z szeryfem Coltonem. Zrób coś!

– Lucy... to nie nasza sprawa. Powinniśmy trzymać się z dala.

Nachyliła się nad kontuarem, złapała Zaca za koszulę na piersiach i przyciągnęła do siebie.

– Zrób. Coś.

Spojrzał jej w oczy.

Lucy owinął jego korzenny zapach. Cała złość z niej wyciekła, zupełnie jakby ktoś otworzył zawór. Zrobiła głęboki wydech i opuściła ramiona.

W oczach Zaca mignęło coś, co przyspieszyło jej puls, i Lucy zmiękła, zupełnie jak masło na słońcu.

Oddech Zaca musnął jej czoło, pobudzając wszystkie komórki. Nogi się pod nią zatrzęsły, grożąc utratą równowagi.

Puściła chłopaka i wygładziła zagniecenia na bawełnianej koszuli.

– Przepraszam cię. Trochę mnie poniosło.

Zac uśmiechnął się jedną stroną ust, co natychmiast przyciągnęło jej wzrok, i powiedział:

– To trudna kobieta.

Lucy skinęła głową. Nie była w stanie wydusić słowa ze ściśniętego gardła. Palce same wyciągały się, żeby pogłodzić brodę Zaca, dotknąć jego pulchnej dolnej wargi.

– Ale ma dobre serce – dodał ściszym tonem. – Nie chce nikogo urazić.

– Wiem, tylko że... – Moment, czy oni na pewno rozmawiają jeszcze o pani Trudy?

Oderwała wzrok od jego warg i spojrzała mu w oczy. Nie była pewna, co gorsze. Wiedziała tylko jedno, że chciałaby, żeby cały czas tak na nią patrzył. Do utraty tchu pragnęła poczuć jego wargi na swoich. Pragnęła jego ramion wokół siebie, jego obrączki na palcu. Tej, której nigdy nie nosiła.

Tej, której już nigdy nie będzie nosić. Pewnie sprzedał ją w lombardzie, gdy tylko Lucy znikła.

Ta myśl napełniła ją smutkiem. Nagle nogi zrobiły się tak słabe, że nie mogły jej utrzymać. Usiadła na stołku barowym, nie przestając patrzeć Zacowi w oczy.

– Telefon! – zawołał jeden z kelnerów.

Lucy nie słyszała dzwonienia.

Zac odsunął się o krok.

– Porozmawiam z ciotką.

– Dziękuję – mruknęła, żałując, że przeszła jej złość. Bo teraz czuła tylko przejmującą pustkę, której nie miała czym zappełnić.



Zac zastukał mocno dwa razy w siatkowe drzwi i je otworzył.

– Puk, puk! – zawołał w progu.

W całym domu unosił się smakowity zapach pieczeni, a w telewizorze leciał jakiś serial. Siatkowe drzwi zamknęły się z brzdękiem.

Ciotka Trudy spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi z fotela, w którym siedziała z robótką. Druty tylko migały jej w rękach.

– Czego chcesz?

– Wpadłem zobaczyć się z moją ulubioną ciotką.

– Hmm.

– Gdzie Beau?

– Gdzieś z Eden. Pewnie wymyślają, jak pozbyć się mnie z domu, żeby mogli mieszkać w doskonałej zgodzie i harmonii.

Zac usiadł na sofie.

– Ależ, ciociu Trudy, uwielbiają twoje towarzystwo.

– Tak mówią teraz, ale wiesz, jak to jest. Para nowożeńców nie będzie chciała mieć na karku starej wdowy.

– Nie jesteś stara i to ty ich ze sobą związałaś przez te figle z jemiolą.

– No cóż, nie spodziewałam się, że to do tego doprowadzi!

Zac stłumił uśmiech.

– Do czego? Do tego, że twój bratanek jest szczęśliwy jak skowronek? No, ciociu Trudy, czas z tym skończyć.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedziała i zwiększyła tempo tak, że trudno było

nadażyć wzrokiem za drutami.

– Mówię o tobie i szeryfie Coltonie.

Spojrzała na niego zabójczo.

– A co, wielkie nieba, on ma z tym wspólnego?

– W sobotę podsłuchałem waszą kłótnię. Mój stolik był zaraz za rogiem.

Druty zatrzymały się w pół ściegu, usta pani Trudy rozluźniły się i oczy lekko zmrużyły. Ale w następnej sekundzie palce z powrotem wróciły do pracy, a usta zacisnęły się ponownie.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, że chodziłaś z szeryfem?

– To było dawno.

– Nie na tyle, żeby ci przeszło.

– Nie bądź śmieszny. Oczywiście, że mi przeszło.

– Naprawdę?

Druty zadźwięczały, poruszane wprawnymi palcami. Tempo jeszcze się zwiększyło, jeśli to możliwe. Twarz pani Trudy zbladła i pogłębiła się zmarszczka między brwiami.

Zac pochylał się i położył dłoń na ręce ciotki, zatrzymując jej ruch.

– Ciociu Trudy... czy ty go kochałaś?

Podniosła wzrok i w jej błękitnych oczach ujrział coś, czego nigdy nie widział. Słabość. Jego serce zmiękło.

– Dlaczego nikt o tym nie wie?

Pani Trudy pokręciła głową, nie odrywając oczu od puchatego niebieskiego kwadratu.

– Tato go nie akceptował. Jego ojciec był pijakiem, a rodzina klepała straszną biedę.

– Razem chodziliście do szkoły.

Kiwnęła energicznie głową.

– W ostatniej klasie o mało nie wyleciał ze szkolnej drużyny koszykówki, ponieważ miał kiepskie stopnie. Poduczałam go matematyki... no i tak to się zaczęło.

– I nikt o tym nie wiedział?

Przez dobrą minutę nie odpowiadała. A kiedy Zac już nabrał przekonania, że wcale się nie odezwie, zaczęła mówić:

– Nikt oprócz mojej przyjaciółki, Annabelle. Pierwszego roku w lecie wymykałam się, żeby się z nim spotykać. Wtedy już mama nie wstawała z łóżka i opiekowałam się nią na okrągło. A jesienią Danny poszedł na studia. Podejrzewam, że zrobił to dla mnie. Bardzo chciał zyskać aprobatę taty, chciał móc oficjalnie ze mną chodzić. Bardzo za nim tęskniłam, gdy wyjechał, ale czekałam na niego. Żyłam myślą o wakacjach. Dobrze sobie radził w drużynie koszykówki i kiedy myślałam, że wreszcie wraca na dobre do domu i do mnie, dostał się do Celtics.

– I zostawił cię.

– Wyobrażasz sobie, jaka byłam wtedy wściekła. Nawet nie powiedział mi, że chciałby grać zawodowo. A ja tkwiłam w domu, z mamą, a potem... no, teraz to nieważne.

Zac otulił dłoń ciotki swoją dłonią i powiedział:

– Ależ ważne. Teraz on tutaj jest na dobre i nic was nie dzieli.

Przesunęła palcem pod okiem.

– Dla nas jest już za późno. Poza tym są jeszcze inne rzeczy, o których nie zamierzam ci mówić, więc lepiej daj spokój. Wyszłam za twojego wuja, Toma, i nie żałowałam tego ani przez chwilę.

Ale nadal kochała Danny'ego Coltona. Nie musiała tego mówić. Widać to było na jej twarzy. Zac pomyślał, że ta cała wrogość, którą mu okazuje, to tylko mechanizm obronny.

– Skrzywdził cię.

– Już ci powiedziałam, Zacu. Dla nas jest za późno. Za dużo wody upłynęło. Ale ty...

Cofnął się gwałtownie.

– Co ja?

Pani Trudy podniosła wysoko brwi.

– Lucy?

– Nie udawaj wielce zdziwionego. Dobrze wiesz, że jesteście dla siebie stworzeni. Przystań zachowywać się nierozsądnie i poddaj się, zanim będzie za późno. Patrz, do czego prowadzi zbyt długie czekanie i za wiele błędów. Ledwie się obejrzysz, masz pięćdziesiąt dziewięć lat i jesteś sam, ot co. W rodzinie Callahanów mężczyźni kochają tylko raz, więc nie przegap swojej szansy. Daj spokój z uporem, który was unieszczęśliwia.

Zac wracał do domu nieco ogłuszony. Osłupiały. Nie mógł uwierzyć, że ciotka Trudy, którą niełatwo było sobie zjednać, tak mocno popiera Lucy. Już sam ten fakt wystarczył, by przemyśleć sprawę.

Czy naprawdę odcinanie się od Lucy to przejaw uporu? Czy robił dokładnie to, co ciotka Trudy? Czy otaczał swoje serce murem, żeby Lucy nie mogła go ponownie zranić? A jeśli tak, to co w tym złego?

Może powinien zapytać inaczej: Czy rozstanie było dla nich najlepszym wyjściem? Lucy go kochała... a przynajmniej tak jej się wydawało.

Przypomniawszy sobie ich pocałunek, ten, kiedy wysiadł prąd. Nadal czuł dotyk jej warg na swoich, jej serce bijące koło jego serca. Nie musiał zaglądać jej w oczy, żeby wiedzieć, że go pragnie. Czuł to w jej dotyku, w pocałunku.

Kiedy ją odtrącił, zdystansowała się i ich stosunki się zmieniły. Ale dziś... to, jak spojrzała na niego, złapała za koszulę i przyciągnęła do siebie... Mimo ostatnio nabytej rezerwy coś w tym było. Najwyraźniej nie tylko on chciał osłonić swoje serce.

A gdyby tak dać im obojgu drugą szansę? Czy odważy się znowu dopuścić Lucy do tej bliskości co dawniej? Obawa ścisnęła mu serce, strach wadził się z pożądaniem.

A jeśli on znowu odda Lucy serce, a ona odzyska pamięć?

„Kogo chcesz nabrać, Callahan? Nie możesz znowu oddać jej serca, skoro go nigdy jej nie zabrałeś”.

Poza tym minęło już ponad pięć tygodni, a ona nic sobie nie przypominała. Może tak już zostanie za zawsze. A skoro tak, to głupotą byłoby się rozstać. Ich związek był wyjątkowy. Może przyczyna porzucenia jest już nieistotna? Cokolwiek skłoniło ją do tego kroku, minęło. Znikło, może na zawsze, dla Lucy i dla niego.

Jeśli między nimi nic się nie zmienia, Lucy prędzej czy później zakocha się w kimś innym. Wtedy Zac straci ją na zawsze, tak jak szeryf Colton stracił ciotkę Trudy. Czy więc warto ryzykować?

Zac mocniej ścisnął kierownicę. Oto pytanie. Musi na nie odpowiedzieć.

Dotarłszy do domu, wszedł do swojego mieszkania tylnym wejściem. Niech dziś restaurację zamkną pracownicy. Nie mógł wysiedzieć spokojnie ani uwolnić się od myśli, więc wziął się do podnoszenia ciężarów i ćwiczył do utraty sił. Po godzinie mimo bolących mięśni nadal tryskał energią, więc wybrał się na przebieżkę w chłodnym nocnym powietrzu. Wsłuchując się w uderzenia stóp o deptak, modlił się w myślach.

„Co mam robić, Panie? Proszę, wskaż mi drogę”.

Cicha noc i słony zapach oceanu ukołysły jego znękaną duszę.



Kiedy w zasięgu wzroku pojawił się „Przydrożny Zajazd”, zwolnił kroku, żeby ochłonać. Wziął prysznic, nadal bijąc się z myślami, po czym założył szorty i T-shirt. Miał nadzieję, że wysiłek go wyczerpie, a tymczasem tylko dodał mu energii.

Niedługo potem rozległo się pukanie w drzwi. Z włosami mokrymi jeszcze na karku poszedł otworzyć i zamarł, widząc Lucy na progu. W mroku korytarza jej oczy miały kolor ciemnoniebieski, jak morze w zatoce.

Na jej policzku pojawił się dołeczek, ale szybko zniknął.

– Przepraszam, że cię niepokoję – powiedziała. – Zespół już się zbiera do odejścia i pytają, czy w przyszły weekend też mają występ.

Patrzył na jej usta, gdy mówiła. Takie miłe usta. W kolorze delikatnego różu, wygięte w łuk. Potrafią być takie miękkie, uległe i aktywne jednocześnie.

– Zac!

Zamrugnął i oderwał oczy od warg Lucy, tylko żeby wpaść w głębię jej morskich oczu.

– Eee... tak, są w planie.

Lucy mrugnęła i długie rzęsy rzuciły cień na jasną twarz.

– Doo... dobrze. Powtórzę im to – odparła i zaczęła odchodzić.

Ledwie się odwróciła, Zac poczuł, że ciągnie go do niej niewidzialna lina. Jego stopy chciały iść za nią. Jego ręce tęskniły za tym, żeby ją przygarnąć. Jego wargi pragnęły wypowiedzieć słowa, które od dawna hołubił w sercu.

Lecz coś go powstrzymało.

– Za minutę zejdem, żeby zamknąć restaurację.

– Już prawie wszystko zrobione – rzuciła Lucy przez ramię. – Dopilnuję, żeby ją porządnie zamknąć. Nie kłopotz się, zasłużyłeś sobie na odpoczynek.

– Dzięki.

Tak pewnie byłoby najrozsądniej. Lepiej nie wysyłać jej sprzecznych sygnałów, skoro sam nie wie, czego tak naprawdę chce.

Zamknął drzwi i znowu zaczął krążyć po mieszkaniu, nie mogąc uwolnić się od słów ciotki Trudy, które cały czas powracały jak natrętna melodia. „Patrz, do czego prowadzi zbyt długie czekanie i za wiele błędów. Ledwie się obejrzysz, masz pięćdziesiąt dziewięć lat i jesteś sam, ot co”.

Nie miał pojęcia, jakie jeszcze błędy popełniła ciotka. Ale czy po wielu latach, patrząc wstecz na dzisiejszy wieczór, nie dojdzie do wniosku, że największym błędem jego życia było to, że nic nie zrobił?

Żołądek zacisnął mu się w węzeł. Ta myśl walnęła go jak obuchem. W głębi duszy poczuł, że o to właśnie chodzi. Lucy jest miłością jego życia. Wiedział o tym od chwili, kiedy siadając na stołku barowym, o mało nie zleciała na podłogę, kiedy tak cudownie się zaczerwieniła. A jeśli nie będzie następnej szansy? Czy nie warto zaryzykować?

Wierzył, że nic nie dzieje się bez powodu. Może to wszystko: wstrząs mózgu Lucy, jej powrót do Summer Harbor – stało się po to, żeby mogli być razem. Czy nie o tym marzył długie miesiące, nie o to się modlił?

Bóg dał mu tę okazję, a co on zrobił? Odrzucił ją. Co za idiota. Co mu się wydaje, że ile będzie w stanie opierać się Lucy? Ona zawsze potrafiła owinać go sobie wokół palca.

„Na co czekasz, głupku?”

No na co czeka?

Szybkim krokiem podszedł do drzwi. Kiedy już się zdecydował, pchało go z nieodpartą siłą.

Zbiegł po schodach, lecz zamiast do pokoju Lucy, podszedł do sali jadalnej, zwabiony ryczącą na cały głos szafą grającą.

Sala była pusta, jeśli nie liczyć Lucy, która ustawiała krzesła na stołach. Podłoga jeszcze nie została umyta ani nawet zamieciona, a sądząc z ciszy panującej w kuchni, wszyscy poszli już do domów.

Po skończeniu z jednym stołem Lucy tanecznym krokiem ruszyła do drugiego. Doszedłszy, przystanąła i zakołysała biodrami w rytm muzyki, a nawet zakręciła się w kółko... i zahaczyła stopą o nogę krzesła. Gibnęła się do przodu, ale złapała równowagę, wyprostowała się i, żeby pokryć własną niezgrabność, potrząsnęła ramionami jak w tańcu shimmy.

Zac oparł się o framugę drzwi, z ukontenowaniem przyglądając się Lucy w pełni prezentującej swoją osobowość.

Piosenka kończyła się kilkoma mocnymi uderzeniami, które Lucy podkreśliła pełnym dramatyзмом podskokiem z wyrzutem nogi, od którego zatrzęsły się okoliczne stoły.

Mimo uśmiechu na twarzy czuł pieczenie z tyłu oczu. Lucy. Jego Lucy. Cały czas ją kocha. I to jak.

Lucy sięgnęła po następne krzesło, a z szafy popłynęła melodia *Hope You Get Lonely Tonight*.

Teraz dziewczyna poruszała się nieco wolniej, kołysząc się w rytm muzyki i bezgłośnie śpiewając piosenkę. Minę miała przy tym naprawdę wartą sceny.

Między ustawianiem jednego a drugiego krzesła wykonała kilka shuffles, które zakończyła seksownym kołysaniem biodrami. Teraz śpiew przejął chór, a Lucy zrobiła piruet i znalazła się przy kolejnym stole.

Zauroczyła go całkowicie. Był cały jej. Jak to możliwe, że wszyscy wokoło to widzieli, tylko nie on?

Lucy wykręciła następny piruet, zatrzymała się i jej wzrok padł na Zaca. Wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem. Nagle zmieniła jej się mina i szybko zamknęła usta. Dłonie oparła o krzesło, a jej policzki zaczerwieniły się atrakcyjnie.

Na ten widok Zac stracił dech. Znowu poczuł, że łączy ich niewidzialna nić, napięta tak silnie, że grozi pęknięciem. Tym razem nie walczył z nią.

## Rozdział 30

**L**ucy zamarała w miejscu, gapiąc się na Zaca i odtwarzając w myślach ostatnią minutę. W głowie kołatało się jej powiedzenie: „tańczyć tak, jakby nikt nie patrzył” – tylko że tym razem patrzył!

I to jak! Patrzył tak, że trudno jej było oddychać, a puls przyspieszył, i to wcale nie od tańca.

Zac zaczął podchodzić, z każdym krokiem bliżej i bliżej. Od dawna nie widziała takiego wyrazu w jego oczach.

Nie mogła od nich oderwać wzroku.

Zatrzymał się tuż przy niej. Muzyka umilkła i nagle cisza była jak wyrwa. Wokół pęczniało napięcie, omotując ich lepкими pasmami.

– Nie będę już z tym walczył, Lucy – powiedział cicho Zac.

Lucy straciła oddech i serce zaczęło bić w szybkim tempie. Przez całe ciało przebiegła ożywcza fala, pobudzając wszystkie komórki. Nie powinna tak rozpaczliwie go potrzebować. To fatalne dla psychiki. Przesunęła wzrok na kołnierz jego koszulki.

Nie sądziła, że zniesie następne odrzucenie. Serce jeszcze nie uporało się z tym, co stało się ostatnio.

Zac wziął ją pod brodę i delikatnie uniósł jej twarz ku górze, aż ich oczy się spotkały. Lucy wyczytała w nich tak silne pragnienie, że nie mogła się od nich oderwać. Serce pragnie tego, czego pragnie. A jej serce pragnęło jego. Ogromnie.

– Chodź tu, Georgianko. – Zac pochylił głowę, tak że poczuła na wargach jego oddech. Dręcząca bliskość trwała przez moment, a potem dotknął wargami jej ust. Miętko i ostrożnie, jakby była drogocenną perłą.

Całował ją, a ona oddawała mu w pełni każdy pocałunek. Otoczyła go ramionami, a on przyciągnął ją do siebie, niemal ją podnosząc. Czuła, jak jego wargi poruszają się w pocałunku, i w jej żyłach zaczęło płonąć pożądanie. Wsunęła palce w wilgotne włosy na karku Zaca.

W jego silnych ramionach czuła się jak w niebie i kompletnie się zatraciła. Jego pocałunek był jak ciepły letni dzień po długiej, ostrej zimie. Był jak duża szklanka wody z lodem po wyczerpującym biegu. Jak miękkie łóżko po męczącym dniu.

Rozchylił jej wargi i aż jęknął, zaciskając mocno wokół niej ramiona. Lucy przyłgnęła do niego, jakby żadna bliskość nie była zbyt bliska. Dzięki niemu osiągała pełnię, a nie czuła tego od bardzo dawna, ściśle mówiąc, od ostatniego razu, kiedy trzymał ją w swoich ramionach. Mogła mieć pracę, mieszkanie, niezależne życie, ale bez Zaca nigdy nie osiągnie pełni. W głębi duszy dobrze o tym wiedziała. Sama siebie próbowała przekonać, że tak nie jest, ale bez skutku.

On był jej domem.

Odsunął się ociupinkę, tak że ich urywane oddechy mieszały się ze sobą.

– Tęsknię za tobą, Lucy. Chcę cię w swoim życiu. Spróbujmy jeszcze raz.

Od gorąca jego spojrzenia o mało się nie rozpląnęła. Od tygodni czekała na te słowa, słowa, które były rozkoszą dla jej uszu.

– Bardzo tego pragnę – szepnęła. – Ale... ale co się stało? Skąd ta zmiana?

Oparł swoje czoło o jej i powiedział:

– To przez ciotkę Trudy. Poszedłem do niej pogadać o szeryfie. Ona jest nieszczęśliwa. Nie chcę spędzić życia, oplakując to, co utraciłem. Jeśli pozwolę ci odejść, popełnię największy błąd w moim życiu.

Zapiekle ją oczy i przełknęła ślinę.

– Jakie to cudowne, mój miły.

– Jesteś dla mnie jedyną dziewczyną na świecie.

– Pocałuj mnie. – Zaczerwieniła się, skrępowana swoją śmiałością, i znowu spuściła wzrok na jego kołnierz.

Zac wziął ją za brodę i podniósł twarz ku górze, aż spojrzeli sobie w oczy. Opuścił głowę, powoli muskając jej wargi, jakby rozkoszował się każdą chwilą. Ona również się rozkoszowała. Nie mogła uwierzyć, że dostała drugą szansę. Zac objął jej twarz dłońmi i wsunął palce we włosy.

To nie złudzenie. To naprawdę się działo. W duszy Lucy wybuchł fajerwerk radości. W głowie szumiała euforia.

Ale jednocześnie odezwały się niechciane myśli. Na temat jej życia w Portland, narzucającego się eksnarzeczonego, porzucenia Zaca – czego w ogóle nie pamiętała. Siedem i pół miesiąca życia jak czysta karta.

Zdecydowanie odsunęła od siebie zmartwienia. Jeśli uda im się wymazać przeszłość, wszystko dobrze się skończy. Na pewno. Nie zniosłaby ponownego rozstania z Zakiem.

## Rozdział 31

**L**ucy otworzyła oczy. Do pokoju wlewał się blask słońca. Lekka bryza wydymała firankę i ślizgała się po ciele, wywołując gęsią skórkę.  
Zac.

Na powierzchnię świadomości wypłynęły wspomnienia poprzedniego wieczoru i nagle Lucy poczuła, że cała płonie.

Kiedy przestali się całować, poszli na górę do jego mieszkania i trochę porozmawiali. Potem obejrzeli film, tuląc się do siebie w romantycznych chwilach. A było ich mnóstwo. Dotknęła palcami spuchniętych warg oraz skóry na twarzy podrażnionej kłującą brodą Zaca i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Serce Lucy podskoczyło z radości na wspomnienie jego spragnionych oczu, delikatnych rąk i łagodnych warg. Lecz jednocześnie tuż pod powierzchnią kryło się coś innego – ponure przecucie katastrofy.

Może Zac zbudzi się rano, żałując kroku, który zrobił? Od kilku tygodni odpychał ją od siebie. I co, wystarczyła jedna rozmowa z ciotką, żeby wszystko zmienić? Przecież tak naprawdę nic się nie zmieniło. Nadal nie pamiętała, dlaczego go porzuciła. Odzyskanie pamięci może wyrzucić wszystko do góry nogami.

Zac na pewno sobie o tym przypomni. Poranki zazwyczaj przynoszą jasność sądu.

Na tę myśl natychmiast poczuła ciężar na sercu i cała radość się ulotniła. Za drzwiami rozległy się jakieś hałasy. Lucy przechyliła głowę, wyteżyła uszy i rozpoznała szuranie wiadrem po podłodze. No tak, wczoraj wieczorem nie mieli głowy do zamiatania i mycia podłogi.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki, z obawą myśląc o spotkaniu Zaca. Nigdy nie czuła się tak bezbronna.

Stojąc pod prysznicem, przemawiała sobie do rozumu. Musi się zmobilizować i zachowywać tak, jakby wczoraj wieczorem nic się nie stało. Zac to doceni i oboje będą mogli żyć po swojemu.

Serce ją ukłuło, ale nie zwracała na to uwagi. Trzeba sprawdzić, czy może się już wprowadzić do nowego mieszkania. Może nawet dzisiaj. Im szybciej, tym lepiej. Ten układ nie działa. Jak można być tak blisko ukochanego mężczyzny i udawać, że jej nie obchodzi? Daremny trud.

Po prysznicu ubrała się w ulubione białe szorty i luźną bluzkę. Zrobiła delikatny makijaż, wysuszyła włosy, wyprostowała je, naciągając na suszarce, i potem lekko podniosła do góry, żeby nadać im puszystości. Zadowolenie z własnego wyglądu dobrze robi na pewność siebie, a tego akurat bardzo potrzebowała.

Chwyciła zębami drżącą wargę. „Głowa do góry, Lucy. Dasz sobie radę”.

Ból w sercu zadał kłam temu stwierdzeniu. Mimo rażnej miny wyszła z pokoju na miękkich nogach. Kiedy dotarła do jadalni, Zac zdejmował krzesła ze stołów. Zupełnie jak powtórka wczorajszego wieczoru, tylko z innym zakończeniem. Diametralnie innym.

Zac podniósł wzrok i uśmiechnął się.

Lucy odpowiedziała na uśmiech i odwróciła spojrzenie, żeby nie zatonać w jego oczach.

– Dzień dobry, Szefie – rzuciła, idąc do kuchni. – Zrobię dla nas śniadanie.

– Już je zrobiłem.

Zac skinął głową w kierunku baru, na którym stał przykryty talerz i wysoka szklanka soku pomarańczowego.

Wewnątrz zrobiło jej się ciepło.

– Och, dziękuję.

Nie, nie, nie. To nic nie znaczy. Pewnie gest, który ma ułatwić mu zerwanie.

Lucy podeszła do stołka barowego, a Zac cały czas zdejmował krzesła i ustawiał je na podłodze. Lucy nie potrafiła odgadnąć, jak ma rozumieć jego zachowanie. Bynajmniej nie pomagał fakt, że nie mogła spojrzeć Zacowi w oczy.

Jedząc, czuła na plecach jego wzrok. Jajka na bekonie smakowały jak tektura i stawały w gardle, lecz Lucy jadła szybko. Im szybciej skończy, tym szybciej może przestać zawadzać Zacowi w życiu. Pójdzie prosto do zarządcy budynku i wybłaga możliwość wprowadzenia się jeszcze dzisiaj.

Przełknęła z trudem ostatni kęs i wstała, zabierając talerz i szklankę.

– Dziękuję za śniadanie. Wstawię to do...

– Lucy...

Rozległa się powolna melodia country. Lucy rzuciła spojrzenie na Zaca.

Stał przy szafie grającej z enigmatycznym uśmiechem na ustach.

– Chodź tu – powiedział stłumionym głosem.

Zabrakło jej tchu. Spojrzała na niego spod oka.

– Co takiego?

Wyciągnął ręce zapraszająco, jak do tańca.

– Po prostu przyjdź tu.

– Jest... jest dziewiąta rano.

– Wiele tygodni czekałem na to, żeby z tobą zatańczyć, i nie mam zamiaru czekać ani sekundy dłużej.

Stopy – te zdradliwe istoty – wyruszyły, nie czekając na pozwolenie rozumu. Lucy próbowała odwrócić głowę, lecz było za późno. Oczy Zaca już trzymały ją jak na uwięzi.

Weszła w jego ramiona, a on wziął ją za rękę i zaczęli tańczyć powolnym krokiem na cztery, który tyle razy tańczyli razem. Mimo różnicy wzrostu poruszali się harmonijnie, bez trudu, jakby byli jednym ciałem. Ręka Zaca wypalała piętno na plecach Lucy.

W porządku, jeszcze nie zmienił zdania. Ale zmieni. To tylko kwestia czasu, prawda? Umysł Lucy walczył z sercem, strach ją paraliżował. Przeniosła wzrok na drugi guzik koszuli Zaca.

– No to... co jest z panią Trudy i szeryfem? To znaczy ta ich kłótnia... czy powiedziała, co ich wiązało?

– Okazuje się, że chodzili ze sobą w szkole średniej. Jej tato nie akceptował chłopaka, więc wymykała się na spotkania. A kiedy on zaczął zawodowo grać w drużynie Celtics, ona siedziała uwiązana w domu ze względu na chorą mamę.

– Więc ją porzucił. – Lucy dobrze wiedziała, co to znaczy.

– I ona nadal jest na niego zła.

– Pamięta urazę po tak długim czasie?

– Jakbyś nie znała ciotki Trudy.

Lucy rozumiała doskonale, co musiała czuć pani Trudy. Ona sama, kiedy osiągnęła wiek pozwalający na samodzielne odszukanie ojca, nie miała już ochoty go szukać. A potem było już

za późno. Ale nie żałowała. Dlaczego miała tęsknić za kimś, kto porzucił ją wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała?

Piosenka kończyła się crescendo z udziałem chóru. Lucy i Zac tańczyli bezbłędnie. Czasem jego noga ocierała się o jej nogę, a gdy Zac poruszył ręką na jej plecach, oczy Lucy same odszukały oczy Zaca. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie.

A potem on przeniósł wzrok na jej wargi i Lucy instynktownie je zwilżyła.

„Nie, Lucy, nie pocałujesz go. Okaż siłę woli”.

Tocząca się w duszy bitwa podekscytowała ją. Dziewczyna przeniosła wzrok na koszulę Zaca.

– Dostanę skurczu szyi – jęknęła i skrzywiła się, bo zabrzmiało to zupełnie, jakby wyszło z ust pani Trudy.

Zac ugiął kolana i nie wypadając z rytmu, podniósł Lucy do góry, tak że jej oczy znalazły się na poziomie jego oczu.

– Zarwiesz się – zgaśniła go, lecz jej głos był zbyt naładowany emocjami, aby zabrzmiało z odpowiednią surowością.

Oparła ręce na jego szerokich barkach i podniosła wzrok. Usta Zaca nic nie mówiły, ale oczy były bardzo wymowne. Nie mogła się od nich oderwać. Była tak blisko, że na szarej tęczówce widziała różne odcienie zieleni i pojedyncze czarne plamki. Tak blisko, że dostrzegła, jak ciemnieją. Tak blisko, że dwa oddechy mieszały się w jeden. Poczwała, że jej puls przyspiesza.

Kiedy rozległa się końcowa fraza, słodka i wzruszająca, Zac przestał tańczyć, stanął i jeszcze długo trzymał ją w objęciach.

A potem spojrział jej w oczy i poluzował chwyt, i Lucy zaczęła się powoli zsuwać. Sprzączka od paska drapała ją po brzuchu.

Wreszcie dotknęła ziemi. Zac lekko obejmował ją w talii, tak że w każdej chwili mogłaby się odsunąć, ale stała jak przymurowana.

– Żałujesz tego, co zdarzyło się wczoraj wieczorem? – spytał tak cicho, że bardziej czuła to jak dudnienie w jego klatce piersiowej aniżeli słowa.

– Tak. Nie. Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie wiem. Jestem... trochę tym wystraszona. – Przygryzła wargę. Wcale nie zamierzała być aż tak szczerą. Nie chciała, żeby wiedział, jak bardzo jest zagubiona. Jej obawy jeszcze bardziej urosły.

Zac podniósł jej brodę i Lucy zanurzyła się w pewności uczucia błyszczącej w jego oczach.

– Ja nigdzie nie odejdę. Nie żałuję tego, co stało się wczoraj. Wcale tego nie żałuję. Jedyne, czego żałuję, to że pozwoliłem ci kiedyś ode mnie odejść.

Jego słowa odrobinę poluzowały supeł, który czuła wewnątrz. Zeszło z niej trochę napięcia. Czuła pieczenie wzbierających łez i dławienie guli w gardle. Twarz Zaca zaczęła robić się nieco rozmazana.

– Czy to chciałaś usłyszeć, kochanie? – powiedział cicho. – To jest prawda. Niczego nie musisz się obawiać.

Skinęła głową, zła, że nie opanowała się i jedna łza potoczyła się po policzku. Zac starł ją kciukiem, pochylił się i dotknął jej usta tak lekko jak muśnięcie motyla.

Przez chwilę stał, patrząc jej w oczy, a ich oddechy mieszały się ze sobą.

– Nigdzie nie odejdę – szepnął.

I znowu ją pocałował. Lucy przesunęła dłonie po twardej jak skała klatce piersiowej Zaca i objęła go za szyję. Skąd wiedział, co jej powiedzieć? Pewności nie miała, ale z ulgi nogi się pod nią ugięły. Nie żałował wczorajszego wieczoru. Nie miał zamiaru jej opuścić. Tylko to się

liczy. Reszta – wścibscy reporterzy, kłopotliwy eksnarzeczony – wkrótce będzie przeszłością.  
Zostanie tylko ona i Zac. I będzie tak, jak było przed rozstaniem.



## Rozdział 32

**K**olejny tydzień minął Lucy jak z bicza trzasnął. Sierpniowe upały zwabiły turystów pieszych i zmotoryzowanych z całego kraju i wydawało się, że wszyscy kierują pierwsze kroki do biura informacji po rady i foldery.

W środę w Los Angeles aresztowano nieletnią celebrytkę Felicity Turner za prowadzenie samochodu pod wpływem narkotyków i wszyscy reporterzy popędzili śladem ogólnokrajowego skandalu, uszczęśliwiając tym niebotycznie Lucy.

Wieczorem, kiedy Lucy wróciła do domu, Zac zaciągnął ją do swojego biura. Długi, powolny pocałunek na przywitaniu nastroił Lucy tak, że pożałowała, że nie pracuje już w „Przydrożnym Zajeździe”.

– Wybierzmy się gdzieś w sobotę wieczorem świętować twoją wolność – powiedział, kiedy oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza.

Lucy skrzywiła się teatralnie i powiedziała:

– Ta biedna dziewczyna powinna udać się na rehabilitację, szanowny panie.

– A ta śliczna dziewczyna zasługuje na trochę prywatnego życia. – Ujął jej twarz w dłonie i złożył szybki pocałunek na ustach. – Chodźmy do „Chaty Homara”. Lubisz to miejsce.

– Nie pamiętam go.

– Byliśmy tam kiedyś. Twoje kubki smakowe będą zadowolone.

Nie tylko z tego kubki smakowe będą zadowolone, pomyślała, kiedy Zac znowu zaczął ją całować.



W sobotę Zac, wprowadzając Lucy do restauracji, położył jej rękę na krzyżu, a ją przeszył przyjemny dreszczyk. Uwielbiała jego dotyk, nawet przelotny. W restauracji unosił się kuszący zapach owoców morza. Zewsząd dobiegał radosny gwar rozmów i ochoczy brzdęk sztućców.

Po kilku minutach kelner zaprowadził ich do ostatniego wolnego stolika – małego, z pięknym widokiem na morze. Wnętrze było urządzone swobodnie i eklektycznie. Na próżno szukałoby się dwóch identycznych krzeseł, ale obrusy w czerwoną kratę ujednolicały wystrój. Pod dachem z miedzianej blachy na szarych, sztucznie postarzanych belkach wisały lampy sztormowe i kolorowe boje.

Lucy wzięła spis dań mieszczący się na pojedynczej kartce papieru.

– Ładnie pachnie. Jestem taka głodna, że mogłabym zjeść konia z kopytami.

– Weź homara. – Zac puścił do niej oko i dodał: – Jest lepszy niż koń.

Przyszedł kelner, złożyli zamówienie i rozsiedli się wygodnie, by podziwiać pejzaż. Na palach tuż za oknem przysiadła mewa i zaczęła się w nich wpatrywać okrągłymi czarnymi oczami. Nadleciała druga, zanurkowała i porwała z mola jakiś okruszek.

Zac wziął Lucy za rękę i przesunął kciukiem po kostkach jej dłoni. Lucy uwielbiała sposób, w jaki na nią patrzył. I jak jej dotykał. Nigdy nie miała tego dość.

– Cieszę się, że te pijawki już zniknęły – westchnął.

– Cieszę się, że będę mogła normalnie chodzić po ulicy. Trochę trudno jest wrosnąć w lokalną społeczność, jeśli na odwłoku siedzi ci horda reporterów.

– Mam nadzieję, że już dostali, co chcieli.

Policzki zaczerwieniły jej się na myśl o pełnych insynuacji artykułach.

Zac ścisnął jej rękę.

– Hej, nie myśl o tym. Nie zrobiłaś nic złego.

Miała rację. Postanowiła nie poddawać się nastrojowi. Wobec tego odwzajemniła uścisk i powiedziała:

– Przyszliśmy tu świętować i to właśnie będziemy robić. Chciałabym jeszcze tylko, żeby Brad dał mi spokój.

Zac zmarszczył brwi.

– Nadal cię nęka?

Wyjęła słomkę z papierowego opakowania i włożyła do szklanki z mrożoną herbatą.

– Czasem esemesuje.

– Ma twój nowy numer?

Skrzywiła się.

– Dałam mu na początku, kiedy było mi go żal. Nadal czuję się trochę winna. No wiesz, w końcu porzuciłam go bez słowa wyjaśnienia. On oczywiście nie wie, dlaczego zostawiłam go przed ołtarzem, a ja nawet w tym nie mogę mu pomóc.

– To prawda, że nie możesz mu pomóc. Wobec tego nie ma sensu zamartwiać się jego uczuciami. A to, że cię prześladowuje, jest nie w porządku. Jak często pisze?

– Dwa razy dziennie, coś koło tego.

Zac zmrużył oczy.

– Dwa razy dziennie?

– Przestałam mu odpowiadać. I nie odbieram telefonu, kiedy dzwoni. Powiedziałam mu, że teraz jestem z tobą. To znaczy... – Ścisnęła palcami wargę. Zac nic nie mówił o byciu razem i Lucy nagle zdała sobie sprawę, że trochę się pospieszyła. Zaczerwieniła się. – To wcale nie znaczy, że jesteśmy...

Zac splótł swoją dłoń z dłonią Lucy i spojrzał na nią lekko zamglonym wzrokiem.

– Ależ jesteśmy. Jeśli o mnie chodzi, jesteś dla mnie jedyną kobietą w całej Nowej Anglii.

Serce podskoczyło jej z radości. Spojrzała z lubością na jego prosty nos, ładnie wymodelowane policzki, zarośniętą szczękę. Był taki przystojny. I cały jej.

„Mój!”

– Pani Trudy wcale nie będzie się to podobało.

Uśmiechnął się asymetrycznie.

– Naturalnie, pomijając kobiety z rodziny.

Rozmowa popłynęła lekko. Czekając na jedzenie, rozmawiali o Rileyu, który poprzedniego wieczoru zadzwonił ze Skype’a, i o nowym zespole, który Zac chciał włączyć w program koncertów w swojej restauracji.

Lucy nie zdążyła się obejrzeć, a wylądował przed nią potężny talerz z homarem. Zac zamówił bardzo apetyczne krewetki w sosie czosnkowym.

– Lepiej załóż to – poradził Zac, podając Lucy plastikowy śliniak z wizerunkiem wielkiego homara.

– Masz rację – powiedziała i pochyliła się. Zac odgarnął jej włosy i zawiązał plastikowe troczki na szyi. Jakiś włos zaplątał się w węzeł i poczuła szarpnięcie.

I nagle pojawiło się wspomnienie: Zac wkładający jej na szyję śliniak. Wtedy troczki zasupłał z całym kosmykiem włosów i musiał wiązać od nowa. Obraz ten był tak żywy, że serce Lucy mocno zabiło.

Złapała Zaca za rękę i zawołała podniecona:

– Przypomniałam sobie coś!

– Co takiego?

– Nasz poprzedni pobyt w tej restauracji. Siedzieliśmy tam. – Pokazała róg w głębi sali.

W oczach Zaca mignęło jakieś wspomnienie. Skończył węzeł i odchylił się na oparcie krzesła.

– To prawda.

Lucy bez ruchu czekała na ciąg dalszy. I doczekała się. Było to na dwa tygodnie przed ślubem. W ostatnim czasie nie mieli dużo czasu dla siebie, więc Zac zabrał ją tutaj w ramach przeprosin. Był jakiś daleki, markotny i Lucy obawiała się, że ma pietra przed zbliżającym się ślubem.

Po chwili wyłoniło się następne wspomnienie. Podniosła wzrok.

– Kawalek homara poleciał z mojego talerza na kolana kobiety siedzącej koło nas.

Uśmiechnął się.

– Nie bardzo jej się to podobało.

– Przypomniałam sobie! – To dobrze, prawda? Cieszyła się, że odzyskała kawalek życia. To znaczy, że jest na dobrej drodze. Będzie mogła żyć normalnie, razem z Zakiem.



Zac z mieszanymi uczuciami przyglądał się twarzy Lucy zmieniającej się pod wpływem gwałtownych emocji. Pamiętał ten wieczór tak dobrze, jakby to było wczoraj. Nie uporał się jeszcze ze smutkiem po śmierci ojca; jeden z kucharzy nieoczekiwanie odszedł z pracy, zostawiając mu na głowie kłopot szukania zastępcy; należało pomóc Beau w przygotowaniach plantacji choinek do sezonu świątecznego. Do tego doszła złamana noga jednej z całoletatowych kelnerek i zbliżający się ślub – wszystko naraz to była prawdziwa katastrofa!

Dlatego mało czasu spędzał z narzeczoną. Wiedział, że tak być nie powinno – przecież ona była najcenniejszym darem w jego życiu. Po jej odejściu wiele razy zastanawiał się, czy to z jego winy. Czy ją zniechęcił? Czy po prostu miała już dość jego smutków?

– Nie mogę uwierzyć, że coś mi się przypomniało! – Oczy Lucy lśniły podnieceniem, a uśmiech wywołał dołeczki na policzkach.

– To świetnie, Lucy. Naprawdę. – Nagle na piersi legł mu wielki ciężar.

Zabrali się do jedzenia, ale stracił apetyt na krewetki. Przełknął bez gryzienia kęs wielki jak pięść, zadając sobie w kółko te dwa pytania: Czy Lucy odzyska całą pamięć? A jeśli odzyska, czy nadal będzie go chciała?

## Rozdział 33

**L**ucy wyszła z listami na taras. Wieczorem w dzień powszedni w restauracji było prawie pusto. Zostawiła Zaca w kuchni, zajętego przyjmowaniem dostawy chleba. Oboje mieli za sobą pracowity tydzień i Zac zasugerował, żeby sobotni wieczór spędzili razem.

– Sam wszystko zaplanuję – powiedział. – Bądź gotowa na piątą. I ubierz się w coś wygodnego.

Na tarasie Lucy zdjęła buty na obcasie i jej stopy niemal westchnęły z ulgi. Wieczór był piękny, zachodzące słońce grzało mocno. Słona bryza od morza zwiewała jej włosy za ramiona.

Lucy rozerwała pierwszą kopertę – wyciąg z karty kredytowej. Spojrzała na stan konta. Och. Włożyła wyciąg z powrotem do koperty. Następna była zaadresowana do niej ulotka firmy Nordstrom świadcząca o wykwintnym smaku Lucy w dziedzinie obuwia. Oczy jej się zaświeciły na widok szmaragdowych sandałów Gucci ze srebrną klamerką. Znakomicie zaprojektowane, z błyszczącej skórki. Wprost cudowne!

Wspomniała jednak stan konta, westchnęła ciężko i odłożyła ulotkę na stół. Kolej na broszurkę polityczną i ulotkę reklamującą kartę kredytową. Ostatni list był z firmy inwestycyjnej. Wsunęła palec pod wierzch koperty i rozdarła ją, przyglądając się mewie, która przelatywała obok z wyraźną nadzieją na jakiś kąsek.

– Sorry, malutka, ale nie wolno! – Chociaż Zac wszędzie umieścił znak zakazu karmienia ptaków, turyści wcale go nie respektowali.

Lucy wyjęła kartkę papieru, rozłożyła ją i nieuważnie rzuciła okiem na treść, lecz nagle zainteresowały ją podane informacje. Cytowane liczby.

„Co takiego?”

Ponownie przeczytała list, sprawdziła nazwisko na górze strony i serce zaczęło jej mocno walić. Jeszcze raz spojrzała na liczby. Na nagłówek. Firma miała siedzibę w Savannah. Lucy bez przekonania wystukała numer telefon. Minęła piątą. Mało prawdopodobne, żeby jeszcze pracowali.

– B&D Investments – odezwał się jakiś głos.

– Dzień dobry. Eee... czy mogę mówić z... – sprawdziła nazwisko na dole listu – z Allenem Fosterem?

– Czy mogę prosić o pani nazwisko?

– Lucy Lovett.

– Och, pani Lovett. Moment, zaraz panią połączę.

Czyżby głos tej kobiety ożywił się na dźwięk nazwiska Lucy? Czekając, Lucy jeszcze raz obejrzała list. Tyle zer... Zamrugła, ale zera nie znikły. Z przejęcia zaczęły jej się trząść ręce.

– Lucy? – Usłyszała męski głos po drugiej stronie. Mężczyzna był starszy, może po sześćdziesiątce. – Dobrze, że się odezwałaś. Jak ci się wiedzie?

– Dziękuję, że pan pyta, panie... Foster. U mnie... raczej wszystko w porządku.

Mężczyzna prychnął ciepłym śmiechem.

– Allen – poprawił ją. – Wydaje mi się, że tak to kiedyś ustaliliśmy.

– No... tak, proszę pa... to znaczy, wiesz, Allenie, nie bardzo pamiętam naszą rozmowę. I nie tylko naszą. – Wyjaśniła mu, że doznała urazu głowy i straciła pamięć.

– Biedactwo! Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Myślę, że tak. Dostałam od was list z wyciągiem. Czy to znaczy, że zainwestowałam u was pieniądze?

– Ojej... Nie wiem, ile pamiętasz. Czy wiesz, że twoja ciocia babcia...

– Tak. Wiem, że zmarła. Nie pamiętałam tego, ale dowiedziałam się z gazety.

Chrząknął.

– Tak mi przykro. Nie jest to dobry sposób dowiadywania się o śmierci krewnych. Audrey Lovett zostawiła ci okrągłą sumkę, a ty większość z tego zainwestowałeś na rynku. Jeśli chcesz, chętnie przedstawię ci twoje portfolio.

– Tak, ale... ona zawsze mówiła, że wszystko zapisze organizacjom dobroczynnym. Była przeciwna instytucji spadkobierców. Twierdziła, że to dobre dla zepsutych dzieci bogaczy.

– Nie chciała, żebyś nic nie robiła, licząc na spadek. Pragnęła, żebyś ułożyła sobie życie i miała własne cele. I ty to zrobiłaś.

– Ale jej majątek... dom i...

– Sprawy spadkowe załatwiłaś już dawno temu.

– Och. Czuję się jak idiotka. – Jak to możliwe, żeby tego nie pamiętała? Lucy pomasowała skronie, jakby to miało przywołać wspomnienia.

– Nie przejmuj się. Mózg to kłopotliwy organ. Czy chcesz, żebyśmy dziś przejrzyli twoje portfolio? Za pół godziny jestem umówiony na obiad, ale potem mogę zadzwonić.

Lucy kręciło się w głowie od tych wszystkich zer.

– A może przysłałbyś mi wszystkie informacje pocztą? Wolałabym mieć to czarno na białym.

– Naturalnie.

Podawała mu aktualny adres, żeby korespondencja nie była przekazywana z jednego urzędu pocztowego do drugiego, i rozłączyła się. Nie odrywając wzroku od liczby w dolnym rzędzie, weszła do restauracji i zaczęła szukać Zaca. Znalazła go na uliczce z tyłu, podpisującego fakturę od dostawcy pieczywa. Poczekała w drzwiach, póki nie skończył.

Po chwili auto zadymiło z rury wydechowej i odjechało.

Zac odwrócił się i na jej widok uśmiech rozjaśnił mu twarz. Widząc jej minę, zmrużył oczy i spytał:

– Co to za tajemniczy uśmiech?

Lucy zamrugła, nadal trochę niedowierzająco.

– Mam pieniądze – wymamrotała nieco oszołomiona.

Zac przytulił ją i mruknął:

– To dobrze, bo tu jesteś nieźle pod krechą. To przez te wszystkie mrożone herbaty.

Lucy objęła jego ramiona dłońmi i powiedziała:

– Nie rozumiesz mnie. Mam forszę. Całą kupę forsy.

Zac pochylił głowę i utkwiał w niej badawcze spojrzenie swoich bezdennych szarych oczu.

Pokazała mu wyciąg.

– Otrzymałam to w korespondencji od firmy inwestycyjnej i zadzwoniłam do nich. Ciotka wszystko mi zostawiła. Wszystko. Okazuje się, że załatwiłam nawet sprawy spadkowe, tylko że tego nie pamiętam.

Zac spojrział na wyciąg i oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdumienia.

– O rany julek. Dużo tych zer.

– Wiem. To nie do wiary, prawda?

Spojrzał jej w oczy.

– I co o tym myślisz?

– Nie wiem. Jeszcze do mnie nie dotarło. – A co się robi, kiedy nagle spadnie na człowieka taka fortuna? Lucy przyzwyczaiła się do korzystania z kuponów zniżkowych, kupowania na przecenach i oszczędzania, żeby wpłacić kaucję za wynajmowane mieszkanie.

– Nie wiem, co to była za Lucy Lovett. Ta z Portland. Mam w głowie mętlik.

Zac podniósł jej brodę do góry.

– To była ta sama Lucy, która stoi tu przede mną. Miała uroczy południowy akcent, talent do nawiązywania kontaktu z ludźmi i wielkie serce.

Te słowa ogrzały ją jak słońce. Uśmiechnęła się kpiąco.

– I, jak się okazuje, wielkie pieniądze na koncie. Nic dziwnego, że stać mnie było na tamto mieszkanie.

Zac pocałował ją w czoło i przyciągnął do siebie.

– To tylko pieniądze. To ciebie w żaden sposób nie zmienia. A wiesz... masz już za co otworzyć tę świetlicę, o której opowiadałaś. Czy to nie jest wspaniałe?

Lucy zabrakło tchu. Mogłaby rzeczywiście otworzyć świetlicę środowiskową. Serce zabiło jej na myśl o stworzeniu bezpiecznego miejsca wzajemnej komunikacji dla dzieci i dorosłych. Marzyła o tym, żeby świetlica była bezpłatna... a teraz znalazły się na to pieniądze!

Przytuliła się do Zaca i przesunęła dłońmi po twardych mięśniach jego ramion. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się jego korzennym zapachem. I jego ciałem pod palcami.

Wtuliła się głębiej. Może tak zostać na zawsze. W Summer Harbor. I jego ramionach. Może otworzyć świetlicę środowiskową i zatrzymać ten swój mały pokój w „Przydrożnym Zajeździe”. Prawdopodobnie stać by ją było na największy dom w mieście i na jacht wielkości Rhode Island, co nie znaczy, że musi to mieć.

Ale para szmaragdowych sandałów Gucci... jest już jej!

## Rozdział 34

**N**astępnego dnia rano Lucy nie zauważyła, że dzwonił Brad. Nie odebrała i ucieszyła się, że nie zostawił wiadomości na poczcie głosowej, ale po kilku minutach przyszedł esemes: MOŻEMY CHOCIAŻ POROZMAWIAĆ? CHCĘ USŁYSZEĆ TWÓJ GŁOS I PRZEKONAĆ SIĘ, ŻE WSZYSTKO W PORZĄDKU. CHCĘ CIĘ ZOBACZYĆ. TĘSKNIĘ. PROSZĘ, ZADZWOŃ.

Poczuła niepokój. Zmysły się wyostrzyły. Rzuciła okiem za siatkowe drzwi biura informacji, jakby obawiając się, że Brad nagle zmaterializuje się na werandzie.

„Przestań, Lucy. Nie dramatyzuj”.

W końcu kiedyś była z nim zaręczona. Może nie potrafił dać za wygraną, ale musiała go przecież choć trochę kochać i mu ufać, skoro przyjęła oświadczenia.

Po południu, kiedy nadeszła pora, zamknęła biuro i nastawiła się na spotkanie z Zakiem. Nabrała zwyczaju dopadania go w restauracji i witania pocałunkiem. Uwielbiała widzieć ten chwytający za serce uśmiech na jego ustach, który pojawiał się na jej widok.

Dzień był prześliczny i słoneczny, gdy wyruszyła do domu, na niebie nie było ani jednej chmurki. Dochodząc do końca ścieżki, zauważyła znaną sobie sylwetkę. Zwolniła kroku. Przejrzała w umyśle dostępne możliwości, od telefonu do Zaca do powrotu do biura.

Przesadza. W końcu to miejsce publiczne. Niedaleko na plaży dokazuje jakaś rodzina, ulicą wloką się samochody w dozwolonym tempie 50 kilometrów na godzinę.

Kiedy się zbliżyła, Brad wyprostował się. Z wysokiego czoła wiatr zwiewał mu włosy.

– Cześć, Lucy.

– Co tu robisz, Brad?

– Ładnie wyglądasz.

– Nie powinieneś tu przyjeżdżać. Powiedziała ci, że jestem z kimś innym.

– Nie odpowiadasz na telefony ani na esemesy.

– Bo jestem teraz z kimś innym.

Podniósł dłoń.

– Nie chcę się kłócić. Chcę po prostu porozmawiać. Czy do pracy przyszedłeś pieszo? Mogę cię podwieźć?

Lucy cofnęła się i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Raczej nie. Nie mamy o czym rozmawiać, Brad. Nie pamiętam, dlaczego uciekłam od ślubu, więc naprawdę nie ma sensu...

– Odprowadzę cię. Zgadzasz się? Po drodze możemy porozmawiać.

Deptak to miejsce publiczne. Nie mogła zabronić mu iść obok siebie, a jeśli pozwoli mu się wygadać, to może wreszcie zostawi ją w spokoju.

– No dobrze, niech ci będzie. – Skręciła na deptak i ruszyła szybkim krokiem.

– Wygląda na to, że powinienem szybko mówić, co nie? – zapytał z nutą goryczy. – Słuchaj, Lucy. Dużo myślałem na nasz temat i doszedłem do wniosku, że chciałbym dostać drugą szansę.

Otworzyła usta, lecz nie dopuścił jej do głosu.

– Wiem, że widzisz się z tym drugim facetem, ale byłeś zaręczona ze mną. Zakochałaś się

we mnie i gdybyś nie rozbiła sobie głowy, nadal byś mnie kochała.

– Rzuciłam cię, zanim rozbiłam sobie głowę. Musiał być dostateczny powód, żeby cię zostawić.

– Po prostu stchórzyłaś. Byłaś zdenerwowana. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, przyszedłbym po ciebie, wyperswadowałbym ci rozstanie i przed zmrokiem bylibyśmy już po ślubie.

– Nie jestem tego pewna. Ale teraz to i tak bez znaczenia. Nie stało się tak. Nie mogę zmienić faktu, że rozwaliłam sobie głowę, że straciłam pamięć ani że zakochałam się w kimś innym. Przykro mi. Po prostu nie kocham...

– Błagam, nie mów tego. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. I spotkajmy się trochę później. Zapraszam na drinka.

– Wieczorem jestem zajęta.

– No to jutro rano. Spotkajmy się przy kawie albo przy czym chcesz. Wybierz gdzie i kiedy, a ja na pewno przyjdę.

Lucy pokręciła głową, rozdarta między chęć udobruchania go i przecucie, że nie powinna tego robić.

– To nie jest dobry pomysł.

Odetchnęła z ulgą, widząc w oddali „Przydrożny Zajazd”. Niemal zaczęła biec. Przez minutę szli w milczeniu. Lucy pchała do przodu adrenalina.

Już prawie parking. Już prawie alejka.

– No, Lucy, spójrz na to z mojego punktu widzenia. Moja narzeczona, kobieta moich marzeń, opuszcza mnie w dzień ślubu. Znika, a ja odchodzę od zmysłów, wyobrażając sobie najgorsze. Potem nagle się pojawia i nie tylko mnie nie kocha, ale nawet nie pamięta.

Już prawie drzwi.

– To nie moja wina.

– A teraz jeszcze jest z innym facetem. – Złapał ją za ramię, zmuszając, by się zatrzymała.

Akurat nadeszła Alma Walker i, nieco zdziwiona, skinęła Lucy głową na powitanie.

Brad stał ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami. Kiedy Alma ich mijiała, zrobił głęboki wydech.

– Nie powiedziałem, że to twoja wina – odezwał się, jak tylko znalazła się w środku. W jego głosie czuło się napięcie i nagle w głowie Lucy otworzyła się klapka. Żywo i wyraźnie zobaczyła tę scenę.

Było to wieczorem przed dniem ślubu. W towarzystwie swoich znajomych Brad ośmieszył Lucy. Kiedy później zgłosiła pretensje, pokłócili się. Był spięty, z trudem opanowywał złość. W końcu przeprosił. Pożegnali się długim pocałunkiem.

Po przebudzeniu się rano nie mogła otrząsnąć się ze złych przeczuc. Wkładając przepiękną suknię, powtarzała sobie, że nie odda mu ręki, dopóki nie oczyści atmosfery. Druhną Lucy była koleżanka z pracy, Anna, skrupulatnie przestrzegająca zwyczajów. Nigdy by nie zgodziła się na to, żeby pan młody ujrzał pannę młodą przed ślubem. Już i tak jej się nie podobało, że miała być tylko cywilna ceremonia.

Anna i Lucy weszły do budynku sądu, gdzie mieścił się urząd stanu cywilnego, bocznymi drzwiami.

– Muszę poprawić szminkę – powiedziała Lucy. – Możesz pójść do poczekalni zająć się gośćmi? Przedstawić ich sobie?



– Tak, oczywiście. – Anna oddaliła się, stukając obcasami, a Lucy skręciła w korytarzyk, żeby czatować na Brada. Napisał w esemesie, że pojawi się lada moment.

Serce podeszło Lucy do gardła. Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, żeby się uspokoić.

Natychmiast oczami wyobraźni ujrzała Zaca Callahana. Jego piękne szare oczy patrzące na nią tak, jakby była jedyną kobietą na świecie. Jego brodę delikatnie drapiącą ją w skronie. Jego czuły pocałunek na jej ustach. Obejmujące ją silne ramiona. Serce zabiło jej mocniej i poczuła bolesną tęsknotę.

„Przestań, Lucy!”

– Słyszysz mnie? – Brad ścisnął ją za ramię. – Lucy!

Spojrzała mu w oczy. On coś mówił, lecz jego słowa odbijały się od jej uszu, nie mogąc przebić się przez wspomnienia z dnia ślubu, które uczepiły się jej jak pąkle statku.

Tak naprawdę wcale nie kochała Brada. Zdecydowała się na niego, ale cały czas kochała Zaca.

Po rozstaniu z nim była rozpaczliwie samotna. Krótco po przeprowadzce do Portland w jej życiu pojawił się Brad. Pomógł jej wypełnić pustkę. Lubiła go. Był inteligentny i przy nim czasami udawało jej się zapomnieć o tym, jak ogromnie tęskni za Zakiem. Nie chciała być zawsze sama, a Brad był mężczyzną, którego mogła kochać, lecz który nie był jej potrzebny jak powietrze. Był bezpieczny. Akurat ktoś taki, z kim można spędzić życie.

Próbowała cofnąć się wspomnieniami jeszcze dalej i przypomnieć sobie ostatnie chwile spędzone z Zakiem, ale tabliczka była pusta.

Za to fala ruszyła, kiedy wróciła myślami do tego, co było potem.

Za drzwiami sądu rozległ się szum silnika i Lucy nabrała nadziei, że to Brad. Porozmawiają, on ją uspokoi i wszystko dobrze się skończy. A te nerwy... to tylko strach przed podjęciem decyzji. Jedyne, czego jej potrzeba, to chwila sam na sam z Bradem, zanim odda mu swoje życie.

Jego głos usłyszała jeszcze zza drzwi. Rozmawiając przez telefon, zawsze mówił donośnie. Po kilku sekundach Lucy zdała sobie sprawę, że narzeczony zamierza dokończyć rozmowę na zewnątrz. Mówił tonem oficjalnym, zdecydowanie i stanowczo. Ale pod powłóczką pewności siebie Lucy wyczuła zdenerwowanie.

– Powtarzam, Bill, że o tym nie zapomniałem.

Lucy oparła się głową o ścianę, nie zważając na kunsztowną fryzurę, nad którą Anna tak się nabiedziła.

– Cierpliwości. Powiedziałem ci, że dostaniesz to przed wieczorem, i tak będzie.

Lucy ogarnęły niedobre przeczucia. Nadstawiła ucha, czując, że serce podchodzi jej do gardła. Od razu po ślubie mieli jechać do Paryża. Jej walizkę Brad miał już w aucie.

– Zrobię przelew – mówił. – Jeśli zostawisz mnie w spokoju na dwie sekundy, wejdę do środka i załatwię sprawę.

W następnej chwili wpadł jak burza do budynku. Lucy rozplaszczyła się na ścianie za drzwiami, nareszcie wszystko rozumiejąc.

– Lucy! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – warknął Brad, ściskając ją boleśnie za ramię.

Lucy wyszarpaneła rękę. Wspomnienia szybko ulatywały, zostawiając w polu widzenia tylko

nieszczere oczy Brada.

Zrobiło jej się gorąco, jakby ją ktoś wrzątkiem oblał.

– Wykorzystywałeś mnie!

– Co takiego?

Zrobiło jej się słabo, ledwie trzymała się na nogach, palce jej zdrętwiały, ale myśli były jasne i precyzyjne.

– Przypomniałam sobie. Podśluchałam twoją rozmowę w sądzie. Byłeś komuś winien pieniądze. Chciałeś się ze mną ożenić tylko po to, żeby spłacić długi.

W jego oczach mignęło jakieś uczucie, ale zaraz przymknął powieki.

– Bzdura. Musiałś coś źle zrozumieć. To była zwykła rozmowa zawodowa. – Wyciągnął rękę i powiedział łagodniej: – Lucy, wiesz, jak cię kocham...

– Nie dotykaj mnie! – powiedziała, odsuwając się do tyłu. – I nie mów już więcej na ten temat. Wyczuwałam w tobie, w tej całej sytuacji, jakiś fałsz. Czułam to od samego początku. Nigdy mnie nie kochałeś.

– Lucy... nie bądź taka – jęknął błagalnie.

– Jeśli jeszcze raz się ze mną skontaktujesz, postaram się o sądowy zakaz zbliżania się do mnie.

Twarz mężczyzny zrobiła się zacięta, a usta wykrzywiły się w paskudnym grymasie.

Wtem drzwi z tyłu otworzyły się z trzaskiem i Lucy podskoczyła z wrażenia.

Zac jednym skokiem pokonał schody z ganku.

– Ostrzegałem cię, Martin.

– Czekaj – powiedziała Lucy, wyciągając przed siebie obie ręce. – Nic się nie stało. On już idzie. – Z Zakiem u boku spojrzała niechętnie na Brada i dodała: – Idziesz już, prawda?

Mężczyźni patrzyli na siebie wilkiem, a napięcie wzrastało z chwili na chwilę.

W końcu Brad oderwał wzrok od Zaca, zmierzył Lucy spojrzeniem z góry na dół i rzekł:

– Wiesz co? Jeśli chce, to niech cię bierze. Jesteś niezgrabna, za dużo gadasz, a twój wiejski akcent doprowadza mnie do szału.

Zac przyskoczył do Brada, ale ten cofnął się, podnosząc dłonie do góry i dając popis fałszywej brawury.

– Tylko mnie dotknij, koleś, a nie wypłacisz się z odszkodowań.

– Jeśli jeszcze raz zobaczę tu twoją parszywą gębę, rozerwę cię na kawałki. Sam się przekonasz.

Brad spojrzał na Lucy i Zaca pogardliwie, wyprostował się na całą wysokość i oddalił się.

Dopiero kiedy zniknął im z oczu, Zac stanął przed Lucy, przyjrzał się jej i spytał:

– Co się stało? Nic ci nie zrobił?

– Nie, nic mi nie jest. Ale w końcu coś sobie przypomniałam. Przypomniałam sobie dzień ślubu. – Opowiedziała całą historię. – Zależało mu tylko na moim majątku – zakończyła. – O mały włos nie wyszłam za mąż za kogoś, kto chciał mnie wykorzystać.

– Dzięki Bogu odkryłaś to w samą porę.

Roześmiała się gorzko.

– Tak, akurat w samą porę, żeby walnąć się w głowę, dostać amnezji i stracić siedem miesięcy życia.

– I żeby na nowo wejść w moje życie, nie zapominaj o tym. – Przyciągnął ją i pocałował w czubek głowy. – I jestem za to wszystko wdzięczny.

Lucy odetchnęła głęboko, wtulając się w jego ramiona.

– Ja też.

Może droga powrotna była kręta i wyboista, ale doprowadziła do celu i przyszłość rysowała się w różowych barwach.

## Rozdział 35

**W** następną sobotę Lucy oczekiwała zapowiedzianego przez Zaca wspólnego wieczoru ubrana w szorty i podkoszulek. Umyte włosy wysuszyła do góry nogami, żeby nabrały objętości, i lekko się podmałowała. Akurat nakładała szminkę, kiedy rozległo się pukanie.

Lucy otworzyła drzwi. Na progu stał Zac, niezwykle przystojny w dżinsach i czarnym podkoszulku. W ciemnym korytarzu krótko przycięta broda rysowała się tylko cieniem i nadawała mu zbójceki wygląd. Uśmiechnął się asymetrycznie i Lucy zapragnęła złożyć wielki pocałunek na tych jego wspaniałych ustach.

– Może być? – spytała, pokazując swój strój. – Dokąd jedziemy?

– To tajemnica, ale wyglądasz doskonale. – Wziął ją za rękę i pocałował we wnętrze dłoni. – Chodź, Lola czeka.

– Lola? Zabieramy na naszą randkę jeszcze jakąś kobietę?

– Zobaczysz.

Wyszli tylnymi drzwiami prosto na uliczkę, gdzie stał czarny motocykl. Lucy wydała zduszony okrzyk.

Zac uczynił gest ręką, mówiąc:

– Lucy, przedstawiam ci Lolę.

– Masz motor? Och, to Rileya. Teraz sobie przypominam.

– Prosił, żebyśmy zabierali Lolę na przejażdżki, a dziś jest świetna okazja.

W duszy Lucy musowało szczęście.

– Nigdy nie jechałam na motorze.

– Ale gotowa jesteś spróbować. Poznają to po iskierkach w tych pięknych błękitnych oczach.

– Uśmiechnął się łobuzersko i schował jej torebkę do worka marynarskiego przywiązanego z tyłu.

Temperatura była w sam raz, nieco ponad dwadzieścia stopni, i wiał lekki wiaterek. Lucy z troską spojrzała na szarawe chmurki zasłaniające słońce.

– Mam nadzieję, że pogoda się nie zepsuje.

– Nie ośmieli się! – Zac włożył jej kask na głowę i mruknął: – Może być trochę za duży na twoją makówkę.

– No wiesz! – Spojrzała na niego z udanym wyrzutem, który Zac całkiem starł, składając pocałunek na jej nosie.

– Ten jełop się nie odzywał, prawda?

– Oczywiście, że nie. Chyba już się nie pokaże, skoro wie, że go przejrzałam.

– Jeśli jednak się skontaktuje...

– To od razu dam ci znać.

– Dobra dziewczynka.

Zapiął pasek od jej kasku, założył na głowę swój i siadł na siodełku.

Na widok cienkiego jak rzemyk siedzenia, które zostało do jej dyspozycji, Lucy poczuła się trochę niepewnie. Ale usiadła i metodą wiercenia jakoś się rozlokowała. Rozległ się jakby jęk,

lecz zaraz zawarczał silnik i Lucy złapała Zaca za koszulę z boków.

– Trzymaj się! – zawołał Zac, przekrzykując ryk silnika.

Motocykl przyspieszył i Lucy uchwyciła się mocniej. Po chwili pochyłem skręcili w przecznicę i Lucy pisnęła. Zac jechał przez miasto ulicą biegnącą wzdłuż brzegu morza. Gdy przyspieszyli, wiatr zaczął szarpać podkoszulek, a w gołe nogi uderzały kamyczki. Lucy objęła Zaca ramionami, przytulając się do jego ciepłych, muskularnych pleców. Przestała liczyć zakręty, tylko zamknęła oczy, rozkoszując się jazdą.

Po kilku minutach Zac zwolnił i stanął. Lucy rozplotła obejmujące go kurczowo ręce i odkleiła się od jego pleców. Znajdowali się w cichej zatoczce połączonej z pełnym morzem przesmykiem ocienionym zalesionymi wzgórzami. Nad samą wodą rozciągało się pół mili piaszczysto-kamienistej plaży. W powietrzu pachniało sosnami i słonym morzem.

– Jak pięknie! – wykrzyknęła uradowana. – Chwila, czy ja tu już kiedyś byłam?

– Nigdy.

Zac patrzył na nią z rozbawieniem w oczach, a kąciki jego ust drgały od powstrzymanego śmiechu.

Kuksnęła go w bok.

– No wiesz, to całkiem usprawiedliwione pytanie.

– Jesteś czarująca. Bierz koc, Zapominalska.

Zac złapał worek marynarski i poszedł piaszczystą dróżką prowadzącą na plażę. Na moment wyszło słońce, oślepiając Lucy odbitym od wody światłem.

O kamienisty brzeg przed zatoczką uderzały fale, rozbijając się z rykiem o głazy. W Maine było tyle przybrzeżnych wysepek, że woda nie mogła nabrać impetu i omywała brzeg z łagodnym pluskiem.

– Prawdziwy przybój – szepnęła Lucy. Przypomniała jej się mapa w biurze informacji, nad którą spędziła wiele godzin, i w wyobraźni odtworzyła przebytą drogę. – To Zatoka Fok! – Deptak miejski przechodził w ścieżkę prowadzącą właśnie tutaj.

– Brawo, Panienko z Okienka. Wyostrz wzrok. Może zobaczysz kilka foczek igrających wśród fal.

Znaleźli płaski kawałek terenu, rozłożyli koc i przycisnęli do ziemi workiem marynarskim oraz butami.

Zac otworzył worek i powiedział:

– Mam nadzieję, że jesteś głodna.

– Umieram z głodu. Jedzenie masz w worku? A co się stało z moim pięknym koszem piknikowym?

– Nie zmieściłby się na motor. Poza tym od razu by zdradził moje zamiary. Mamy pieczonego kurczaka, nadziewane ziemniaki od ciotki Trudy, bułeczki z piekarni...

– Te, które lubię!

Oczy iskrzyły mu humorem.

– Wiem, głuptasie. Widziałem, jak wyjadłaś wszystkie z koszyka.

Lucy wytrzeszczyła oczy z udanym przerażeniem.

– Nic takiego nie zrobiłam! – zaprotestowała.

Spojrzał na nią znacząco.

Okej, pewnie coś w tym było.

– Oraz... – Wyjął ostatni pojemnik. – ...brownie z kawałkami czekolady i polewą waniliową. Zrobione przez niżej podpisanego.

– Och... moje ulubione. – Wzięła pojemnik do ręki. – Jeszcze ciepłe! Zaczniemy od niego.  
Zac uśmiechnął się wyrozumiale i wzruszył ramionami.

– Wola mojej pani jest moją wolą.

Nałożyła sobie duży kawałek ze środka, a Zac wziął dwa rogi. Lucy ugryzła ciastko. Było ciepłe i ciągnące się, a kawałki czekolady nie zdążyły jeszcze stwardnieć.

– Mmm, jakie dobre.

Podczas posiłku rozmawiali o pieniądzach, które odziedziczyła, i o tym, jak można je lokalnie zainwestować.

– Myślałaś o tej świetlicy środowiskowej, którą chciałabyś otworzyć?

– Tak. Muszę tylko znaleźć odpowiednie miejsce i napisać biznesplan.

Zac popił coca-colą.

– A dawna remiza? Jest do kupienia, bo strażacy przeprowadzili się na nowe miejsce.

Wyobraziła sobie stary ceglany budynek z czerwonymi drzwiami w ciepłe dni podniesionymi do góry – to byłoby zaproszenie do wejścia i poznawania ludzi.

– Wspaniały pomysł.

– Jak na remizę przestarzała, ale jest duża i ma boisko do gry w kosza.

– Bardzo mi się to podoba. Zainteresuję się tym.

Po rozmowie o remizie i marzeniach związanych ze świetlicą Zac opowiedział Lucy o pewnym miejscowym zespole, który w przyszłym tygodniu ma dać próbny występ, i drugim, grającym kowery muzyki country, cieszącym się popularnością w Bangorze.

Kiedy uporali się z ciastem, resztę jedzenia schowali do torby termoizolacyjnej, a sami postanowili zanurzyć nogi. Ocean był zimny, piasek z kamieniami drapał w podeszwy stóp, więc po chwili, trzymając się za ręce, poszli na spacer skrajem wody. Wokół panował spokój, słychać było tylko fale uderzające o brzeg i krzyk mew unoszących się w przestworzach.

Nagle Zac zatrzymał się i utkwiał wzrok w wodzie.

– Stój. Widzisz? – Pokazał coś u ich stóp.

– Ale co takiego? – zapytała Lucy, starając się przeniknąć błyszczącą powierzchnię. Następna fala poruszyła piaskiem.

– Tutaj, spójrz. Prawie nie widać.

Lucy pochyliła się, wbijając wzrok we wskazane miejsce.

– Co tam jest? Nic nie...

Zac nabrał zimnej wody w dłoń i chlusnął nią na szyję i ramiona dziewczyny.

Krzyknęła i odskoczyła.

Zac uśmiechnął się zadowolony.

– Nie wierzę, że dałaś się nabrać.

– Nie wierzę, że mi to zrobiłeś. – Pochyliła się i wzięła do ręki garść mokrego piasku. – Zapłacisz mi za to!

Zac zaczął uciekać, sadząc długie susy, ale ona była blisko i dognała go, ledwie dotarł do piaszczystej plaży.

Skoczyła mu na plecy, lecz dodatkowe obciążenie wcale nie zahamowało jego kroków. Lucy odciągnęła kołnierzyk z tyłu i wrzuciła mu garść piasku za koszulę.

– O nie!

Zac obrócił się momentalnie, złapał ją i zanim się zorientowała, świat zawirował, a ona zwisała mu głową w dół z ramienia.

Pisnęła i mocno złapała się jego koszulki.

– Puść mnie!

– Okej, jeśli sobie życzysz – powiedział i ruszył w kierunku oceanu.

– Zac! Nie ośmielisz się tego zrobić! Naskarżę na ciebie ciotce Trudy!

– Powie, że sobie zasłużyłaś. Ona zawsze mnie popiera. Jestem jej ulubieńcem.

Wszedł już do wody i brnął głębiej. Lucy zabębniła pięściami po jego plecach.

– Zac! Postaw mnie na ziemi!

– Czuję komara na plecach.

Był już w wodzie po kolana – Lucy sięgały do pól uda.

Walnęła go w pupę.

– Nie mam się w co przebrać, paskudniku!

– To nie mój problem, kiciu.

Popuścił jej nogi i Lucy zaczęła się zsuwać. Przestraszona, oplótła go rękami i nogami, zupełnie jak mała, i zahaczyła brodą o jego bark.

– Nigdzie się nie wybieram. Jeśli ja znajdę się w wodzie, to razem z tobą.

– Taaak? Jesteś pewna?

Połaskotał ją w talii i Lucy szarpnęła się w bok, puszczając szyję Zaca.

– Przestań! I wyjdź z wody, Zac!

Spojrzeli na siebie. W oczach Zaca migotały iskry wesołości.

– Pod dzinsami po moich nogach przesuwają się gule piasku, Georgianko. Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym ci odpuścić. – I znowu ją pogilgał.

Roześmiała się.

– Bo mnie kochasz.

Nagle przestała się śmiać. „Rany boskie, Lucy!” Ugryzła się w język.

– Wcale tego nie powiedziałam. A ty nic nie słyszałeś. Lepiej chodźmy popływać. No proszę, wrzuć mnie do wody. Jestem gotowa. Raz, dwa, trzy.

Wzięła głęboki oddech, wyduła policzki, zatkała nos i zamknęła oczy. Tak, z zamkniętymi oczyma było o wiele lepiej.

Zac się nie poruszył. Nawet nie drgnął.

– No, dalej – popędziła go.

Może warto pomyśleć, zanim się otworzy usta! Pragnęła zapaść się pod ziemię, ale ewentualnie mogła też zniknąć pod wodą. Może nigdy się nie wynurzy... a przynajmniej póki Zac sobie nie pójdzie. Nie chciała widzieć litości na jego twarzy.

Ale on stał w bezruchu i Lucy wreszcie zrozumiała, że nikt nie wyratuje jej z tej opresji.

Uchyliła lekko powiekę i spojrzała na Zaca. Miała go tuż przed okiem, a wyraz jego twarzy... zasługiwał na otwarcie obu oczu. Otworzyła więc i drugie, puściła nos i odetchnęła normalnie.

Zac patrzył na nią gorącym wzrokiem. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Och, co za oczy. Boże, miej litość. Zaglądał nimi w jej duszę.

– Oczywiście – powiedziała, śmiejąc się nerwowo. – Teraz, kiedy chcę być w wodzie, ty nie chcesz mnie puścić.

– Co to za frajda dla mnie, jeśli ty tego chcesz?

Szorstka faktura jego głosu błogo podrapała ją w środku. Jego oddech musnął jej wargi, odpalając tu i ówdzie neutrony.

– To nie jest miłe.

Zac utkwiał spojrzenie w jej ustach i rzekł:

– Czasami nie jestem miły.

– Tylko czasami?

– Tylko wtedy, kiedy jest to dla mnie wygodne. – Nachylił się i ich usta zetknęły się przelotnie.

Jeden raz. Dwa razy. Miał ciepły i słodki oddech z wyczuwalną nutą czekolady. Lucy objęła go mocniej i położyła dłoń na jego ciepłym karku. Zac pogłębił pocałunek, przyciągnąwszy ją mocniej do siebie, tak że czuła bicie jego serca na swoim.

Zac kiwał się w rytm przyplływających i odpływających fal. To była jej ostatnia racjonalna myśl, zanim cały świat zniknął jej sprzed oczu: słona bryza, szemrzająca woda i krzyki mew. Był tylko Zac i jego cudowne usta rozniecające w niej ogień.

Kiedy po długiej chwili odsunął się, Lucy wyrwał się mimowolnie jęk protestu. Serce biło jej tak mocno, że on to na pewno czuł.

Chłopak oparł swoje czoło o jej i Lucy zatraciła się w jego oczach, zauroczona czarnymi jak węgiel plamkami. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę znowu jest w jego ramionach. Tak ogromnie za nim tęskniła. Nie miała pojęcia, jak wytrzymała bez niego te siedem miesięcy.

Dwa lata temu szybko i głęboko zapadł w jej serce. Na wielu polach rozplątał ją jak splątany motek. I nadal to robił, a ona nie potrafiła bez niego zrozumieć życia.

– To prawda, Lucy – powiedział cicho.

– Hmmmm? – mruknęła pytająco, bawiąc się włosami spadającymi mu na kark.

– Że cię kocham.

Serce podskoczyło jej do góry z radości, ale jednocześnie zapłonął strach.

– Znowu?

– Nie. Nadal.

W jej duszy otworzyła się przepaść bólu, tak wielka, że mogłaby ją całą pochłonąć. Poczwała, że zaczynają ją piec oczy. Co zrobiła, żeby zasłużyć na takiego wspaniałego człowieka? Ona odczuwała podobnie, płonęła uczuciem. Nigdy nie przestała go kochać. Teraz była tego pewna. Pragnęła mu to powiedzieć – ale słowa stanęły jej w gardle, zbiły się w twardą kulę.

Dlaczego nie mogła ich wymówić? To tylko dwa krótkie słowa.

„Powiedz je, Lucy!”

Zac pocałował ją w nos.

– Powinniśmy zlikwidować zapasy, zanim jedzenie się zepsuje.

Lucy odchrząknęła.

– Masz rację. Powinniśmy – powiedziała i odsunęła się, jednocześnie zadowolona i rozczarowana, że odpowiedni moment minął.



## Rozdział 36

**P**o pikniku Zac zaproponował, żeby poszli do punktu widokowego na cyplu o nazwie Sawyer Point, żeby popatrzeć na foki. Cypel oddalony był o jakieś pół mili i stamtąd turyści zazwyczaj fotografowali światła latarni morskiej w Summer Harbor.

Lucy przyjrzała się chmurom na horyzoncie, które w czasie, gdy jedli, zrobiły się znacznie ciemniejsze.

– Niebo nie wygląda zachęcająco.

Zac rzucił okiem i oznajmił:

– Minie nas.

– Optymista z ciebie, Szefie.

Przytulił ją i rzekł:

– Optymista to moje drugie imię. Chodźmy.

Ścieżka prowadziła na północ. Zielone sklepienie iglastego lasu osłaniało ich od świata na zewnątrz. Pod baldachimem drzew było nieco chłodniej i powietrze drżało od radosnego świergotu ptaków i ćwierkania wiewiórek. Szli powoli, cicho stąpając po grubej warstwie sosnowych igieł.

Dotarłszy na miejsce, usadowili się na szczycie klifu. Lucy wygodnie oparła się plecami o klatkę piersiową Zaca. Siedzieli, przyglądając się falom uderzającym o brzeg. W oddali widać było białą latarnię przycupniętą na cyplu tuż koło Summer Harbor. Folly Shoals wyglądały jak ciemny garb na morzu.

Fok nie było ani śladu, ale wtulona w Zaca Lucy wcale tego nie żałowała. Szczególnie kiedy odsunął jej włosy na bok i pocałował w szyję. Jego gorący oddech ogrzewał ją, a drapanie brody przysparzało o dreszcz rozkoszy przesywający ją od głowy aż po czubki palców.

– Zaczyna wiać – powiedział Zac. Po kilku sekundach zabłyśły światła latarni i rozległ się głuchy grzmot.

– Oho – zauważyła Lucy.

– To rozkaz odmarszu.

Zac pomógł jej wstać i szybko ruszyli w drogę powrotną, licząc na to, że uda im się uciec przed burzą. Jazda na motocyklu w ulewę to niespecjalna przyjemność. Kiedy ścieżka robiła się bardziej stroma, Zac podawał Lucy rękę, żeby się nie przewróciła, i po kilku minutach dotarli na plażę.

Niebo nad ich głowami było już ciemne i ponure, a w powietrzu unosił się zapach deszczu. Nagle błysnęło, po niebie przetoczył się grzmot i spadły pierwsze krople. Wiatr zaczął szarpać włosy Lucy, więc odgarnęła je z twarzy.

– Załóż kask – zawołał Zac, przekrzykując burzę i wskazując dłonią drogę. – Ja pozbieram nasze rzeczy.

– Pomogę ci.

Nie protestował, kiedy potruczała razem z nim po koc, który wiatr zepchnął z piasku na pusty już worek marynarski.

Lucy podniosła ręcznik i machnęła nim, żeby strzepnąć piasek. Wiatr wyrwał jej go z ręki,

ale Lucy udało się go pochwycić w powietrzu, i sięgnęła po drugi. Deszcz zaczął lać porządnie, więc szybko porwała koc, nawet nie próbując go wytrzeć.

Kucnęła obok Zaca, który błyskawicznie pakował wszystko do worka.

Nagle przed jej oczami pojawił się obraz Zaca pakującego ten sam worek i Lucy zastygła, porażona zdumiewającą jasnością wizji.

Przez cały tydzień Zac był bardzo spięty. Zaniepokojony finansami i rozdarty pomiędzy pracą w „Przydrożnym Zajeździe” a koniecznością pomocy braciom na plantacji choinek przed zbliżającym się Bożym Narodzeniem. Rzadko do niej dzwonił i esemesował, a przez ostatni miesiąc wyszli razem tylko jeden raz – przed tygodniem, do „Chaty Homara”.

Czyżby jego uczucia się zmieniły? Czy doszedł do wniosku, że popełnił błąd? Czyżby już nie chciał się z nią ożenić?

Przeraziła się do głębi. W duszy wykiełkowała czarna, dusząca obawa, a im dłużej Zac wydawał się unikać spotkania, tym rosła większa i silniejsza. Ale jej miłość była tak potężna, że spychała czarne myśli na bok.

Tymczasem dziś... dziś wszystko wskazywało na to, że zbliża się kryzys. Gdy Lucy wpadła po pracy, żeby przedyskutować ostatnie sprawy związane ze ślubem, zastała Zaca na pakowaniu worka marynarskiego.

Stanęła na progu sypialni i ten niespodziewany widok ją sparaliżował. Przypomniała sobie identyczną scenę, jaka rozegrała się przed laty w domu przy Oak Street.

– Co... co robisz?

Zac spojrział na nią przelotnie. Minę miał nieprzeniknioną. Pokręcił głową. Musiał zacisnąć zęby, bo po jego szczęce przemknął cień.

– Co robisz? – spytała.

Wrzucił do worka parę skarpetek i zatrzasnął szufladę.

– Muszę wyjechać. Potrzebuję się stąd wyrwać.

Te aż za dobrze znane słowa zawirowały jej w głowie, przywołując nagle bolesne wspomnienia zepchnięte w niepamięć. Na Lucy spadła gęsta, dusząca mgła. Miała znowu sześć lat i trzęsąc się ze strachu, przyglądała się, jak tato pakuje walizkę.

Jej serce ścisnęła lodowata pięść.

Zac pakował się szybko i nerwowo, mamrocząc coś o muzykach, którzy nawalili, narzekał na klientów, bez troskę pracowników, wymagania braci, ale jego słowa ginęły zagłuszone szumem krwi w uszach.

Lucy nie mogła nabrać tchu i serce rozbijało się o klatkę żeber. Z trudem radziła sobie z podstawowym zadaniem – oddychania.

„Wyjeżdża. Rzuca cię. Przecież wiedziałaś, że to się tak skończy”.

Naturalnie, że wiedziała. Wszyscy tak robią. Porzucają ją. Najpierw mama, potem tato. Jak mogła tak głupio oddać swoje serce?

„Jesteś idiotką”.

Serce Lucy waliło o zębra. Powinna była się spodziewać. Powinna była się spodziewać!

„Jesteś niczym, więc nikogo nie zatrzymasz przy sobie na dłużej. Kiedy to wreszcie do ciebie dotrze?”

Zapiekle ją oczy na wspomnienie tego, jak uczepliła się taty, błagając, by ją ze sobą zabrał. Ale on wsadził ją w ręce pani Wilmington, jakby była workiem śmieci, i nigdy nie wrócił.

– Lucy, pospiesz się!

Te słowa przywołały ją do rzeczywistości.

Deszcz zaciął, spływając jej po twarzy potoczkami. Zac chował ostatnie rzeczy do torby. Lucy nagle ujrzała go w nowym świetle.

Przypomniała sobie pierwsze dni po wstrząsie mózgu i to, co powiedział jej o zakończeniu ich związku. Nie bardzo rozumiała, co jej mówił. Dla niej to nie miało żadnego sensu. Przecież nie zostawiłaby go ot tak, bez powodu. Nie znikłaby bez słowa. A już na pewno nigdy w życiu nie zrobiłaby tego Zacowi.

Utkwiła wzrok w jego twarzy i powiedziała:

– Okłamałeś mnie. – Burza porwała i pochłonęła wypowiedziane słowa.

Zac zapiął torbę i wstał, zarzucając ją sobie na ramię. Spojrzał w dal, za Lucy, a potem na nią.

– Co się stało? – spytał z troską.

Błysnął piorun, rozległ się grzmot i ziemia zatrzęsała się pod ich nogami.

– Co takiego? – spytał i podał jej rękę. – Chodź, nie stójmy na tym deszczu.

Lucy nie zwróciła uwagi na wyciągniętą rękę. Woda spływała jej do oczu, więc zamrugała.

– To ty mnie porzuciłeś!

Zmarszczył brwi.

– O czym ty mówisz?

Lucy miała wrażenie, że jej serce bije w uszach. W kolana wbijał się piasek. Wiatr szarpał mokre kosmyki włosów.

– Przypomniałam sobie. Nasz ostatni dzień. – Spojrzała mu w oczy. – Zostawiłeś mnie.

Zac lekko przechylił głowę na bok i patrzył na nią badawczo.

– Wtedy, kiedy pojechałem na weekend do Bangoru?

Do oczu Lucy zaczęły napływać łzy.

– Zostawiłeś mnie.

W jego oczach mignęło coś ciepłego i kuszącego. Ukląkł na piasku naprzeciw Lucy i wyciągnął do niej rękę.

Lecz ona odsunęła się gwałtownie.

– Nieprawda, Lucy.

– Ależ tak!

– Musiałem tylko się wyrwać z kieratu.

– Otóż to – powiedziała, przekrzykując wycie wiatru. To właśnie się mówi, kiedy się chce kogoś porzucić na wieczność.

Zac pokręcił głową.

– Byłem zmęczony, żyłem w stresie i nie mogłem poradzić sobie ze smutkiem po śmierci taty. Za tydzień mieliśmy brać ślub. Pojechałem do Bangoru z kolegami, żeby się wyładować. To wszystko.

– Wcale mi tego nie powiedziałeś.

– Powiedziałem. Na pewno. Dlaczego miałbym wyjechać na zawsze? Przecież tu mieszkam. Mam tu rodzinę. Mam tu własną firmę.

– Tak samo jak mój ojciec. Ale to go nie powstrzymało przed zniknięciem z mojego życia.

Z każdą chwilą ciemność w jej duszy pęczniała, tak że Lucy o mało nie pękła. Musiała się oderwać od tego wszystkiego. Uciec jak najdalej. Wstała i pobiegła do lasu.

## Rozdział 37

**Z**acowi kręciło się w głowie od tego, co właśnie usłyszał. Dlaczego uważała, że ją opuszcza? Przecież tak mocno ją kochał. I nadal kocha. Może nie powiedział tego wyraźnie, gdzie i na ile wyjeżdża, ale przecież jego dom był tutaj. A za moment miał być ich ślub.

– Lucy, poczekaj! – Ocierając wodę lejącą się po twarzy, rzucił się w pogoń za dziewczyną.

Biegła, zapadając się stopami w piasku, smagana deszczem i targana wiatrem. Byle do ścieżki prowadzącej do miasta.

– Lucy!

Dopadł jej trzema susami, złapał za rękę i obrócił twarzą do siebie.

– Puszczaj!

Włosy miała przyklepane do czoła, a w błękitnych oczach panikę i ból. Rzęsy mokre – nie wiedział, od deszczu czy od łez.

Nigdy jej nie widział w takim stanie.

– Czekał... Lucy, pomyśl tylko. Wróciłem po paru dniach, prawda? – Nie wspomniał nic o tym, co działo się, kiedy zorientował się, że wyjechała bez słowa. Jak w panice wydzwaniał do niej raz po raz, zanim w końcu zrozumiał, że zostawiła go w wyniku świadomej decyzji. Jak odkrywszy to, rozbeczał się jak dziecko.

– Źle mnie zrozumiałaś.

– Nie chciałeś nawet na mnie patrzeć. Byłeś zły.

Przestał ją kurczowo trzymać, tylko delikatnie gładził jej ramiona.

– Nie na ciebie. Miałem mnóstwo na głowie. Nie powinienem był wyjechać w ten sposób, skarbie, ale... byłaś najlepszą częścią mojego życia. Nie mógłbym nie wrócić. To niemożliwe.

Na jej twarzy mignęła nadzieja, ale zaraz zasłoniła oczy okiennicami powiek.

Zrobiła ruch, jakby chciała się cofnąć, lecz Zac zdążył zacisnąć dłoń na jej ręce.

– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? – Nagle uświadomił sobie coś, co powiedziała. – Och, twój tato... Mówiłaś, że zmarł, a teraz okazuje się, że cię porzucił. Nic nie rozumiem.

Lucy zaczęła się wyrывać.

– Nie chcę o tym mówić.

W końcu szarpnęła tak mocno, że puścił ją, nie chcąc jej posiniaczyć. Lucy nie spodziewała się tego i zatoczyła się do tyłu. Po kilku krokach udało jej się złapać równowagę i zaczęła wdrapywać się na drózkę.

– Lucy, wracaj! – zawołał Zac.

„Psiakrew!”

– Odwiozę cię do domu! – Kiwał się w tył i przód, targany niepewnością, czy zatrzymać ją, co podszeptowało mu pragnienie, czy zostawić w spokoju, co podpowiadał instynkt. W końcu rzucił worek i popędził za dziewczyną.

– Lucy, poczekaj. Odwiozę cię do domu.

– Zostaw mnie w spokoju!

Wyjący wiatr niemal całkiem zagłuszał jej słowa. Znowu błysnęło i od grzmotu zatrzęsa się

ziemia. Deszcz zrobił się jeszcze bardziej gwałtowny, niemal wwiercając wodę w skórę.

Lucy dopadła wreszcie ścieżki i znalazła się pod osłoną drzew. Po krótkiej chwili zniknęła w labiryncie sosen.

## Rozdział 38

**L**ucy nie miała pojęcia, ile czasu minęło, zanim dotarła do miasta. Słońce stało nisko nad wzgórzami i zapadał zmrok. Ubranie lepilo się jej do ciała, włosy były przylizane do głowy. Sandały nasiąkły wodą, a skóra na palcach u nóg pomarszczyła się. Lecz żadna z tych fizycznych niedogodności nie mogła równać się z ziejącą jak przepaść raną w duszy.

Biegła szybko. Nogi ją rozbolewały, ale nie mogła przestać. Jeśli się zatrzyma, zacznie myśleć, a wcale nie chciała myśleć.

Dlaczego akurat teraz musiała wrócić jej pamięć? Teraz, kiedy wszystko tak dobrze się ułożyło? Kiedy nareszcie ona i Zac byli tacy szczęśliwi?

„Dlaczego, Panie Boże? Dlaczego choćby raz nie może mi się coś udać?”

W kieszeni zabrzączał telefon, lecz go zignorowała. Zaczęła mrugać, żeby oczy przestały ją piec. Nad Mulligan's Hill niespodziewanie błysnął piorun, a potem huknął grzmot. Lucy podskoczyła. Spojrzała na majaczący w dali ciemny „Przydrożny Zajazd”.

Gdzie ma iść? „Panie Boże, co mam teraz robić? Błagam, pomóż mi”.

Zwolniła, patrząc poprzez strugi deszczu na zajazd. Nie może przecież tam wrócić. Na razie nie może spotkać się z Zakiem. Jest zła i ma mętlik w głowie. A strach... wczepił w nią swoje szpony i tylko czeka, żeby wychylić łeb na zewnątrz.

W głowie kołatały się jej słowa Zaca, ale odsunęła je od siebie. Nie chciała więcej myśleć na ten temat.

Zaczęła zastanawiać się, czy nie wyjechać. Czy nie wrócić do Portland. Stopy pchały ją do ucieczki. Serce waliło głośno jak bęben basowy. Gula w gardle utrudniała oddychanie.

„Boże, pomóż mi!”

W duszy poczuła szarpnięcie. To coś nowego. Ostre szarpnięcie, sugerujące jej, że powinna zostać. Wzdrygnęła się z niechęcią.

A potem pojawił się jakiś niski warkot. Najpierw pomyślała, że to grzmot. Lecz dźwięk zbliżał się, rósł. Pracujący silnik.

„Dobry Boże, byle tylko nie Zac. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby go widzieć”.

Szła uporczywie ku miastu, pochylona, walcząc z wiatrem. Czowała się zbyt niepewnie, żeby spojrzeć Zacowi w oczy. Była słaba. Rzuciłaby mu się w ramiona, nie bacząc na ostrzeżenia rozumu. Za mocno się zakochała. Zac wszedł głęboko w jej serce i teraz rozrywał je na strzępy.

Po raz drugi.

Głośny warkot skłonił Lucy do odwrócenia głowy. Przy krawężniku nagle zatrzymywała się czerwona furgonetka. Mokra szyba zjechała kawałek w dół, odsłaniając zmartwioną twarz Eden.

Auto stanęło tuż przy Lucy. Prowadził Beau, a w środku między nim a matką siedział Micah.

– Wsiadaj – powiedziała Eden.

Lucy skuliła się z zimna.

– Poradzę sobie. Nie ma miejsca, a poza tym wszystko będzie mokre.

– Lucy, wsiadaj, bez gadania. – Eden otworzyła drzwiczki, wzięła syna na kolana i opuściła fotelik dziecięcy z tyłu.

Lucy złapała za klamkę, wgramoliła się do środka i zatrzasnęła drzwiczki. Ściekająca woda spływała po jej nogach i wsiąkała w tapicerkę.

Beau ruszył z miejsca, a Eden podniosła szybę.

– Przepraszam – powiedziała Lucy, szcękając zębami. – Będziecie mieli całe mokre siedzenie.

– Nie szkodzi – skwitował Beau. Sięgnął do tyłu i podał jej marynarkę.

– Dzięki – udało jej się wyjąkać.

– Co się stało? – zmartwiła się Eden. – Dlaczego w tę burzę nie siedzisz w domu?

– By-yliśmy w Z-Z-Zatoce Fok. I... pokłóciliśmy się.

– Z Zakim? – upewniła się Eden.

Lucy skinęła głową i zacisnęła zęby, żeby nie szcękały.

Beau spojrział na nią uważnie. Kąciki ust drgnęły od opanowywanej emocji.

– I Zac puścił cię samą do domu? W tej nawałnicy?

– Ja... uciekłam.

– Skopię mu tyłek. – Dodał gazu i przeleciał na zielonych światłach.

Lucy nagle zorientowała się, że jadą do „Przydrożnego Zajazdu”. Od wewnętrznego chłodu dostała gęsiej skórki.

Położyła rękę na kolanie Eden.

– Moment, moment. Nie mogę wracać do domu. Błagam was, tylko nie tam. Wysadźcie mnie przy bibliotece albo gdziekolwiek.

Eden spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie wysadzimy cię przy bibliotece. Lepiej jedź do mnie. Weźmiesz prysznic i przebierzesz się w suche rzeczy.

– Nie chcę, żebyście przeze mnie zmieniali plany.

– Niczego nie zmieniamy – powiedział Beau. – Zostawię was, dziewczyny, a my z Micah pójdziemy na lody.

– Tak!!! – Ucieszył się chłopiec i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Jeśli nalegacie – westchnęła Lucy i odwróciła głowę. Krople deszczu spływały po szybie jak łyzy.

Prysznic przepędził chłód z ciała, ale serce nadal ścisnęła zimna pięść. Lucy włożyła legginsy i spłowiełoniebieski T-shirt. Jej ubranie kręciło się w suszarce koło kuchni, a metalowy guzik szortów od czasu do czasu podzwaniał o bęben. Eden zaproponowała, żeby została na noc i przespała się na łóżku Micah, i Lucy chętnie się zgodziła.

Usiadła na kanapie, podwijając nogi pod siebie. Lewa skroń pulsowała bólem, zapowiadając nadciągającą migrenę. Lucy pomasaowała ją i sięgnęła po telefon. Kiedy była w łazience, Zac dwa razy dzwonił i wysłał kilka esemesów. Teraz odpowiedziała na nie, informując go, że jest u Eden. Zac natychmiast zaproponował, że po nią przyjedzie, lecz napisała mu, że potrzebuje trochę czasu, żeby odzyskać równowagę.

Do pokoju weszła Eden z parującym kubkiem.

– Pomyślałam, że przyda ci się gorąca kawa.

– Dzięki. – Wzięła kubek i łyknęła. Mimo że gorący napój ogrzał przetyk, dziwny wewnętrzny chłód pozostał, ziębnięć aż do kości.

Eden przeniosła stertę klocków Lego z sofy i usiadła.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Lucy pokręciła głową.

– Jestem kompletnie skołowana.

– Co się stało?

Wspomnienia napłynęły szeroką falą, przynosząc ze sobą znajomy ból.

– Przypomniało mi się. Już wiem, co zdarzyło się kilka miesięcy temu, kiedy stąd wyjechałam.

Eden podniosła brwi.

– To chyba dobrze... prawda?

– Chyba nie. – Lucy zrelacjonowała jej, co się stało, jak przyszła do Zaca i zastała go na pakowaniu się. Jaki był wtedy zły i zdystansowany. Jak przestraszyła się i uciekła.

– Ale na plaży powiedział, że wyjeżdżał tylko na weekend z kolegami... żeby się wyładować. I że źle zrozumiałam jego wyjazd.

– A dlaczego przyszło ci do głowy, że wyjeżdża na stałe?

– Nie wiem. Teraz... zdaję sobie sprawę, że to było bez sensu. Ale wtedy wszystko składało się w czytelny obraz. Był zły, trzymał mnie na dystans i powiedział, że musi się wyrwać.

– A ty myślałaś, że musi wyrwać się od ciebie.

Bezkresna ciemność osiadła jej na duszy, przygniatając ją swoim ciężarem. Nie mogła oddychać, jak gdyby opasana niewidoczną obręczą. Oczy ją zapiekły i Lucy z całej siły zacisnęła pięści, tak że paznokcie wbiły jej się we wnętrza dłoni.

– To... to mi wszystko przypomniało. – Zaciśnięte gardło nie pozwoliło na dalsze słowa. Co się z nią dzieje? W końcu to było bardzo dawno. Ile jeszcze łez wyleje, zanim w końcu przestanie cierpieć z powodu porzucenia przez ojca?

Kanapa zaskrzypiała i Lucy zorientowała się, że Eden przysunęła się do niej.

– Co ci przypomniało?

Lucy roześmiała się gorzko i po twarzy popłynęły jej łzy.

– To długa historia. – I bolesna. Wcale nie miała ochoty jej jeszcze raz przeżywać. – Nie mam swojego miejsca na ziemi.

Nikommu nigdy o tym nie wspominała. Zepchnęła koszmar do najciemniejszych zakamarków serca. Czy przestanie ją dusić, jeśli pozwoli mu wyjść na światło dzienne? Trudno w to uwierzyć, raczej może być gorzej.

– Widzę, że boisz się poruszyć ten temat – powiedziała Eden – lecz podzielenie się problemem może ci pomóc. No, wyduś to z siebie. Ja po tym, co przeszłam z mężem, potrzebowałam terapii. Duszenie w sobie zniszczy cię psychicznie. A chyba wiesz, że możesz mi zaufać?

Eden była dla Lucy najbliższą z koleżanek, niemal przyjaciółką, której nigdy nie miała. A znały się zaledwie dwa miesiące. To żałosne, że przez całe życie nigdy nie udało jej się z nikim naprawdę zaprzyjaźnić.

Przyszło jej do głowy, że może to z jej winy.

– Nigdy nie mówiłam o tym Zacowi. Ani nikomu innemu. – Znowu poczuła to dziwne szarpnięcie w duszy i nabrała odwagi.

Zacęła od tego, jak śmierć matki zmieniła jej dzieciństwo. Powiedziała o dniu, gdy wróciwszy do domu, zastała ojca na pakowaniu rzeczy, o tym, jak ją oderwał od siebie i wepchnął w ramiona sąsiadki.

– O rety. To straszne. Że też musiałaś przez to przejść.

Lucy wytarła oczy.



- Nikogo więcej poza nim nie miałam. Powinien być przy mnie bez względu na wszystko.
- Nic dziwnego, że tak zareagowałaś, widząc, jak Zac się pakuje.
- Więc nie uważasz, że zwariowałam?
- Nie! – Poklepała Lucy po ręce. – Jezu, powinnaś widzieć, jak na początku zareagowałam na Beau! Byłam w rozsypce. Nasze reakcje nie zawsze wydają się racjonalne, ale w świetle osobistych doświadczeń są całkiem uzasadnione.
- Mam pokusę, żeby znowu spakować manatki i dać dyla. Przyznam szczerze, to bardzo silna pokusa. Mimo tłumaczeń Zaca. Bez sensu.
- Wyjazd Zaca musiał wywołać z podświadomości strach przed porzuceniem. Przypomniałaś sobie to wszystko, wydawało ci się, że scenariusz się powtarza.
- Lucy patrzyła na Eden długą chwilę. Poczowała się zrozumiana i ciężar w duszy znacznie zelżał.
- Eden uśmiechnęła się cierpko.
- Wiesz, ja to wszystko znam. Ale uwierz mi, ucieczka niczego nie zmieni. Ten problem cały czas będzie wyłazić na wierzch, dopóki się z nim nie uporasz.
- Lucy aż skurczyła się na myśl o konieczności zmierzenia się z zapiekłymi emocjami.
- Wątpię, czy potrafię.
- Potrafisz. Bóg da ci siłę, tak jak dał ją mnie. I sprawi, że któregoś dnia twoje obecne doświadczenia okażą się dobrodziejstwem. Tak jak sprawił, że moje doświadczenia przydają się teraz, żeby ci pomóc.
- To wydaje się bardzo odległe. Nieosiągalne.
- Tylko się nie okłamuj. Po jakimś czasie emocje się dostosują.
- Eden ścisnęła Lucy za rękę.
- Cierpliwości. Módl się o to i słuchaj, co Bóg ma ci do powiedzenia. Na pewno pomoże ci wszystko wyprostować. I nie zapominaj o mnie. Ja też zrobię, co w mojej mocy.

## Rozdział 39

**N**astępnego dnia rano Zac przyjechał do kościoła pół godziny przed nabożeństwem. Noc spędził bezsennie, przewracając się z boku na bok, co chwila wracając do dwóch krótkich esemesów od Lucy i starając się czytać między wierszami. Czy była zła? Miała mętlik w głowie? Bała się? Znowu chciała zniknąć?

Wyłączył silnik i odchylił się na oparcie fotela. Czekając, odtwarzał wczorajszą rozmowę. W głowie kręciło mu się od pytań.

Dlaczego wtedy, jesienią, była przekonana, że ją porzuci? Dlaczego nie porozmawiała z nim, zamiast pochopnie wyjechać? Dlaczego mówiła, że ojciec ją zostawił? Jak się okazuje, Zac o wielu rzeczach nie wie.

Pragnął ją zrozumieć. Nie mógł zapomnieć bólesci, jaką wczoraj ujrzał w jej oczach. Cierpienia na twarzy. Jego krótki wyjazd wyrządził Lucy krzywdę. Zniszczył ją.

I to on ponosi za to odpowiedzialność. Serce ścisnęło mu się z bólu. Nigdy nawet na myśl mu nie przyszło, że mógłby ją skrzywdzić. Chciał ją chronić, osłaniać, dawać powody do radości i śmiechu. Ale wtedy, kiedy wyjechał, tak był zaabsorbowany własnymi problemami, że w ogóle nie myślał o Lucy. Był w paskudnym nastroju. Teraz zrozumiał, że mogła to odnieść do siebie. Nie powiedział jej ciepłego słowa, nie pocałował czule, żeby zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

A kiedy wrócił po weekendzie i odkrył jej nieobecność, znowu nie przyszło mu do głowy zastanawiać się nad jej emocjami. Nie miał na to czasu. Znadto zajmowały go własne uczucia. Wolał chować się za tarczą świętego oburzenia.

Zacisnął usta. „Całkiem niezły ze mnie egoista, prawda, Panie Boże?” Jak widać, powinien sobie zrobić powtórkę z tematu miłości.

Na parking zajechało auto i Zac z nadzieją obejrzał się do tyłu.

Lecz to była tylko organistka, pani Pritchard. Pomachał jej, kiedy mijala go w srebrnym buicku.

Parking powoli się zapełniał. Kwadrans przed nabożeństwem zjawił się Beau i ciotka Trudy. Ciotka podreptała do kaplicy, a Beau podszedł do furgonetki brata.

Zac szybko spuścił szybę, licząc na to, że przez Eden dowie się czegoś o Lucy.

Tymczasem brat powitał go gniewnym spojrzeniem.

– No wiesz, Zac! Pozwoliłeś jej wracać pieszo w taką burzę?

– Chciała, żebyśmy zostawił ją w spokoju. Co miałem zrobić? Przywiązać ją do motoru?

– Mogłeś zostać z nią.

Serce przyznało mu rację. No tak, musiał zidiociec.

– Miałeś rano jakieś wieści?

Beau obrzucił go długim, karcącym spojrzeniem. Zapewne, żeby ukarać go kilkoma dodatkowymi sekundami cierpienia.

– Nie – odezwał się w końcu. – Ale lada moment powini tu być.

– A wiesz, co się stało? Eden coś ci mówiła?

Beau wzruszył ramionami.

– Tylko powtórzyła waszą kłótnię. Reszty nie chciała zdradzić.

Zac oparł głowę o zagłówek fotela i zamknął oczy.

– To mnie dobija. Miałem nadzieję, że z nią porozmawiam, zanim wejdziemy do kościoła.

Beau spojrział na zegarek.

– Radzę zacząć od przeprosin.

– Ależ z ciebie Sherlock.

Beau podniósł dłonie do góry.

– Nie strzelaj do posłańca!

Zac miał na języku tyle pytań, że na pewno nie udałoby się na nie odpowiedzieć w ciągu kilku minut. Ale wiedział jedno. Że nie może znowu stracić Lucy. Doskonale znał ból rozstania. I może był głupi, lecz wydawało mu się, że Lucy również nie chce zrezygnować z tego, co jest między nimi.

– Jeszcze jakieś mądrości? – spytał z sarkazmem i nadzieją jednocześnie.

Beau zignorował sarkazm. Spojrział na brata nieco łagodniej.

– Zdobądź się na cierpliwość. Mam wrażenie, że ona jest w trudnej sytuacji.

Zac przypomniał sobie te słowa, kiedy po kilku minutach na parking wjechało auto Eden. Ale fotel pasażera był pusty.



Lucy niemal ucieszyła się, budząc się o szóstej rano z potężną migreną. Dzięki Bogu uda jej się uniknąć spotkania z Zakiem. W apteczce Eden znalazła ibuprofen i wzięła zalecaną dawkę. Pewnie nie złagodzi bólu, lecz wypróbowane leki przeciwko migrenie znajdowały się w „Przydrożnym Zajeździe”.

Obudziła się na krótko, gdy Eden weszła do pokoju po ubranie dla syna, i powiedziała, że nie wybiera się do kościoła. A potem znowu zasnęła i obudziła się dopiero prawie o drugiej. Nie mogła uwierzyć, że tyle godzin spała. No, ale prawie do trzeciej rano na zmianę płakała i się modliła.

Sen cudownie podziałał na migrenę. A modlitwa pomogła jej przemyśleć sprawy. We wczesnych godzinach rannych zrozumiała jedno. Nie wie, co ją czeka w przyszłości. Za to wie, jaki powinna zrobić następny krok.

Przez ściany przeniknął dźwięk włączonego telewizora, a zapach kawy wyciągnął ją z łóżka.

Umyła twarz i zęby. Oczy miała spuchnięte, włosy skołtunione, lecz brakowało jej sił, by się tym przejmować. Zwabiona aromatem kawy, zeszła na dół.

Eden siedziała na kanapie, a na jej kolanach słodko drzemał Micah. Pod stopami Lucy zaskrzypiał stopień i Eden podniosła wzrok.

– Cześć. Lepiej się czujesz?

– O wiele lepiej – odparła ochryple. Chrząknęła i dodała normalnym głosem: – Czy mogę mieć nadzieję na kawę?

– Pół dzbanka stoi na kuchence. Poczęstuj się.

– Dzięki.

– Dziwię się, że nie jesteś u Beau – powiedziała Lucy po chwili, wróciwszy z kubkiem kawy do salonu. Niedzielny obiad był u Callahanów tradycją. Ją też już zaczęto zapraszać. Serce ścisnęło się jej na myśl o Zacu. Jak to możliwe, że jednocześnie tęskni za nim i boi się z nim spotkać?

- Nie chciałam, żebyś po przebudzeniu się była sama.
- Nie musiałaś zostawać ze względu na mnie. Jak było... w kościele?
- W kościele w porządku, ale podejrzewam, że tak naprawdę pytasz o Zaca?

Ogromnie chciała wiedzieć, co się z nim dzieje. Wczoraj była w takim stanie, że jego mina dotarła do jej świadomości dopiero wieczorem, gdy już leżała w łóżku. Skupiony, pełen troski wzrok. Głos łamiący się od emocji. I w końcu to ostatnie, bolesne spojrzenie. Prześladowało ją.

Sięgnęła po kawę, mając nadzieję, że kofeina doda jej energii.

- Czy... ma się dobrze? – spytała, o mało nie oblewając się kawą, bo ręce jej się trzęsły.

Eden przeczesła palcami włosy syna i odparła:

– Zależy, jak rozumiesz słowo „dobrze”. Martwi się o ciebie. Pragnie z tobą porozmawiać. Wpadł tu jakieś pół godziny temu. Przyniósł twoją torebkę. – Eden przechyliła głowę. – Wygląda żałośnie, Lucy. Te jego wielkie szare oczy są przekrwione, twarz zmizerniała. Powinnaś skrócić jego cierpienia.

Lucy zakłuło ostro za mostkiem.

- Wczoraj, zanim to wszystko się stało, powiedział, że mnie kocha.

Eden uśmiechnęła się półgębkiem.

- No, to mnie nie dziwi. Podejrzewam, że uczucie jest odwzajemnione.

Lucy chciała potwierdzić, ale zanim słowa dotarły do języka, pochłonęło je wewnętrzne zimno. Dlaczego jest jej tak trudno wyznaczyć swoje uczucia?

„Dlaczego jestem takim odmieńcem, Panie Boże?”

To nienormalne, ukrywać taki wielki kawał swojej duszy, prawda? Wszystko, co się z nią działo, było w jakiś sposób związane z ojcem, i nie zważając na ból, Lucy musi zgłębić to do samego końca. Zac jest tego wart.

– Wiesz już, co chcesz zrobić? To znaczy możesz tu mieszkać do woli, ale mam nadzieję, że spróbujesz jakoś unormować sprawę z Zakiem.

Lucy pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Lecz dzisiejszej nocy Bóg położył na jej sercu coś, co przypominało wielki kamienny blok. I tylko jedno mogło ten ciężar usunąć.

Spojrzała Eden w oczy i powiedziała:

– Muszę wrócić do domu, do Savannah. Mam nadzieję, że dostanę bilet na dzisiejsze popołudnie. – Pieniądze bywają przydatne. Miesiąc temu nie byłoby jej stać na kupno biletu tuż przed odlotem.

W oczach Eden mignęła czujność.

- Lucy... nie możesz znowu mu tego zrobić. Z tego, co wiem...

– Ale nie, nie na stałe. Wkrótce wrócę, daję słowo. Poza tym mam zamiar wstąpić do Zaca, powiedzieć mu, co się dzieje, i poprosić, żeby uzgodnił z ciotką kilkudniowy urlop dla mnie. W nocy długo się modliłam i modlitwa dała mi jasność myśli. To jest coś, co muszę zrobić, i to samodzielnie.

Nieco później Lucy trzęsącą się ręką zastukała w drzwi mieszkania Zaca. Nogi miała miękkie jak ugotowany makaron. Serce tłukło się w jej piersi, pusty żołądek skurczył się boleśnie. Nie mogła doczekać się widoku jego twarzy. Znalezienia się w jego ramionach. Pomimo świadomości, że musi się uporać z tym, co się dzieje w jej duszy, wiedziała, że nie potrafiłaby odmówić, gdyby Zac próbował ją pocałować.

Zapukała znowu, a po chwili przyszło jej do głowy, że to nie ma sensu. Nie zauważyła jego auta na parking, choć też go nie szukała. Była pogrążona w myślach.

Zapukała po raz trzeci, również bez skutku, i w końcu zeszła piętro niżej do swojego pokoju,

żeby spakować rzeczy potrzebne na kilkudniowy wyjazd. Skończywszy, poszła do restauracji i zajrzała do kuchni.

Cal, kucharz, odwrócił się od grilla i powiedział:

– Cześć, Lucy.

– Cześć, Cal. Wiesz, gdzie jest Zac?

Cal wsunął talerz pod podgrzewacz i sięgnął po kartkę z dwoma zamówieniami.

– Wydaje mi się, że poszedł do Beau.

Zasmuciła się. Choć bała się pytań – na które nie miała odpowiedzi – naprawdę chciała zobaczyć go przed wyjazdem.

– Aha. No nic, dziękuję.

Sprawdziła czas na zegarku. Odlot miała za dwie godziny, a jeszcze należało dojechać do Bangoru. Naprawdę nie zdąży wpaść na plantację. Westchnęła głęboko, niezadowolona.

Nie chciała na ten temat rozmawiać przez telefon. Nie była jeszcze gotowa do rozmów o ojcu, a wiedziała, że Zac wszystko z niej wyciągnie. Może przekona ją, że nie powinna wyjeżdżać. Ona natomiast wiedziała, że musi wrócić do swoich korzeni. I raz na zawsze uporać się z przeszłością.

Esemes był za mało osobisty, ale list... list znakomicie się nadawał. Poszła więc do swojego pokoju i z notesu leżącego na nocnym stoliku wyrwała kartkę papieru.



Starał się być cierpliwy. Więcej, był cierpliwy. Po kościele wstąpił do Eden, żeby zawieźć Lucy torebkę, ale Lucy spała. A przynajmniej tak twierdziła Eden. Nie kłamałaby przecież, prawda?

Przestał śledzić mecz w telewizji. Nie pamiętał nawet, z kim grała drużyna Red Soxów. Siedzący obok Beau mruknął z niezadowoleniem. Od strony ciotki Trudy w przeciwległym krańcu pokoju dobiegało postukiwanie drutów. Pachniało apetycznie duszoną wołowiną, ale jego skurczony żołądek źle reagował na ten zapach.

Przez całe popołudnie telefon irytująco milczał. Mimo to Zac co chwila sprawdzał, czy nie przyszła jakaś wiadomość. Kiedy po raz kolejny wyjmował telefon, poczuł walnięcie w tył głowy.

Spojrzał zirytowany na Beau.

– Słuchaj no...

– Mógłbyś do niej zadzwonić.

– Mówiłeś, że mam być cierpliwy.

– Cierpliwy, ale nie głupi.

– Jeśli chcesz wiedzieć, wpadłem do niej, zanim tu przyjechałem. Spała. Nie chciałem jej budzić. – Dobry Boże, jeśli noc spędziła podobnie jak on, sen był jej naprawdę bardzo potrzebny.

Przez całą resztę meczu martwił się o Lucy i nie doczekawszy do końca, wyszedł. Po drodze do domu zawinął do Eden, ale nikt nie odpowiadał na dzwonek do drzwi.

Na parkingu przy „Przydrożnym Zajeździe” zauważył puste miejsce tam, gdzie zazwyczaj stało jej auto. Niedobre przecucie legło mu kamieniem na duszy.

Nie! Żadnych powtórek! „Panie Boże, nie przeżyję tego, jeśli znowu mnie opuściła”.

Kiedy szedł do pokoju Lucy, przecucie klęski zacisnęło się na jego szyi jak pętla. Oczyma

duszy widział elegancko pościelone łóżko oraz puste szafę i komodę. Już to raz widział. Gula w gardle niemal go zadusiła.

Nikt nie odpowiadał na pukanie, więc otworzył drzwi. Lucy zawsze miała porządek w pokoju i pościelone łóżko. Najpierw sprawdził łazienkę, a pętla wokół szyi zacisnęła się mocniej. Półeczka pusta. Zniknęła lokówka, nie było kosmetyków ani lakieru do włosów.

Nogi same ruszyły do szafy. Serce podeszło mu do gardła. Przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

Na widok ubrań odetchnął z ulgą. Drżącą dłonią przytrzymał się framugi i obejrzał zawartość szafy. Było kilka pustych wieszaków. Spojrzał na dół, gdzie ustawione w rzędek stały ulubione buty Lucy. Nagle zeszło z niego całe napięcie. Butów nigdy by nie zostawiła.

Może przyjechały tu z Eden, żeby zabrać parę rzeczy. Może potrzebowała kilku dni samotności. Pamiętał jej ucieczkę sprzed roku – tę, która dała początek lawinie nieszczęść. Może Lucy była po prostu zestresowana, dlatego chciała trochę oderwać się od wszystkiego. Po przeżyciach, które spowodowała utrata pamięci, wcale jej się nie dziwił. Ale ta świadomość bynajmniej mu nie pomagała.

Do swojego mieszkania piętro wyżej szedł otoczony smutkiem niczym gęstą mgłą. Musiał z Lucy porozmawiać. Musiał usłyszeć jej głos, przekonać się, że nic jej nie jest.

Wyjął telefon z kieszeni. Lucy nie odpowie, wiedział to na pewno. Podobnie jak poprzednio i jeszcze poprzednio. Wszystkie dawne przeżycia stanęły mu jak żywe przed oczami. Znowu ożyła bezradność tak wielka, jakby miał ręce związane za plecami.

„Panie Boże, miej litość”.

Otworzył drzwi z takim impetem, że uderzyły o ścianę. Pęd powietrza zdmuchnął coś prosto pod jego nogi. Złożona na połowę kartka z notesu. Zac porwał ją z podłogi.

Kartka zapisana była porządnym pismem Lucy, co napełniło go trwogą i nadzieją jednocześnie. Zaczął czytać.

*Kochany Zacu!*

*Wpadłam zobaczyć się z Tobą przed wyjazdem, ale nie było Cię w domu. Od wczoraj jestem całkiem rozwalona emocjonalnie i wiem, że Ty też. Na pewno masz mętlik w głowie, podobnie jak ja. Nieoczekiwane odzyskanie pamięci przypomniało coś, co kompletnie wytrąciło mnie z równowagi. Sama nie wiem, co myśleć. Jednak jedno wiem na pewno: że mówiłeś prawdę, twierdząc, że w zeszłym roku wcale nie zamierzałeś mnie porzucić.*

*Modliłam się o radę i doszłam do wniosku, że muszę wrócić do domu, do Savannah. Muszę zakończyć coś, co od lat mnie nęka, i muszę zrobić to sama. Będzie mi ciężko i nawet nie wiesz, jak bardzo boję się w tym grzebać, bo na pewno na powierzchnię wypłyną dawne emocje. Ale myślę, że warto, bo dzięki temu może zostawię przeszłość za sobą.*

*Wiem, że proszę o wiele, ale błagam... bądź jeszcze trochę cierpliwy. Przepraszam, że wyjeżdżam, zostawiając Cię tylko z listem i masą pytań, lecz proszę, uwierz mi – ja też nie znam jeszcze na nie odpowiedzi.*

*Na razie nie zarezerwowałam lotu powrotnego, ale nie sądzę, żeby zajęło mi to więcej niż kilka dni. Proszę, módl się za mnie.*

*Ściskam Cię i całuję*

*Lucy*

## Rozdział 40

**C**mentarz Magnolia Memorial Gardens leżał na południowo-zachodnim krańcu miasta. Łagodne trawiaste pagórki porastały duże drzewa, a kolorowe kwiaty bujnie pleniły się mimo sierpniowego upału. Wprawdzie teren był doskonale zadbane, to jednak ścieżka między pasmami trawnika nadawała mu wiejskiego charakteru.

Lucy nie przychodziła tu od czasu pogrzebu matki, a wspomnienia tego wydarzenia nie wpłynęły kojąco na szalejącą w jej duszy burzę. Na grobie ojca nigdy nie była. Umarł, gdy wyjechała na studia, a ona dowiedziała się o jego śmierci kilka dni po pogrzebie.

Pogrzeb ciotki, jak już pamiętała, zorganizowała, nie przyjeżdżając z Portland. Audrey życzyła sobie bardzo skromnego pochówku, bez ceremonii pogrzebowej i pomnika na grobie.

Do miejsca pod lasem wiodło ją niejasne wspomnienie. Wysokie sosny tworzyły baldachim zasłaniający słońce. Lucy przyjechała poprzedniego wieczoru i cały dzień zwlekała z przyjściem, bojąc się tego momentu.

Wypożyczony samochód zaparkowała przy wjeździe i wyszła na zewnątrz. Mimo że słońce już zachodziło, po chłodzie klimatyzowanego wnętrza wydawało się, że panuje nieznośny skwar, a wilgoć w powietrzu utrudniała oddychanie. Gorący podmuch wiatru przyniósł zapach magnolii.

Lucy chodziła po cmentarzu, szukając grobów rodzinnych. Zanim znalazła nierzucającą się w oczy tabliczkę z nazwiskiem ciotki, jej ubranie było mokre i kleiło się do ciała.

Wiedziona jakimś odległym wspomnieniem, wróciła spojrzeniem do sosny wejmutki stojącej w poprzednim rzędzie, a potem poprowadziła je dalej w linii prostej i jej wzrok zatrzymał się u stóp matczyne grobu. Z bijącym sercem przeczytała napis na tabliczce:

GLORIA JEAN LOVETT  
UKOCHANA ŻONA I MATKA  
2 LISTOPADA 1965 – 19 WRZEŚNIA 1996

WDZIĘCZNIE STĄPAŁA, A NIEBO BYŁO W JEJ OCZACH,  
W KAŻDYM RUCHU GODNOŚĆ I MIŁOŚĆ [2]

Nagle tabliczka rozmazała jej się przed oczami i Lucy poczuła guł w gardle. Zacisnąwszy powieki, zobaczyła mamę jak żywą. Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy, w błękitnych oczach migotały iskry humoru, delikatna skóra pachniała słońcem i kwiatami. Lucy odetchnęła głęboko, żeby się opanować. Słowa ugrzęzły jej w krtani. Po tylu latach śmierć matki nadal była bolesna. Nic dziwnego – to była utrata jedynej osoby, która ją kochała.

„Dziękuję Ci, Mamo”.

Przygryzła wargę, nie mogąc powstrzymać łez, które płynęły ciurkiem po policzkach. Przeniosła spojrzenie na tabliczkę taty i zaląła ją fala emocji. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Na barkach legł przytłaczający ciężar, a klatkę piersiową ścisnęła obręcz. Lucy zaczęła się dusić, z trudem walczyła o każdy oddech. Serce waliło w szaleńczym tempie, a strach wysuszył jej usta.

W duszy otworzyła się głęboka przepaść, w której kotłowało się tyle uczuć, że ledwie mogła je pomieścić. Lucy, która potrafiła gadać jak nakręcona, teraz oniemiała.

Wróciła wzrokiem do tabliczki mamy, nie mając siły myśleć o ojcu. Nie próbowała już pohamować łez, pozwoliła im płynąć. Opłakiwała matkę.

Nie wszystko naraz. Najpierw jedno wspomnienie, potem drugie, po kolei.

Płakała długo. W końcu zapadła ciemność i Lucy wróciła do auta. Zmęczenie przygniatało ją jak ołowiany płaszcz. Mimo przeżytego na nowo smutku czuła się zawiedziona swoją reakcją.

„Po co ja tu w ogóle przyjechałam?”

Nie była w stanie spojrzeć na tabliczkę ojca, a co dopiero rozprawić się ze swoimi uczuciami. Co za tchórz. Nie potrafiła stanąć twarzą w twarz z przeszłością. Zrobiwszy głęboki wdech, by się uspokoić, skierowała auto ku centrum miasta.

Wspomniała Zaca czekającego w Summer Harbor. Na myśl o powrocie strach otoczył ją jak rój rozjuszonych pszczoł. Miłość do niego uczyniła z niej kalekę. Jak może go tak silnie potrzebować i bać się jednocześnie? Od sprzecznych emocji zakręciło jej się w głowie.

„A jeśli znowu go stracę?”

Teraz już doskonale pamiętała pierwsze dni w Portland. W nocy po pamiętnej burzy wspomnienia ruszyły falą. Po rozstaniu z Zakiem całe tygodnie płakała, a potem otępiła żyła z dnia na dzień, nie mogąc posklejać serca rozbitego na milion kawałków. Nigdy jej się to nie udało. W końcu po prostu zdecydowała się na kogoś mniej angażującego emocjonalnie. Kogoś, kogo strata nie kosztowałaby jej tak wiele.

Zac był zupełnie inny. Wiedziała, jak to jest być bez niego. Jej serce ścisnęła zimna pięść. Nie zniosłaby powtórnego rozstania.



Zac pomógł rozładować dostawę chleba, a potem poszedł do sali restauracyjnej pozdejmować krzesła. Od wyjazdu Lucy nie mógł znaleźć sobie miejsca. Dziesiątki razy odczytywał jej list, starając się rozproszyć obawy, ale nic nie było w stanie ukoić podskórnego niepokoju.

Ani ona się nie odzywała, ani Eden nie dzwoniła. A jeśli postanowiła nie wracać? Ta myśl nie pozwalała mu spocząć przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, minus sześć godzin przewracania się z boku na bok.

„No, Panie Boże, nie zapominaj o mnie. Proszę o telefon, esemes. Cokolwiek”.

Chciała czasu dla siebie i zamierzał go jej dać. Ale żołądek ścisnął mu się boleśnie, a nogi zrobiły się słabe i niepewne.

Mimo liściku przeżywał jej wyjazd bardzo podobnie jak poprzedni.

Rzucił okiem na zegar i przyspieszył ściąganie ostatnich krzeseł, by nie spóźnić się na spotkanie z Rileyem na Skypie. Ustalili ten kontakt w poprzednim tygodniu, kiedy wszystko układało się jak w raj. Zac zawsze starał się być wesoły, żeby podtrzymywać brata na duchu, ale tym razem będzie musiał sięgnąć głęboko po optymizm.

Poszedł do biura. Odsunął na bok plan działań na następny tydzień. Czeka go przygotowanie wypłaty i wyjazd do banku. Dobrze, że ma czym wypełnić czas.

Otworzył Skypa'a. Dokładnie z wybiciem jedenastej zadzwonił Riley, a po sekundzie na ekranie pojawiła się jego twarz. Wydawał się starszy niż ostatnio, kiedy rozmawiali. Wojna chyba tak zmienia ludzi.



W kącikach oczu Rileya pojawiły się zmarszczki uśmiechu, kiedy zaszalutował po harcersku – gest ten tak bardzo przypominał Zacowi ojca, że zakłuło go w sercu.

– Cześć, staruszk. Miło widzieć twoją facjatę.

– A jak ci leci w wojsku?

– Nie tak źle. Mnóstwo zajęć. Właśnie skończyłem grać w Maddena z chłopakami. Zorganizowaliśmy regularny turniej.

– Wygrywasz?

– Żartujesz? Niektóre chłopaki są niemal zawodowcami. Ale pomaga zabić czas.

– Prawda. Zanim zapomnę, ciotka pyta, czy potrzebujesz czegoś konkretnego. Szykuje dla ciebie paczkę do wysłania.

– Niech ją Bóg błogosławi. Przydałaby mi się pomadka ochronna. I stęskniłem się za twoimi bombowymi skrzydełkami. Gdybyś mógł dorzucić buteleczkę tego twojego sosu, byłbym wdzięczny. I jakieś słodczyce dla tutejszych dzieciaków.

– Masz to jak w banku.

– Dzięki, chłopie. A co u was? Knajpa działa na pełnych obrotach?

– Nie daje mi chwili wytchnienia. Beau szykuje się do rozrywek sezonu jesiennego na plantacji. Wiesz, ogniska, przejażdżki konne i te pe. Już ma niemało rezerwacji.

Riley zrobił żalostną minę.

– Jesień w Summer Harbor... prawie czuję ten zapach. Butwiejące liście, ogniska, wilgoć deszczu. Tu jest upiornie gorąco... rzadko kiedy poniżej czterdziestu stopni.

– Ale za to sucho.

Riley pacnął ręką w ekran.

– Właśnie dostałeś w ucho za głupie żarty.

Zac zmusił się do uśmiechu.

– Nic nie poczułem.

– No, a co tam u ciotki Trudy? Dwa tygodnie temu przyszedł od niej list, ale mało napisała o sobie.

– Odkąd Lucy zaczęła pracować w biurze informacji, trochę zwolniła tempo. No, cały czas robi coś na drutach. Ale dowiedziałem się czegoś interesującego... Kiedyś ona i szeryf Colton chodzili ze sobą.

Riley podskoczył z wrażenia.

– Co takiego? Kiedy?

– W szkole średniej. Niedawno mi o tym powiedziała. Wygląda na to, że poważnie o sobie myśleli. A potem Colton wyjechał na studia i wszystko się rozpadło.

– Jak to możliwe, że nic o tym nie wiedzieliśmy?

– Dziadek nie akceptował chłopaka, więc trzymali to w tajemnicy.

– Wymykali się na spotkania?

– Mniej więcej. Nie wiem dokładnie, co się stało, ale ciotka żywi urazę.

– No, to dlatego traktuje go z buta. To musiało być bardzo poważne, skoro tak długo nie może mu wybaczyć.

– No wiesz, nie wiem. Jeśli chodzi o pamiętliwość, to ciotka należy do czołówki. Pozwól przypomnieć sobie sprawę placka z jagodami.

Riley skrzywił się.

– Miałem dwanaście lat. I nie wiedziałem, że upiekła go na konkurs cukierniczy. Rany, przez lata wykłuwała mi tym oczy.

– No to wyobraź sobie, co przeżywa Colton.

Riley roześmiał się gorzko.

– Może to masochistka. Kiedyś musiała kochać się w nim na zabój, skoro teraz jeszcze ją to boli. Może u Callahanów nie tylko mężczyźni kochają tylko raz, jak to lubi powtarzać.

– Ale ona kochała wuja Toma.

– No tak, ale miłość miłości nierówna. Wiesz, o czym mówię?

Doskonale to rozumiał. Jego miłość do Lucy dosłownie zwałała z nóg.

– Słyszę, słyszę.

Riley odchylił się na oparcie krzesła i przeczesał palcami krótko przystrzyżone włosy.

– A co u ciebie, bracie? Wyglądasz, jakbyś tydzień nie spał.

Zac uśmiechnął się wymuszenie.

– Nie wiem, o czym mówisz. Wszystko w porządku.

– Tak, a ja siedzę z drinkiem na plaży pod parasolem. Przestań mi mydlić oczy. Chodzi o Lucy, prawda? Znowu cię rzuciła?

Zac spał się tak, że z trudem poruszał szczęką.

– Pojechała na kilka dni do Savannah – powiedział. – Zostawiając mi list.

Riley przewrócił oczyma.

– No nie, chyba mnie nabierasz.

– To nie tak jak ostatnio. Wróci. Musi tylko załatwić stare sprawy.

– Chłopie, babka ma problemy.

– To chyba jasne, Panie Domyślny. Dlatego wróciła do Savannah.

– Zostawiając cię, tak jak ostatnio.

– To był efekt nieporozumienia. – Potrząsnął głową. Historia była długa i skomplikowana, a poza tym, prawdę mówiąc, chwilowo nie miał ochoty bronić Lucy. – Nie będę teraz o tym rozmawiał. Masz własne problemy.

– Jeśli mówisz o Paige, to podjąłem decyzję. Kiedy przyjadę, powiem jej, co do niej czuję.

Zac rozluźnił się. Usiadł wygodniej, poprawił ustawienie ekranu.

– Naprawdę?

– Mam tu dużo czasu na to, żeby myśleć. I z tej perspektywy sprawy rysują się bardziej... kontrastowo. Czarne, białe. Albo będziesz górą, albo polegniesz.

Zac wolał nawet nie myśleć, co było przyczyną zmiany myślenia.

– To dlaczego nie powiesz jej od razu?

– Paige zgodzi się na wszystko, żeby mnie nie stresować – a po rozłączeniu się padnie trupem z wrażenia. Chcę uczciwej odpowiedzi, a nie dostanę jej, jeśli będę z nią rozmawiał z terenu działań wojennych.

– Pewnie masz rację. Ona martwi się o ciebie.

– A jak sobie radzi? Widujesz ją?

– W niedzielę przyszła do nas na kolację rodzinną. Trzyma się nieźle. Zawsze pyta o ciebie.

Riley uśmiechnął się półgębkiem.

– Cieszę się, że spędza z wami czas. Miej ją na oku, dobrze?

– Jasne, braciszku. – Przypomniała mu się niedawna aukcja koszyków piknikowych. Koszyk Paige kupił wtedy Dylan Moore. Od tej pory parę razy się z nim umówiła. Ze względu na Rileya Zac miał nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie.

Riley obejrzał się za ramię, gdzie kręciło się kilku jego kumpli.

– Hej, przepraszam, że tak krótko, ale muszę kończyć. Będę się modlił w sprawie Lucy.

Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

– Na pewno. Uważaj na siebie. Ściskam cię.

– Ja ciebie też.

Wylogowali się i Zac odchylił się na oparcie krzesła, równie niespokojny, jak przed rozmową.

## Rozdział 41

**P**rzez szczelinę w zasłonie przedarło się słońce i Lucy skrzywiła się boleśnie. Nękał ją ból głowy, którego centrum umiejscowione było za lewym okiem. Sprawdziła godzinę: 9.37.

Nie mogła uwierzyć, że tyle spała. Padła na łóżko bez kolacji i przespała całą noc.

Wzięła prysznic i poszła do pobliskiego baru na szybkie śniadanie. Zaczął się następny gorący, lepki dzień, taki, w którym oddychanie było równoznaczne z duszeniem się. A może to walka wewnętrzna tak ją męczyła.

Kupiwszy w „Starbucks” kawę na wynos, wyjechała wypożyczonym autem za miasto i zaczęła krążyć w pobliżu dawnego mieszkania ciotki. Majestatyczne domy z cegły. Przed domami dęby, z których konarów zwisa do ziemi hiszpański mech. Przyjaźni ludzie, zawsze gotowi się uśmiechnąć i pomachać na powitanie.

Przejechała obok rezydencji ciotki, lecz brama, za którą biegł do domu długi, prosty podjazd, była zaryglowana. Zresztą, tak czy inaczej, z tym miejscem nie wiązały się właściwie żadne wspomnienia.

Miała przed sobą cały dzień i żadnego pomysłu, jak go spędzić. W mieście rodzinnym nie miała przyjaciół, których mogłaby odwiedzić. Ani jednej osoby, z którą utrzymywałyby stosunki i którą mogłaby zaprosić na lunch. Straciła kontakt nawet z koleżankami ze studiów. Z którymi kiedyś wiązało ją tysiąc codziennych spraw.

Podczas podróży spotkała wielu wspaniałych ludzi, z kilkoma osobami zbliżyła się na tyle, że uważała ich za przyjaciół. Ale gdzie oni się podziali? Przysłali kilka e-maili i esemesów. A ona chyba nawet na nie nie odpowiedziała.

Początkowo wydawało jej się, że wstrząs mózgu wymazał z jej pamięci imiona przyjaciół. Tymczasem tak naprawdę nie miała ich. Nawet Anna, jej druhna z Portland, była tylko bliższą znajomą.

To znaczy, że coś z nią jest nie w porządku.

Wydawało się, że samochód sam skręcił w okolicę, gdzie dawniej mieszkała. Domy wydawały się mniejsze, niż pamiętała z dzieciństwa. Trawniki gorzej utrzymane, drzewa tak wysokie, że wszystko zaciaśniały. Wjechała w Oak Street, odnalazła dom rodzinny i zatrzymała się przy chodniku.

Był to skromny jednopiętrowy budynek z piękną werandą, na której w porannym wietrzyku leniwie kołysała się huśtawka. Czarne okiennice wymagały odnowienia, a z dachu smętnie zwisały rynny. Tam, gdzie niegdyś było zatrzęsienie kwiatów, rozpościerał się zrudziały trawnik poprzerastany chwastami. Lucy pomyślała, że to dobrze, że mama nie widzi, co stało się z jej pięknym ogrodem.

Widok domu obudził na nowo zapomniany smutek. A czego właściwie oczekiwała? Że kiedy tutaj przyjedzie, ożyją wszystkie dobre chwile? Było ich przecież wiele. Dlaczego bolesne wspomnienia wypierają te dobre?

Odwróciła się ku pobliskiemu domowi, gdzie mieszkała pani Wilmington. Spojrzała w głąb, na podwórko z tyłu, niemal spodziewając się, że zobaczy sąsiadkę rozwieszającą pranie na

sznurze. Ale czas płynie. Pani Wilmington wtedy była pewnie po sześćdziesiątce. Teraz prawdopodobnie już nie żyła. Lucy nacisnęła gaz i ruszyła, czując się coraz bardziej rozstrojona.

„No i co teraz, Panie Boże? Nawet nie wiem, po co tu przyjechałam. Nie mam się z kim spotkać, porozmawiać. Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?”

Równie dobrze może wrócić do hotelu. Może sprawdzi wieczorne loty. Skręciła w ulicę prowadzącą do hotelu. Ruch był większy, niż pamiętała. Jedna z ulic została zamknięta ze względu na roboty drogowe, więc pojechała objazdem, który jednak wyprowadził ją na manowce.

Westchnęła. Pech. Cała wyprawa okazała się pomyłką. Nie mówiąc o niepotrzebnie wydanych pieniądzech. Ani o krok nie zbliżyła się do rozwiązania swoich problemów. Była w tym samym punkcie co przed dziewięcioma miesiącami, kiedy to potajemnie wyjechała z Summer Harbor.

Kilka mil wlokła się razem z innymi autami objazdem, aż w pewnym momencie znowu zaczęła poznawać okolicę. Roześmiała się z niedowierzaniem na widok bramy Magnolia Memorial Gardens.

„Panie Boże, to chyba żarty?”

Pod wpływem impulsu zwolniła i skręciła w wąską alejkę prowadzącą na tyły cmentarza. Zaparkowała przy drodze i wyłączyła silnik. Ledwie wyszła z auta, a oblepiło ją gorące powietrze.

Déjà vu, pomyślała, czując, że znów otwiera się rana w duszy. Masochistka.

Ziemia była twarda i spieczona pod jej stopami, kiedy szła do grobu, przy którym nie była w stanie wcześniej stanąć. Teraz to robi. Pójdzie tam i spojrzy tabliczce prosto w twarz.

Serce waliło jej w piersi w nowym rytmie. Z każdym krokiem pęczniała w niej irytacja, ściskając płuca, tak że nie mogła niemal oddychać. Ona jednak szła przed siebie, przypiekana słońcem. Na widok tabliczki przyspieszyła.

Zatrzymała się przy grobie. Oddychała szybko, w uszach jej szumiało.

Spojrzała ze złością na tabliczkę.

– To ja, tato. W końcu przyszedłam zobaczyć, gdzie leżysz. Może powinnam pojawić się wcześniej, ale tak naprawdę wcale na to nie zasłużyłeś, prawda? Przez większą część mojego życia ciebie nie było. Tyle się zdarzyło. Kiedy zostawiłeś mnie na łasce ciotki Audrey, ona wysłała mnie do szkoły z internatem. Nie miała pojęcia, co robić z małą dziewczynką – ale na pewno dobrze o tym wiedziałeś.

Słowa płynęły szybko, zabierając ze sobą złość.

– W szkole szło mi dobrze. Ciotka lubiła często powtarzać, że odziedziczyłam po tobie bystrość. Nawet dostałam się na Harvard. W tym czasie zmarłeś. Ale nie pojechałam na pogrzeb. Dowiedziałam się o nim już po fakcie, co wydaje mi się w pewnym sensie sprawiedliwością losu. Od tej pory wiele jeździłam. Ciotka powtarzała, że zamiłowanie do włączki mam po mamie. Zawsze się przy tym krzywiła. Mam wrażenie, że nie akceptowała mamy, ale ja jej stale mówiłam, że była najwspanialszą mamą na świecie. I dobrze wiesz, że to prawda.

Oczy zapiekły ją od łez, a gardło ścisnęło się mocno.

– Zawiodłaby się na tobie, tato. Dostałbyś miotłą po głowie za to, że mnie porzuciłeś. I wiesz, co? Oberwałbyś słusznie. Nie zostawia się dziecka jak niepotrzebnej rzeczy. Miałam tylko ciebie. Tylko na ciebie mogłam liczyć, a ty mnie porzuciłeś. Nie tylko ty cierpiełeś po jej śmierci, nie tylko ty za nią tęskniłeś. Jak mogłeś myśleć tylko o sobie? Potrzebowałam cię.

Po twarzy popłynęły jej łzy. Na sercu spoczął kamień, ciężki, nie do ruszenia.

– Tak bardzo cię potrzebowałam. Teraz jestem cała pokręcona. Nie potrafię utrzymać więzi z ludźmi. Nie mam pojęcia, co dzieje się z koleżankami z internatu czy ze studiów. Najgorsze, że... że się boję, tato. Nie chcę dopuścić kogokolwiek zbyt blisko, bo boję się, że jeśli zacnie mi na nim bardzo zależeć, to mnie zostawi, tak jak ty to zrobiłeś.

Wypowiedziana myśl przeszła ją jak sztylet. Odczuła potworny, ostry ból. Na chwilę straciła czujność i tłamszona prawda wylała się na powierzchnię. Lucy odetchnęła głęboko raz, a potem drugi.

– Pozwoliłam, aby moje przyjaźnie się rozpadły. Zostawiłam wszystkich chłopaków, jakich miałam – wliczając w to dwóch narzeczonych! Dwóch. W tym jednego, który naprawdę wkradł mi się do serca... W tym wymarzonym związku cały czas byłam jedną nogą za drzwiami i zostawiłam Zaca przy pierwszych oznakach problemów. No i teraz widzisz, tato... – Patrząc w niebo, Lucy wzruszyła ramionami. – ...nie mam nikogo. Zniechęcam wszystkich, którym na mnie zależy. Rzucam ich, żeby oni mnie nie rzucili. Tak bardzo boję się znowu doznać tego, czego doznałam od ciebie... że stałam się tobą!

Te słowa odbijały się echem w jej duszy, powodując małe trzęsienie ziemi. A potem przyszedł wstrząs wtórny i między łopatkami popłynęła stróżka potu.

Nogi się pod nią ugięły i Lucy osunęła się na ziemię. Kolana zapadły się w trawę. Patrząc na tabliczkę rozszerzonymi z przerażenia oczami, wyjąkała:

– Stałam się tobą!

Jej słowa porwał gorący wiatr.

Ile osób opuściła? Zaczęła liczyć: koleżanki z internatu, które przysypał popiół niepamięci, dziewczyny ze studiów, z którymi straciła kontakt, chłopcy, których od siebie odsunęła, narzeczeni, których porzuciła.

Zac.

Zrobiła jemu to, co ojciec zrobił jej. Lucy przytłoczył ciężar winy. Oczy wypełniły się łzami na wspomnienie cierpienia po odejściu ojca. Nigdy tego nie zapomni. Nieskończony ból, który pochłaniał ją całą. Zacisnęła powieki i rozmasowała miejsce za mostkiem, gdzie się ten ból usadowił.

„Panie Boże, dlaczego? Dlaczego osobie, którą kocham najbardziej, zrobiłam taką krzywdę?”

Otworzyła oczy i niewidzącym wzrokiem patrzyła przed siebie, starając się zrozumieć. Myślała i myślała, znajdując wytłumaczenie swojego czynu, ale to wcale nie zmniejszyło strachu, który leżał, ciężki jak ołów, na jej piersi.

– Jak mam pozbyć się lęku?

Jej wzrok przesunął się po pobliskich grobach, ale Lucy niczego nie widziała. Póki nie mignęła jej przed oczyma plama koloru koło tabliczki na grobie mamy. Wróciła spojrzeniem, zaciękawiona. Błękitne kwiatki w kształcie gwiazdy. To chyba omamy.

Zamrugnęła, ale nie znikły, więc podeszła i uklękła na trawie. Dotknęła palcami aksamitnych płatków i nagle pojawiły się wspomnienia.

– To ci doda odwagi, Lucy – powiedziała mama, wkładając niebieski kwiatek ogórecznika za ucho córki, kiedy musiała przeprosić sąsiada za stłuczenie szyby. Błękitny kwiatek w miseczce z płatkami śniadaniowymi w dzień ważnego sprawdzianu w szkole. Wazon z całą masą kwiatków, kiedy czekał ją zabieg usunięcia migdałków.

Prychnęła niepewnym śmiechem, podniosła głowę do góry i rozejrzała się po radośnie błękitnym niebie. Wyglądało, jakby Bóg umieścił tutaj te kwiatki specjalnie dla niej.

Nie było innego wytłumaczenia. Wcześniej ich nie widziała. Poza tym to jednoroczna roślina, a choć łatwo się rozsiewa, w pobliżu nie było innych ogóreczników.

Nagle znikł ciężar w klatce piersiowej. Lucy zrobiła głęboki wdech, żeby rozszerzyć tak długo ściśnięte płuca. A potem wydmuchnęła powietrze i ciemność z jej serca powoli zaczęła się ulatniać.

Nie była już dzieckiem wierzącym w to, że mały kwiatek w cudowny sposób doda jej odwagi. Ale był Bóg, który ją kocha i który da jej siłę zwalczyć strach.

„Pan, Bóg twój, idzie z tobą, nie opuści cię i nie porzuci”.

Usłyszała ten cichy szept w sercu i nagle zabrakło jej tchu. Znała te słowa. Oczywiście. Ale czy w głębi duszy naprawdę w nie wierzyła? A może trzymała Boga na dystans, obawiając się, że porzuci ją tak jak tato? Przypomniały jej się wszystkie powierzchowne modlitwy, pobieżne czytanie Biblii, nieuważne uczestnictwo w nabożeństwach. Rozluźniła kontakty Bogiem, podobnie jak z przyjaciółmi.

No, ale dość tego.

Spojrzała na grób ojca. Oszczędność informacji na tabliczce była smutnym dowodem nieudanego życia.

– Wiesz co, tato? – powiedziała, wstając pewnie na nogi i otrzepując ręce. Poczwała w sercu lekkość. – Bóg nie jest taki jak ty. Jest cała masa ludzi, którzy również ciebie nie przypominają. I ja też nie chcę ciebie przypominać. – Mówiła z przekonaniem, silnym głosem. – Ktoś, kto mnie kocha, zasługuje na coś więcej. Mam przy sobie dobrego człowieka. On mnie kocha. I nigdy mnie nie zostawi.

Te słowa zapadły jej głęboko w duszę i wypełniły ją do głębi.

„Nigdy mnie nie zostawi”.

Kiedy Zaca potrzebował ktoś z rodziny, zawsze mógł na niego liczyć. Był przy niej, gdy chorowała, mimo że sam nie podniósł się psychicznie po śmierci ojca. Przyjechał po nią do Portland, ponieważ go potrzebowała. Mimo że nie musiał jej pomagać. Nie miał żadnych powodów do wdzięczności – przeciwnie, biorąc pod uwagę sposób, w jaki go rzuciła.

Lucy może pokonać swój strach. Może postąpić odważnie, mimo że się boi. Świadomie nigdy nie zrobiłaby Zacowi tego, co zrobił jej ojciec. Za bardzo go kochała.

Ostatni raz spojrzawszy na intensywnie niebieski kwiatek, przeniosła wzrok na grób ojca.

– Przebaczam ci, tato... – powiedziała i uśmiechnęła się smutnie.

A potem odwróciła się i ścieżką usłaną sosnowymi igłami wróciła do samochodu, czując, jakby z jej ramion spadł ciężar tysiąca gładów.

## Rozdział 42

**P**odjąwszy decyzję o powrocie do Summer Harbor, Lucy nie mogła doczekać się spotkania z Zakiem. Nareszcie lepiej zrozumiała samą siebie. Zupełnie jakby ktoś zapalił lampę w jej sercu, oświetlając wszystkie ciemne zakamarki i wydobywając na jaw ukryte strachy. Teraz rozumiała powody swojego dawnego zachowania i tą wiedzą chciała podzielić się z Zakiem. Chciała spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, co czuje, co jest naprawdę w jej sercu. Aż paliła się do tego.

Tymczasem pojawiły się niespodziewane przeszkody. Na najbliższy lot musiała czekać cały dzień. A potem pierwszy samolot miał opóźnienie. Chodziła nerwowo po terminalu, trzęsąc się cała, zupełnie jakby wypita tuzin mocnych kaw. W końcu odleciała godzinę później, a kiedy wylądowała wreszcie na lotnisku La Guardia, co tchu popędziła do bramki, żeby zdążyć na następny samolot. Udało się, ale siadając na fotelu, była zadyszana i przez całą drogę do Bangoru kolana jej podskakiwały, tak że kobieta siedząca obok patrzyła na nią z niezadowoleniem.

Dopiero w aucie na trasie do Summer Harbor przysłała jej do głowy przerażająca myśl.

Czy przypadkiem nie jest za późno? Czy Zac nie doszedł do wniosku, że nie jest warta tego, co przez nią przeżywa?

Cała energia nagle przeszła w nerwy. Żołądek zacisnął się i podszedł jej do gardła. Zanim dotarła do miasta, zapadła ciemność, całunem okrywając nadzieję.

Kiedy Lucy parkowała przed „Przydrożnym Zajazdem”, napis „otwarte” przy drzwiach wejściowych nie palił się. Na parkingu stały trzy samochody: furgonetka Zaca i auta ekipy sprzątającej.

Lucy zatrzymała się, zgasiła silnik i wyłączyła światła wydobywające z mroku pokryte spłótnionym gontem ściany. Ręce trzęsły się, kiedy wyjmowała kluczyk ze stacyjki, płuca z trudem nadążały za bijącym w szalonym rytmie sercem.

Od napisania listu minęły cztery dni. Cztery dni, kiedy nie miała żadnej wiadomości od Zaca. Nie napisał ani nie zadzwonił.

„Sama chciałaś, żeby dał ci czas na twoje sprawy, głuptasie”.

Co znaczyło, że on też miał czas. Czas na to, żeby zastanowić się nad tym, ile go kosztuje ta miłość. W przeszłości kosztowała go wiele. Teraz Lucy już to wiedziała.

Ile razy można dostać drugą szansę?

Strach omotał ją swymi zimnymi mackami. Opasał i ścisnął jej serce. Otoczył płuca, nie dając im się rozszerzać.

A jeśli Zac powie „nie”? Jeśli jej już nie kocha? Jeśli...

Jeśli ją zostawił?

Serce tłukło się niespokojnie w klatce żeber, oddech stał się nierówny i wysilony, usta wyschły. Lucy zamknęła oczy. Następny atak strachu.

„Panie Boże, pomóż mi. To tylko strach”.

Wiedziała już, co jest jej wrogiem, i nazwała go po imieniu.

Przed oczami wyobraźni mignął niebieski kwiatek twardymi łożyzkami przebijający skorupę



ziemi. Intensywny błękit widziała tak wyraźnie, że niemal czuła pod palcami malutkie płatki, prawie wyczuwała delikatny, słodkawy smak i zapach.

„Panie, daj mi siłę, żeby zrobić następny krok. Nie poradzę sobie bez Ciebie”.

Utkwiła wzrok w ciemnym wejściu do restauracji. Za tymi drzwiami był Zac, a ona nie zamierzała pozwolić, by rozdzielił ich lęk, tak jak to już raz się zdarzyło.

„Weź się w garść, Lucy”.

Puściła kurczowo ścisnąną kierownicę. Otworzyła drzwiczki i wyszła w ciemność nocy. Od razu owiała ją chłodna bryza i płuca wypełniło słone morskie powietrze.

Ruszyła do drzwi, chrzęszcząc żwirem pod stopami. Czas zwolnił i parę kroków ciągnęło się, jakby to była mila. Zanim wspięła się po schodkach na ganek, serce biło jej jak bęben.

Przez matową szybę blade światło przebijało z wnętrza. Lucy nacisnęła klamkę i drzwi otworzyły się cichutko. Weszła i ogarnęła spojrzeniem salę restauracyjną. Jedna osoba układała krzesła na stołach, inna zamiatała podłogę.

Lucy zwróciła oczy na bar, gdzie przy kasie stał Zac i szukał czegoś w szufladzie. Na jego widok odebrało jej dech. Kosmyk czarnych włosów opadł mu na czoło. Brwi tworzyły czarną krechę nad głęboko osadzonymi oczyma, usta były zaciśnięte.

Stał w tym samym miejscu, gdzie wówczas, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Ale teraz z szafy grającej nie płynęła wesoła melodia. W telewizji nie leciał mecz bejsbolowy. Zamiast radosnego gwaru i przekrzykiwania się klientów słychać było tylko okazjonalne stuknięcie krzesła o podłogę i ciche szuranie szczotki.

I brzęknięcie kasy, którą Zac zatrzasnął.

A potem podniósł oczy i ujrzał Lucy. Zamarł na chwilę, ściskając w ręku gotówkę. Po chwili zmarszczone czoło wygładziło się i usta ułożyły się miękko.

Lucy nie mogła ruszyć się z miejsca, czuła, że zapuściła korzenie. Serce biło jej niespokojnie. Z uwagą przyglądała się tej tak dobrze znanej sobie twarzy. Brodzie. Łagodnemu łukowi górnej wargi. Prostej linii nosa. A potem spojrzała w przenikliwe szare oczy i po raz pierwszy od wielu dni jej dusza doznała ukojenia.

Kochała tego mężczyznę. Bardzo go kochała. Miłością silniejszą niż strach. I pragnęła kochać go tak, jak na to zasługiwał. Stawiać jego potrzeby na pierwszym miejscu.

„Doskonała miłość usuwa lęk”.

Niezliczoną ilość razy słyszała ten cytat z Biblii, ale do tej pory go nie rozumiała. Kiedy na pierwszym miejscu postawiła troskę o Zaca, wyparowały obawy podyktowane samolubstwem. Kiedy przepełniała ją miłość do niego, strach się ulotnił i była wolna.

– Kocham cię – wyrwało jej się.

Czas się zatrzymał. Ustało szuranie miotły i postukiwanie krzesel. Spojrzały na nią trzy pary oczu.

Zaczerwieniła się i z niepokojem usiłowała wyczytać z twarzy Zaca reakcję, ale jego oczy niczego nie zdradzały. Lucy przygryzła wargę.

– Chłopaki, możecie już sobie pójść? – powiedział, nie spuszczając wzroku z Lucy. Jego chropawy głos był dla niej najpiękniejszym dźwiękiem na świecie.

Pracownicy szybko się ulotnili.

Zac powoli, z męską gracją wyszedł zza baru i zaczął podchodzić do Lucy, która nie mogła oderwać się od jego wyrazistych oczu. Kiedy był już blisko, na jego obliczu pojawiła się tęsknota i determinacja.

Lucy o mało się nie udusiła z wrażenia. Miała mu mnóstwo do powiedzenia, rozsadzało ją

pragnienie wyrzucenia z siebie tego wszystkiego.

– Mam tyle do...

Zamknął jej usta swoimi i przyciągnął ją mocno do siebie.

Przyłgnęła do niego z ulgą i poddała się pocałunkowi. Nie było za późno. On nadal jej pragnął. Nadal ją kochał. Świadczył o tym zaborczy pocałunek i mocny uścisk ramion.

Pocałunek powoli delikatniał, aż w końcu Lucy o mało się nie rozplątała. Zac objął dłonią z tyłu jej głowę, a ona wsunęła palce w jego miękkie włosy. Cała skąpała się w jego korzennym zapachu.

Ileż on miał do niej cierpliwości. Nie zasługiwała na aż tyle. Lucy, obezwładniona miłością, zacisnęła palce na szyi Zaca.

– Kocham cię – wypowiedziała w przestrzeń między nimi, pragnąc, by jej uwierzył.

Przerwał pieścizoty i zawisł ustami tuż nad jej wargami. Otworzył oczy i spojrzał badawczo w głąb jej duszy.

– Nigdy nie przestałam cię kochać – powiedziała. – Nawet wtedy, gdy cię opuściłam.

Spojrzał na nią z uczuciem i na jego usta wypłynął delikatny uśmiech.

– To podobnie jak ja, Georgianko.

Ich usta zetknęły się w długim, miękkim pocałunku. Lucy zatraciła się w nim cała, a gwałtownie bijące serce przepełniło pragnienie.

Lekko rozchyliła usta, a on natychmiast z tego skorzystał. Zacisnął wokół niej ramiona i podniósł ją do góry, tak że ich twarze znalazły się na jednym poziomie.

Lucy zapragnęła zostać tak na zawsze, zamknięta w jego ramionach. Nadal miała dużo do powiedzenia. Ale on jej pragnął, kochał ją, nie żądając wyjaśnień, i Lucy miała wrażenie, że pięknie z miłości.

Po chwili Zac odsunął się i oparł swoje czoło o jej.

– Tęskniłem za tobą – szepnął.

– Przepraszam, że tyle mnie nie było. Musiałam wiele sobie poukładać i...

– Wszystko w porządku?

– Bardziej w porządku niż przez całe moje życie.

– Tylko to jest ważne.

– Mam ci mnóstwo do powiedzenia. – Spojrzała w dół na odległą podłogę i uśmiechnęła się lekko. – Może postawisz mnie na ziemi, żebyśmy mogli porozmawiać.

– Nic z tego. – Wsunął jedną rękę pod jej nogi i trzymał ją jak niemowlę. – Nigdzie cię nie puszcę. Przynajmniej przez miesiąc, a może dwa.

– Twoi pracownicy będą się dziwić.

– Nie obchodzi mnie, co inni myślą.

Objęła go za szyję, a Zac zaniósł ją do biura i usiadł na kanapie, sadzając ją sobie na kolanach.

– Widzę, że nie żartowałeś, mówiąc o niepuszczaniu mnie.

Oczy mu się zaświeciły.

– Oczywiście, że nie. Możemy rozmawiać w tej pozycji.

Dałoby się tak żyć. Wtuliła się w Zaca, rozkoszując się ciepłem jego ciała.

– Myślę, że powinnam najpierw coś wyjaśnić. Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że mój tato umarł? To prawda, ale nie całkiem. Zmarł dopiero wtedy, kiedy byłam na studiach.

Zac przechylił głowę na bok i zmarszczył brwi.

– Ale mówiłaś, że wychowała cię ciotka...

– To prawda. Wychowała. – Lucy wzięła głęboki oddech i opowiedziała o wszystkim, absolutnie wszystkim, od idylli wczesnego dzieciństwa do traumy śmierci matki i do dnia, kiedy zastała ojca na pakowaniu walizek.

Spojrzała mu w oczy, pragnąc, by zrozumiał, jak głęboko ją to dotknęło.

– Zostawiając mnie, powiedział, że musi się wyrwać, ale ja... dobrze wiedziałam. Kopałam i wrzeszczałam, kiedy wziął mnie na ręce, żeby zanieść do domu sąsiadki, i potwornie się bałam.

Zac skrzywił się.

– Och, kochanie. To straszne.

Lucy poczuła, że w gardle tworzy się gęstwa. Oczy zaczęły ją piec, więc zamrużyła.

– Tego dnia jesienią... kiedy przyszedłam tu i zobaczyłam, że się pakujesz...

Nagle zrozumiał.

– Myślałaś, że cię opuszczam... tak jak tato.

Łzy napłynęły jej do oczu i znowu zamrużyła.

– Och, dziecinko... – Dotknął pieszczotliwie jej policzka i ze szczerością w oczach rzekł: – Nie zrobiłbym tego. Nigdy cię nie opuszczę.

Jej dusza odetchnęła z ulgą.

– Wiem. Teraz już wiem. Zostawienie ciebie było największym błędem w moim życiu. Tylu ludzi opuściłam, dlatego że bałam się, żeby oni tego nie zrobili. Ale najgorzej przeżyłam utratę ciebie. Tak mnie to rozbiło, że obiecałam sobie nigdy nikogo nie pokochać. W Portland zdecydowałam się związać z Bradem. Nigdy nie oddałam mu serca, więc nie mógł go złamać.

Zac delikatnie musnął jej wargi swoimi ustami, a ich oddechy złączyły się w jeden.

– Teraz to już przeszłość.

Otarł jej łzy i Lucy opowiedziała mu całą resztę. Od rozpaczki, jaką przeżyła pierwszego wieczoru w Savannah, aż po oświecenie przy grobie ojca. Wszystko z siebie wyrzuciła, bez żadnej cenzury czy upiększania.

Zac słuchał, od czasu do czasu pomrukując współczująco albo dodając odwagi uśmiechem.

Skończywszy, poczuła się lekka jak piórko.

– Zastanawiałam się, czy nie zacząć chodzić do psychologa. Choćby po to, żeby doprowadzić do ładu myśli i uczucia. Nie chcę zepsuć tego, co jest między nami.

– Co tylko zechcesz, kochanie. Jestem z ciebie dumny. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Położyła rękę na jego kłującym policzku, ciesząc się znajomym wrażeniem pod palcami.

– Po prostu pozwól się kochać.

Leciutko się uśmiechnął.

– Myślę, że to chyba mogę ci obiecać. – Spojrzał jej w oczy głęboko, namiętnie i dodał: – Do końca życia, jeśli chcesz...

Serce Lucy podskoczyło z radości i zakwitła kolorowa, piękna, zapierająca dech nadzieja.

– Wyjdź za mnie, Lucy – powiedział niskim szeptem, odbijającym się echem w jej piersi. – Chcę kochać cię do końca życia.

Nie zasługiwała na niego!

– Och, Zac!

– Nie pozwolę ci znowu ode mnie odejść.

– Nigdzie nie zamierzam odchodzić – szepnęła.

Pocałował ją. Był to długi i słodki pocałunek. Nagle jej ciało przebiegła fala podniecenia, aż zakręciło jej się w głowie. Miłość do Zaca była głębsza niż bezdenne morze, większa niż bezkresne niebo, intensywniejsza niż blask słońca w południe.

Po chwili Zac odsunął się, ale tylko po to, żeby mocniej przytulić ją do siebie i położyć policzek na jej głowie.

Wyczerpana, wtuliła się w ramiona swojego mężczyzny, mocno zaciskając w dłoniach jego koszulę. Wciągnęła w nozdrza jego zapach i szybko wypuściła powietrze, żeby móc zrobić to ponownie. Jego serce biło silnie i pewnie przy jej uchu. Taki właśnie był jej Zac. Silny i pewny.

„Nigdy cię nie opuszczę”. Jego słowa rozbrzmiewały echem w jej głowie i sercu, które nigdy nie zapomni tej obietnicy.

## Epilog

**M**inęły dwa miesiące. Zac dotrzymał obietnicy, że będzie zawsze blisko Lucy. Spojrzał na nią, jak podchodzi do wnęki ze stolikiem, żeby przyjąć zamówienie. Kiedy zaproponowała, że zastąpi chorą kelnerkę, chętnie się zgodził. Pracując, lubił mieć ją w zasięgu wzroku. Lubiał patrzeć, jak opiera tacę na biodrze, jak na jej twarzy robią się dołeczki, gdy się śmieje, lubił słuchać jej powolnej, zaciągającej wymowy, która trafiała mu prosto do serca.

Zorientowawszy się, że kontuar, który przeciera, już od dawna lśni czystością, odłożył szmatkę. Zbliżała się pora kolacji, ale w restauracji zaledwie kilka stolików było zajętych. Dziwił się, bo dziś grały ze sobą drużyny uniwersyteckie z Bostonu i Massachusetts.

Zatrzymał Lucy idącą do kuchni, wciągnął ją za przepierzenie i wziął w ramiona.

– Nie wytrzymam jeszcze dwóch miesięcy, Georgiano.

– Już o tym rozmawialiśmy. W grudniu jest mniej pracy i będziemy mogli wyjechać na cały tydzień. Sam tak powiedziałeś.

Jęknął.

– Zmieniłem zdanie.

– Uroczą jest ta twoja niecierpliwość – powiedziała z tym swoim południowym akcentem, po czym z uśmiechem spojrzała mu prosto w oczy. Nie mógł oderwać wzroku od jej warg.

W pracy wolał namiętności trzymać na wodzy, jednak te usta...

Próbował sobie odmówić. Naprawdę.

Delikatnie musnął jej wargi i nagle poczuł, że wolałby być z Lucy zupełnie gdzie indziej. Na przykład na kanapie w biurze. Lecz świadomość tego, gdzie są, sprawiła, że się odsunął.

Lucy położyła mu rękę na torsie i spojrzała na niego tak, że zaczął żałować tego odsunięcia się.

Zanim jednak zdołał impulsywnie zadziałać, Lucy wyjęła z kieszeni telefon. Na jej palcu błysnął pierścionek zaręczynowy – ten sam, który już kiedyś jej ofiarował.

Spojrzała na ekranik i przygryzła wargę.

– Och. Chyba Eden mnie potrzebuje. – Spojrzała na niego oczami błękitnymi jak chabry. – Poradzisz sobie beze mnie przez chwilę? Na razie nie ma wielu klientów.

Wiedział, że nie powinien czuć się zawiedziony, ale tak bardzo lubił mieć ją w pobliżu.

– A co się dzieje?

– Jakies sprawy związane ze ślubem, a ja przecież mam być jej druhną.

Skrzywił się.

– Przecież ślub jest w następnym roku w lecie.

Wzruszyła ramionami.

– Od dwóch miesięcy nie rozstajemy się, zupełnie jakbyśmy byli zrośnięci.

– Lubię, gdy tu jesteś. – A ponieważ nie spuszczała z niego wzroku, więc westchnął i powiedział: – W porządku. Idź.

Uśmiechnęła się i poklepała go po policzku.

– No, nie bądź taki naburmuszony. Niedługo wrócę.

A potem wyszła, zostawiając go na pastwę pracy. Następna godzina ciągnęła się w nieskończoność. Pomimo że co kwadrans patrzył na zegarek. Uzupełnił zapas papierowych ręczników w męskiej toalecie i akurat dolewał mydła do zasobnika, gdy zawołał go jeden z pracowników.

– Telefon do ciebie.

Wrócił do baru i podniósł słuchawkę.

– Słucham, tu Zac.

– Dobry wieczór, Zacu, mówi pastor Daniels. Co u ciebie?

– Dobry wieczór, pastorze. U mnie wszystko w porządku. – Po wzajemnej wymianie grzeczności Zac postanowił delikatnie wysondować, w jakim celu pastor zadzwonił. – Czy potrzebuje pan mojej pomocy?

– No cóż... wieczorem w kościele mamy spotkanie i zastanawiałem się, czy można by zamówić u ciebie trochę pikantnych skrzydełek.

– Naturalnie. – Przyjął zamówienie i spytał: – Z dostawą czy ktoś to odbierze?

– Właśnie dlatego chciałem rozmawiać z tobą... Miałem nadzieję, że sam je dostarczysz. Na jutro jest zaplanowany chrzest, a w chrzcielnicy zrobiła się dziura.

– Jasne, załatwię to. – I tak nie miał nic lepszego do roboty.

Rozłączywszy się, Zac zajął się układaniem harmonogramu prac na przyszły tydzień. Kiedy skrzydełka były gotowe, wziął dwa pojemniki i pojechał do kościoła. Szybko dotarł na miejsce, zaparkował furgonetkę i wyszedł.

Październikowy wieczór był chłodny i piękny. Zachodzące słońce świeciło różowym blaskiem. Po powrocie Lucy rozpali w kominku. Mogliby przytuleni obejrzeć film albo porozmawiać.

Na tę myśl przyspieszył kroku. Ostatnio Lucy była zajęta, bo dodatkowo pracowała jeszcze nad projektem świetlicy środowiskowej. Kupiła dawną remizę i robiła plany renowacji. Całe godziny spędzali na snuciu planów i wyobrażaniu sobie, jak to kiedyś będzie wyglądać. Zac uwielbiał patrzeć, jak Lucy wówczas promieniała.

Popędził przez w połowie zapełniony parking, wbiegł po schodach i pociągnął za klamkę ciężkich, potężnych drzwi. Przekroczywszy próg, zatrzymał się, widząc przed sobą Lucy.

Stała przed zamkniętymi drzwiami z przedsionka do kościoła.

Miała na sobie prostą białą suknię podkreślającą jej figurę, a w ręku trzymała bukiet malutkich błękitnych kwiatów. Spojrzał pytająco.

– Hej, Zac – powiedziała niepewnie – mam nadzieję, że nie jesteś zły.

Chyba żartuje. Jeszcze dwa miesiące czekania. A wydawało mu się, że to dwa lata. Uśmiechnął się od ucha do ucha, a serce zabiło mu radośnie.

– Zły? – Popatrzył jej w oczy. W głębi błękitu błyskały srebrne iskierki. – Kochanie, to najpiękniejszy wieczór mojego życia.

Oczy jej się zaszklily, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

– Dzięki Bogu. Trochę się już martwiłam. Wiedziałam, że chciałbyś przyspieszyć sprawy, lecz przyjazd tu zajął ci tyle czasu, że zaczęłam mieć wątpliwości.

– Byłbym szybciej, gdybym wiedział, że na mnie czekasz.

Wziął ją w ramiona – swoją kobietę, swoją jedyną miłość, swoją narzeczoną. Serce przepełniło mu uczucie.

– Jesteś piękna, Lucy. Na duszy i na ciele. A ja jestem największym szczęściarzem na świecie.

Zamachała ręką, a potem otarła nią łzy z kącików oczu.

– Przestań. Zrzuńniesz mój makijaż, nad którym Eden tak się napracowała.

Przypomnił sobie esemes od Eden, który wszystko to zaczął.

– Sprawy związane ze ślubem, co?

W oczach Lucy mignęło rozbawienie.

– No cóż... to prawda.

Wyciągnęła palec ku dużym oszklonym drzwiom do kościoła i Zac zajrzał za szybę. Przy ołtarzu stał pastor Daniels, mając po bokach Beau i Eden. Przy organach siedziała pani Pritchard, prosta jak struna. Zac spojrział na ludzi zgromadzonych w ławkach: ciotka Trudy, szeryf Colton i wielu sąsiadów oraz znajomych. Wszyscy czekali na moment, o którym on od dawna marzył.

– Nie wierzę własnym oczom.

– Twój garnitur jest w łazience. A Riley będzie wszystko oglądał na Skypie.

Spojrział na Lucy ze zdumieniem. Niesamowita kobieta. I cała jego.

– Jak ci się to udało? Przez dwa miesiące praktycznie się nie rozstawaliśmy.

Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Od czego są esemesy? I przyjaciele? Prawdziwi przyjaciele?

Zac wyciągnął rękę i przytulił ją do policzka Lucy.

– Dziękuję ci, kochanie. Nie mogę się doczekać, żeby całą noc trzymać cię w objęciach... i żebyś była moja.

Spojrział na jej wargi. Powinien poczekać. Pannę młodą całuje się po ślubie. Ale jeśli chodzi o Lucy, nigdy nie miał cierpliwości do czekania. Pochylił się i złożył na jej ustach długi, niespieszny pocałunek. Jej najwyraźniej nie przeszkadzało odstępstwo od tradycji. Oddała mu pocałunek. Jej wargi były miękkie, uległe i słodkie jak miód. Zac westchnął ze szczęścia, kiedy objęła go za szyję, i pomyślał, że jak głupi trzyma torby ze skrzydełkami.

Nagle drzwi do nawy otworzyły się i Zac niechętnie puścił narzeczoną.

Pastor zaczerwienił się i spytał:

– To co, jedziemy z tym koksem?

Zac spojrział na niego znacząco.

– Nie wiem, czy mamy na to czas, w końcu trzeba naprawić cieknącą chrzcielnicę.

Lucy szturchnęła go w bok.

Pastor Daniels zmieszał się i rzekł:

– Tak bardzo nie cieknie. – Odchrząknął. – Zostawię was samych na moment – bąknął i zniknął za drzwiami.

Zac pochylił się, gotów kontynuować, ale Lucy zdecydowanie położyła mu rękę na torsie i powiedziała:

– Nic z tego, drogi panie. Wieczorem musimy złapać samolot, a teraz masz randkę z garniturem. Możesz całować mnie, ile chcesz... ale później.

Tylko to „później” zmotywowało go do rezygnacji. Wyciągnął przed siebie torby ze skrzydełkami i spytał:

– A co mam z tym zrobić?

– Zostaw je w sali spotkań. Jestem strasznie głodna, a gości też musimy czymś przyjąć.

Ruszył zostawić skrzydełka, ale zatrzymał go głos Lucy:

– Nie ciekawi cię nawet, dokąd jedziemy? – spytała figlarnie.

– Jeśli o mnie chodzi, wszystko jedno, bylebym mógł być z tobą dniami i nocami.

– W takim razie St. Lucia będzie w sam raz. Tylko ty, ja i kilometry białego piasku.

– Raj!

Uśmiechnęła się do niego, pokazując dołeczki.

– No to, Zacu, do zobaczenia przy ołtarzu.

– Możesz na mnie liczyć.

Szybkim krokiem poszedł do sali spotkań. Nagle zaczęło mu się bardzo spieszyć – już chciał patrzeć, jak Lucy idzie do niego nawą. Chciał włożyć jej obrączkę na palec. Chciał, żeby została na zawsze jego żoną.



## Podziękowania

**P**isanie książki to wysiłek zespołowy, a ja jestem niesamowicie wdzięczna działającemu w wydawnictwie HarperCollins zespołowi Literatury Chrześcijańskiej: Daisy Hutton, Ansley Boatman, Katie Bond, Karli Jackson, Amandzie Bostic, Kristen Golden, Elizabeth Hudson, Jodi Hughes, Ami McConnell, Becky Monds, Becky Philpott, Kerri Potts i Kristen Ingebretson.

Szczególnie chcę podziękować redaktorce, Ami McConnell – która jest przyjaciółką, zwolenniczką i wyjątkową redaktorką. Nie przestaje mnie zdumiewać Twoja wnikliwość. Dziękuję również redaktorce L.B. Norton, która uratowała mnie przed wieloma błędami i tak poprawiła tekst, że w oczach czytelników wypadam lepiej niż w rzeczywistości.

Pisarka Colleen Coble jest moją pierwszą czytelniczką. Dziękuję Ci, droga przyjaciółko. Bez Ciebie pisanie nie byłoby taką przyjemnością, jaką jest.

Wdzięczna jestem także agentce Karen Solem, która w zdumiewający sposób radzi sobie z prawniczym językiem umów i, co jeszcze dziwniejsze, pomaga mi go zrozumieć.

Dziękuję Susan Faloon z Maine, która zgodziła się przeczytać maszynopis, żeby zgadzały się wszystkie szczegóły lokalizacji. Jeśli w wydrukowanej powieści znajdą się jakieś błędy, tylko ja ponoszę za nie odpowiedzialność.

Kevin, od dwudziestu sześciu lat będący moim mężem, cały czas mocno mnie wspiera. Dziękuję, kochanie. I dziękuję moim synom, Justinowi, Chadowi i Trevorowi: sprawiacie, że życie jest nieustającą przygodą. Wspaniale było patrzeć, jak odważnie wkraczacie w dorosłość. Kocham Was wszystkich.

I wreszcie chciałam podziękować Tobie, moja przyjaciółko, że pozwoliłaś podzielić się ze sobą tą powieścią. Co ja bym bez Ciebie zrobiła! Lubię być w kontakcie ze znajomymi na facebooku: authordenisehunter. Proszę, wpadnij, żeby się przywitać.

I zapraszam na: <http://denisehunterbooks.com/> albo do napisania paru słów na [denise@denisehunterbooks.com](mailto:denise@denisehunterbooks.com). Chciałabym usłyszeć, co myślicie o książce!

- [1] 3,7 l [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].
- [2] J. Milton, *Raj Utracony*, pieśń VIII, w. 616-618, tłum. M. Słomczyński.